

Trzymający w napięciu thriller psychologiczny
autorki bestsellera „**Milczące dziecko**”



POZNASZ MNIĘ

Sarah A. Denzil

FILIA

Sarah A. Denzil

POZNASZ MNIE

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Część pierwsza](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

Część druga

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Część trzecia

Rozdział 27

Epilog

Tytuł oryginału: *The Broken Ones*

Copyright © Sarah A. Denzil, 2016

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Lyn Randle / Trevillion Images

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-678-9

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Prolog

Raz, dwa, trzy, teraz ty. Raz, dwa, trzy, teraz ty.

W ogrodzie ładnie pachnie. Ciepłe liście pod stopami. Słońce świeci nad głową. Liczę ptaki – jeden, drugi, trzeci. Wszystkie to sroki. Czarne, granatowe, białe pióra. Wydają takie śmieszne dźwięki – skrzeczą, jazgoczą. Nie podoba mi się to. Przeraza mnie. Może powinnam wejść do środka? Nie chcę. Wolę czuć promienie na skórze. Kiedy zamykam oczy, ich powidok jest jasnoczerwony, jak krew, która pojawiła się na moim kolanie, gdy obiałam je w zeszłym roku.

Raz, dwa, trzy.

Jak to szło? Jak to było?

Teraz ty.

Nie pamiętam dokładnie. Dlaczego zapominam?

– Co tu robisz?

Spinam się na dźwięk jej głosu. Jest podniesiony, pilny. Oznacza, że jest zła z jakiegoś powodu. Idzie pospiesznym krokiem. Zimną dłonią chwyta mnie za rękę.

– Nie mamy na to czasu. Musisz się przygotować – mówi.

– Nie chcę – szepczę. Zawsze mówię tak cicho, gdy jej się sprzeciwiam.

Tylko w ten sposób mam odwagę.

Szarpie mnie, więc piszczę. Wbija mi paznokcie w skórę, a po policzkach płyną mi łzy.

– Mówiłam, żebyś się tu nie bawiła – przypomina. Jest spocona. Włosy wymknęły się jej z upięcia i przylepiły do czoła. Rozpiętą u góry bluzkę znaczą plamy. Ma podkrążone oczy, rozmazaną szminkę, a mimo to nadal jest przerażająca. Ciągnie mnie przez trawnik. – Co ty tu w ogóle robisz? Z kim rozmawiałaś?

Nie chcę powiedzieć.

– No? – nalega, mocniej wbijając paznokcie w moją skórę.

– Z cieniem – szepczę.

Zatrzymuje się. Bardzo się boję. Obawiam się ciszy, która potem następuje. Kobieta kuca, a ja mogę myśleć jedynie o jej rozszalałych, przekrwionych oczach.

– Nie ma żadnego cienia – mówi. – Nigdy nie było. Musisz natychmiast porzucić te bzdury.

Kiwam głową. Porzucę. Dam sobie spokój z tymi bzdurami. Obiecuję.

Chcę jedynie, by mnie kochała.

Część pierwsza

Rozdział 1

Nazywam się Sophie Howland i nigdy – nawet przez chwilę w swojej marnej egzystencji – nie czułam się cała. Czegoś we mnie brakuje. Mam wrażenie, jakby tuż po urodzinach jakiś pies odgryzł część mnie. Zjadł kawałek jak resztki ze stołu.

Teraz, gdy jestem starsza, wierzę, że pewnego dnia tę brakującą część wypełni rodzina. Zawsze chciałam mieć dzieci. Najbardziej na świecie pragnę należeć do jakiejś grupy. Mieć męża, dużo maluchów. Po śmierci taty mama wychowywała mnie samotnie, więc chciałabym posmakować normalnego, rodzinnego życia. Być może gwiazdy mi nie sprzyjają i nie będzie mi to dane. Albo może w wieku trzydziestu pięciu lat rozkwitnę z opóźnieniem. Nagle wszystko się ułoży. Czasami słyszy się o takich kobietach. To zazwyczaj celebrytki lub bogaczki, które po czterdziestce ograniczają błyskotliwą karierę i stać je na surogatkę, a nie nauczycielki z podstawówki, mieszkające z matkami w małej miejscinie w Anglii.

Chociaż nie znalazłam męża, można powiedzieć, że mam dziecko. Mam pięćdziesięcioletnie uparte, złośliwe, zagubione dziecko. Jednak nie będzie ono dorastać. Będzie dziecinnieć. Jej umysł się rozpada, mama traci kontrolę nad wieloma funkcjami życiowymi. Niebawem będę musiała ją

karmić, kąpać, ubierać jak małą dziewczynkę. Powoli staje się moim dzieckiem. Tym, którego nigdy nie miałam.

Pamiętam chwilę, gdy lekarz postawił diagnozę. Pamiętam, jak jego gabinet zaczął się kurczyć, a światło skupiło się na łysej, błyszczącej głowie doktora Lee. Pamiętam toczący się powoli po biurku ołówek, brudny kubek stojący na starej podstawce. Pamiętam słowa, które zwolniły, wypaczyły się, a następnie przyspieszyły bez ostrzeżenia. Wczesne stadium choroby Alzheimera. Naszła mnie wtedy myśl: oto moja kara. Wiedziałam, że to ja będę musiała się nią opiekować. Nie ma nikogo innego. To kara, ponieważ nie byłam taką córką, jaką powinnam być. I nic na to nie poradzę. Mogę jedynie obserwować, jak choroba powoli wyniszcza jej umysł.

Od tamtej pory żyję jedynie w połowie dla siebie. Zawsze myślę najpierw o niej. Ma pierwszeństwo, jest chora. Ciągłe zmagam się z wizją własnej egzystencji. Moi przyjaciele ciągną mnie w jedną stronę, a sama kieruję się w drugą, pragnąc życia, którego zapewne nigdy nie będę mieć. No i jeszcze ten nieustanny nacisk ze strony matki. Niekończące się potrzeby. Ciągłe zadaję sobie pytanie: czy powinnam przestać żyć dla niej? Czy powinnam się poddać – odpuścić marzenia o normalnym istnieniu z mężem i rodziną? Wiem, czego chciałaby mama. Wiem, co by powiedziała. Może podjęłam niewłaściwą decyzję. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

W kawiarni zjawiam się wcześniej. Wiedziałam, że tak będzie. Uznałam, że spacer zajmie mi dwadzieścia minut, ale postanowiłam na wszelki wypadek wyjść dziesięć minut wcześniej. Po chwili zdałam sobie sprawę, że wyszłam godzinę przed umówionym czasem. Ale to nic. Mogę odciąć się od domowego stresu, czytając książkę i ciesząc się dźwiękiem ekspresu.

Ponownie zerkam na telefon, aby przypomnieć sobie jak wygląda ten, z którym mam się spotkać, po czym spoglądam na drzwi. Nie pojawi się w nich, wciąż pozostaje czterdzieści pięć minut do umówionego spotkania. Jest jedenasta w sobotę, jedynymi klientami są pary jedzące brunch oraz

kilka osób, które mają laptopy i popijają cappuccino. Chociaż wydaje się bardzo mało prawdopodobne, że mój znajomy z portalu internetowego zamorduje mnie o jedenastej w biały dzień w sobotę, mama i tak próbowała mnie przekonać, żebym nie szła na to spotkanie. Na szczęście zgubiła klucze, co odwróciło jej uwagę. Dzięki temu mogłam wymknąć się niezauważona, pozostawiając ją z opiekunką, Erin.

Mieszam kawę. Myślenie o mamie przez cały dzień mi nie służy, choć tak przeważnie robię. Jak powiedział lekarz: martwienie się nie uleczy choroby Alzheimerera, ale może z kolei zaszkodzić mnie. Mama jest pod opieką Erin, nic jej nie będzie.

Mimo że jej stan szybko się pogarsza – jak to się przeważnie dzieje u ludzi we wczesnym stadium tej choroby – wciąż ma na tyle jasny umysł, by powiedzieć mi, że upinanie włosów powiększa optycznie moją, i tak dużą, żuchwę i że mam pognieciony sweter. Jak matki to robią? Jakim cudem krytykują z taką łatwością? Wydaje się, że to ich druga natura.

Drzwi się otwierają, więc obracam głowę. To on. Jest niższy, niż zakładałam. Zdjęcie na jego koncie musi mieć kilka lat – albo zostało zrobione w bardzo korzystnym świetle – ponieważ nie pokazuje kurzych łapek przy oczach i siwizny na brodzie. Ale mężczyzna ma przynajmniej ciepły uśmiech. Natychmiast odnajduje mnie wzrokiem, podchodzi ze zwieszoną głową, gapiąc się pod nogi. Mimowolnie zwracam uwagę na jego buty. Wyglądają na robocze i są wytarte, jakby nosił je codziennie od kilku lat. Na resztę jego ubrań składają się jeansy i bluza na zamek błyskawiczny.

– Ty pewnie jesteś Sophie – mówi. – Peter.

Ściskam jego dłoń, następnie dyskretnie staram się otrzeć jego pot o sukienkę.

– Cześć. Miło mi cię poznać.

Siada, przysuwając krzesło do stolika i opierając się wydatnym brzuchem o blat.

– Wyglądasz jak na zdjęciu – zauważa.

Nie mam pojęcia, czy uznać to za komplement.

– Co pijesz? – pyta.

– Czarną kawę.

– Nie lubię jej – przyznaje. – Kofeina sprawia, że jestem niespokojny. Kiedy byłem mały, mama nie dawała mi herbaty. To pewnie dlatego.

Wzmianka o matce już w pierwszej minucie... to źle wróży. Z drugiej strony będziemy mogli porozmawiać o naszych dysfunkcyjnych relacjach z matkami. Wiedza, że właśnie to zniszczyło mój ostatni związek, może znacznie pomóc.

– Jesteś księgowym? – pytam.

– Tak – odpowiada. – To mała firma, ale mamy lojalnych klientów. Wystarczy, by zapewnić nam utrzymanie. W większości są samozatrudnieni. Zdziwiłabyś się, jak bardzo niezorganizowani się okazują.

– Śmieje się. – W zeszłym roku dostałem faktury w foliowej siatce.

Unoszę brwi.

– Och, to...

Na szczęście podchodzi kelnerka, aby przyjąć jego zamówienie, ratując mnie przed kontynuowaniem tej rozmowy. Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Co czytasz? – Peter wskazuje na odłożoną frontem do blatu książkę.

– Ach. – Odwracam lekturę. – *Dziwne losy Jane Eyre*. Czytam ją po raz trzeci. Wracam do niej średnio co pięć lat, aby sobie przypomnieć, dlaczego tak ją uwielbiam.

Peter się śmieje. Parska głośno, po czym mówi:

– Nie lubię czytać. Wolę grać na konsoli. Nie sądzisz, że próby wyobrażania sobie postaci są wyczerpujące, a wszyscy autorzy są

narcystyczni?

– Dlaczego? – pytam.

– No jak to tak siedzieć i wyobrażać sobie rozmowy? To dziwne.

Kelnerka podaje Peterowi colę, a ten od razu wypija połowę.

Wciąż jestem zszokowana jego ostatnią uwagą.

– A nie sądzisz, że ludziom potrzeba opowieści? I że nasz język jest piękny?

Mruży oczy.

– Jesteś nauczycielką angielskiego, co?

Denerwuję się.

– Nie, uczę w podstawówce, ale studiowałam filologię angielską.

Pstryka palcami i się uśmiecha.

– Wiedziałem!

Zaciskam zęby, żeby nie wytknąć mu, że mój zawód widnieje na koncie na portalu randkowym. Może jeśli uda mi się oderwać go od tematu literatury angielskiej, ujawni kilka głęboko skrywanych cech.

– To co cię interesuje? Lubisz muzykę? – Wszyscy ją lubią.

– Jeszcze więcej aroganckich palantów – odpowiada. – Nie znoszę gwiazd rocka, a ty? Kretynów jak Bono, którzy próbują ratować świat.

Zmieniam pozycję na krześle, fizycznie odsuwając się od tego przenikliwego spojrzenia. Nie znoszę gotowości Petera do kłótni. Wydaje się, że każde jego słowo musi przerodzić się w zażartą dyskusję. To nie jest dobry start. Chcę po prostu stąd wyjść. Już chyba lepiej spędzać czas w domu z chorą matką.

– No chyba. A co z muzyką klasyczną?

– Nie mam do niej cierpliwości. Pasuje mi jednak muzyka country. Kenny Rogers, Dolly Parton. To ona napisała *I Will Always Love You*. Shitney Houston ją zniszczyła. – Śmieje się ze swojego żartu, przekreślając wulgarnie jej imię.

Kiwam głową, gdy odzywa się mój telefon.

– Przepraszam, ale powinnam odebrać. Mama nie czuje się najlepiej.

– Proszę – mówi, a ja mimowolnie zauważam, jak jego oczy rozjaśniają się na wspomnienie rodzicielki.

Jednocześnie czuję ulgę, że mogę odebrać akurat w tej chwili. Jest mi przykro z powodu przebiegu spotkania oraz na myśl o potencjalnych kłopotach w domu. Przechodzę do odludnego kąta i przesuwam palcem po ekranie, by odebrać.

– Co się stało, Erin? – pytam, natychmiast zdenerwowana.

– To nic takiego – odpowiada głosem wyższym o oktawę niż normalnie. Wyobrażam sobie, że stoi przy kuchennym blacie i gestykuje, gdy mówi. Erin jest o dziesięć lat ode mnie młodsza, czasami męczy mnie jej nadmiar energii. – Ale mama nie radzi sobie dziś najlepiej. – Zawsze mówi o swojej podopiecznej, jakby była jej dzieckiem. To mi jednak nie przeszkadza. Mama traktuje ją okropnie, więc pozwalam na tę odrobinę ekscentryczności, jeśli ułatwia jej to pracę. – Jest pobudzona. Ciągle o ciebie pyta. Przepraszam, że ci przeszkadzam...

– Nie, w porządku – przerywam jej. – Szczerze mówiąc, szukałam wymówki, by się ulotnić.

– Aż tak źle? – pyta.

Zerkam na Petera, który macha entuzjastycznie. Przybieram minę, która – mam nadzieję – wyraża troskę, ale nie niepokój. Następnie wzruszam ramionami.

– Tak. Wydaje się miły, ale...

– Nie jest w twoim typie? – kończy.

Wzdycham.

– Niespecjalnie. Będę w domu za dwadzieścia minut.

Rozłączam się, wracam do popijającego colę Petera. Odstawia szklanekę, na wążach pozostają krople napoju, przez co mam ochotę się skrzywić.

– Przykro mi, ale muszę iść. Mama jest we wczesnym stadium choroby Alzheimera, opiekunka dzwoniła, żeby powiedzieć, że jest pobudzona. Muszę wracać do domu.

– Oj, szkoda – mówi. W końcu ociera usta i marszczy brwi. – Może mogę cię odwiedzić?

– Nie trzeba, to tylko kilka minut spacerkiem – kłamię. Nie chcę być z nim sam na sam w samochodzie.

– Mogę cię odprowadzić. – Uśmiecha się. To ciepły wyraz. Istnieje szansa, że Peter jest fajnym facetem, tylko nie radzi sobie za dobrze w kontaktach międzyludzkich.

– Nie, zostań, dokończ napój. Muszę biec. Miło było cię poznać.

Kelnerka puszcza do mnie oko, gdy spieszę do wyjścia. Niemal parskam śmiechem, ale myślę o powrocie do domu i cała wesołość niknie.

*

– Nie będę jadła.

Kamień na sercu rośnie, gdy słyszę głos – donośny, zadziorny, złośliwy. Trzy słowa będące ucieleśnieniem matki przez całe moje życie.

– Daj mi spokój!

– Proszę, pani Howland. Musi pani coś zjeść.

Otwieram drzwi, gdy po domu niesie się brzęk tłuczonej porcelany.

– Mamo? Co robisz? – Spieszę do kuchni i dostrzegam na podłodze rozlaną zupę, a w niej kawałki potłuczonej miski. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Ta kobieta się tu włamała i próbowała podać mi truciznę – mówi, unosząc głowę. Mama zawsze była dumna. Jest szczupła, ma orli wzrok. Jedynie jej umysł nie jest już tak bystry jak kiedyś.

– Mamo, to Erin. Opiekuje się tobą. – Uśmiecham się do dziewczyny, której częściowo płaci fundacja dla chorych na Alzheimera. To słodka

dwudziestokilkulatka z krótką fryzurą i kolczykiem w nosie. – Chodź, usiądź na chwilę. Posprzątam. – Próbuję zaprowadzić ją do stołu, ale odtrąca moją rękę.

– Nie będę siadać, głupia zdziro. Zgubiłam klucze.

Erin wytrzeszcza oczy na te słowa, ale ja nawet nie drgam.

– Mam je, mam. Są w mojej torebce. Dam ci je, gdy już zjesz.

Okłamywanie rodzicielki stało się prostsze, gdy za pięć minut o wszystkim zapomina. Jednak, gdy mruży oczy, wiem, że wpadłam w kłopoty. Z kolei, kiedy przygląda się i milknie, zdaję sobie sprawę, że przeżywa jedną z bardziej świadomych chwil.

– No i jak było? Widzę, że spięłaś włosy, mimo że powiedziałam ci, żebyś tego nie robiła.

Erin kuca, aby pomóc mi posprzątać potłuczoną miseczkę. Kiedy wstaję, unikam kontaktu wzrokowego z mamą. W takich chwilach czuję się jak dziesięciolatka, a nie jak trzydziestopięcioletnia kobieta.

– Był miły – mówię. – Ale nie sądzę, byśmy się jeszcze spotkali.

Śmieje się.

– Nie z taką zuchwą. – Patrzy na Erin, którą najwyraźniej przestała uważać za morderczynię-włamywaczkę. – Gdybyś ją widziała, kiedy była mała. Miała podbródek jak kowadło. – Odchyła głowę i się śmieje. – Nie wiedziałam, czy ją karmić, czy kuć na niej podkowy. – Rechoce.

Erin posyła mi pełen współczucia uśmiech. Otwiera worek, do którego wrzucamy porcelanę.

– Ale przynajmniej cię nie zgwałcił i nie zamordował – ciągnie mama. – Tak właśnie się dzieje, gdy spotykasz się z kimś poznanym w sieci. Tam wszyscy to zboczeńcy. Gość pewnie w wolnych chwilach uwodzi nastolatki. Przypuszczam, że to dlatego nie zawracał sobie tobą głowy. Jesteś dla niego za stara.

– Mamo – mówię cicho. Zbyt cicho, aby ją powstrzymać. Przechodzę przez kuchnię po ściereczkę, by zetrzeć rozlaną zupę. Erin milczy. Żołądek zaciska mi się z zażenowania. Nie podoba mi się, gdy inni widzą mamę w takim stanie.

– Mówiłam, żebyś nie szła, prawda? – Wpatruje się we mnie zielonymi oczami. Kiedy byłam mała, wydawało mi się, że zaczniesz strzelać z nich laserami, jak jakiś zły Superman.

– Mówiłaś – odpowiadam.

– I miałam rację, co? – pyta.

– Tak – przyznaję.

– Zawsze mam rację. – Odrzuca włosy do tyłu. Lubi mieć je tak ułożone. Wielu fryzjerkom się to nie podobało. – Czyż nie?

– Tak. – Wykręcam ścierekę w zlewie, starając się niczego nie dopowiedzieć. Erin nakłada kolejną porcję zupy.

– Mówiłam ci, że zgubiłam klucze? – pyta mama.

– Nie. Za chwilę pójdę ich poszukać.

*

Po wyjściu Erin i położeniu mamy spać sprzątam kuchnię i wymieniam worek na śmieci. Jest początek lipca, więc jeśli od razu tego nie zrobię, będzie śmierdzieć. Nie wspominając o tym, że pewnego razu zastałam mamę, gdy wyjadała resztki kurczaka z kubła. Na samo wspomnienie kurczy mi się żołądek.

Wieczór jest przyjemny, ciepły, ale w powietrzu roi się od muszek. Przechodzę ścieżką do zewnętrznego kosza, szybko wrzucam do niego worek.

Nasz ogród wymaga pielęgnacji. Mama go uwielbiała, ale odkąd zachorowała, nie dba już o niego jak poprzednio. Co jakiś czas próbuję ją

nim zainteresować, ale zbyt łatwo się rozprasza.

Prawdopodobnie po powrocie do środka wychylę przyjemny kieliszek chłodnego wina. A może wezmę go na zewnątrz i wypiję na leżaku. Nie piję za dużo alkoholu, ale czy jest coś bardziej rozluźniającego niż słodki trunek wypity w domu?

Marszczę brwi, gdy następuję na dziwną rzecz. Nie włożyłam butów, zanim wyszłam do śmietnika. Nie opłacało się. Jednak teraz moja bosa stopa znajduje się na małym, okrągłym przedmiocie. Zbyt płaskim, by mógł to być kamień. Odsuwam się, pochylam i podnoszę to coś.

To guzik z kurtki czy płaszcza. Nic niezwykłego, ale z jakiegoś powodu wydaje się nie na miejscu. Wiem, że nie odpadł od moich rzeczy ani z ubrania mamy. Nie sędzę, by należał do niej. Podejrzewam, że musi być Erin, więc wkładam go do kieszeni jeansów i otwieram drzwi tarasowe prowadzące do kuchni.

– Znów kręcił się tam cień?

Zamieram. Mama znajduje się na środku pomieszczenia, ma splątane włosy i pusty wyraz twarzy. Przesunęła się jej koszula nocna, widać więcej dekoltu, niżbym sobie życzyła.

– Chodź, mamó. Zaprowadzę cię do łóżka.

Zanim jednak podchodzę do niej, zamykam porządnie drzwi. Słowo „cień” porusza coś pogrzebanego na dnie mojej pamięci. Jest w nim coś, czego jednak nie mogę uchwycić, jak wyraz na końcu języka. Przyprawia mnie o ciarki i sprawia, że mam ochotę zaryglować drzwi.

Rozdział 2

Jestem zaspana, widzę niewyraźnie, ale jakoś udaje mi się przeciągnąć palcem po ekranie telefonu, aby wyłączyć budzik. Mrugam, zmuszając się, by nie nacisnąć drzemki. Nie mam na nią czasu. Czeka mnie zbyt wiele zadań.

Najpierw myję i ubieram mamę. Nie lubi wstawać, ale skoro wymaga opieki z zewnątrz, wyciągam ją z łóżka już o szóstej. Każdego ranka zostaję przez to zwyzywana. O tej porze mama jest bardziej zdezorientowana niż zwykle. Macha szczupłymi rękami, drapie mnie, syczy przez zęby. Nawet niezbyt świadoma potrafi odnaleźć stare rany. Najbardziej lubi docinać mi z powodu żuchwy. Mówi, że muszę ćwiczyć, bo jestem za gruba i że nigdy nie znajdę sobie faceta. Obwinia mnie też o śmierć taty i twierdzi, że nigdy niczego nie osiągnę.

Jestem jej rozczarowaniem.

O wpół do siódmej przygotowuję nam śniadanie. Czasami zjada ze smakiem swoje ulubione poranne danie, to znaczy tosta z dżemem truskawkowym. Innymi razy go nie cierpi. Udaje mi się zjeść swoją porcję i wypić herbatę, przyglądając się jej uważnie. Pilnuję, by odpowiednio się posiliła. O siódmej przychodzi Erin, więc pędzę na górę, by wziąć szybki

prysznic i przygotować się do pracy. Czasami uda mi się sprawdzić nawet kilka klasówek dzieci, jeśli opiekunka dotrze do nas wcześniej.

Jeśli mama sprawia problemy, ciężko mi wyjść z domu. Wiem, że Erin dostaje pensję za opiekę nad nią, ale mam świadomość, że to nie jest lekka praca, nawet kiedy mama jest bardziej świadoma. Zawsze miała trudny charakter, ale chyba szybko nauczyłam się sobie z tym radzić. Przyswajałam wiedzę ze szkoły lub czytałam.

Mama nie chciała, abym wyjechała na studia. Pragnęła, bym była w domu. Wydaje mi się, że obawiała się zostać sama. Poszłyśmy na kompromis, według którego mieszkałam w domu i dojeżdżałam na uczelnię w Derby. Udało mi się znaleźć pracę na obrzeżach miasta, następnie pojawiła się propozycja pracy w tutejszej podstawówce. Wszystko się ładnie zgrało, więc zostałam blisko matki. Zawsze byłyśmy tylko we dwie.

Aż pojawił się Jamie. Poznałam go w pubie w piątkowy wieczór, na imprezie z okazji końca semestru. Można powiedzieć, że byłam spóźniona z życiem. Na studiach z nikim się nie spotykałam, nie wychodziłam się bawić. Wstyd się przyznać, ale dopiero w wieku dwudziestu pięciu lat straciłam dziewictwo. Jamie był pierwszym facetem, który się mną zainteresował, więc dałam mu szansę po kilku tygodniach, gdy nie dawał mi spokoju.

Był bratem jednego z kolegów z pracy, pracował jako elektryk w tutejszej firmie. Początkowo nie byłam nim zainteresowana. Był cichym, niskim, niewyróżniającym się mężczyzną. Miał włosy jasne jak mleko i małe, niebieskie oczy. Zaproponował, że postawi mi drinka. Zgodziłam się tylko dlatego, że byłam pijana. Tej samej nocy się całowaliśmy, ale dałam mu swój numer i poszłam do domu.

Alisha, moja współpracowniczka w szkole i przyjaciółka, uparła się, że powinnam się z nim umówić, ale nie odbierałam od niego telefonu przez kilka dni, aż ponownie spotkaliśmy się w pubie i znów uparł się, by

postawić mi drinka. Kiedy zaszumiało mi w głowie, zgodziłam się pójść z nim na kolację i do kina.

Jamie nigdy się nie poddał. Przynosił mi kwiaty, czekoladki, wino. Mama wmawiała mi, że interesuje go jedynie szybki numerek i że kiedy już do tego dopuszczę, więcej o nim nie usłyszę. Jednak tak się nie stało. Trwał przy mnie przez siedem lat i w końcu go pokochałam. Ale mama odpychała go ode mnie złośliwymi uwagami i podszytymi jadem sarkastycznymi komplementami. Każda nasza kłótnia dotyczyła matki: tego, co powiedziała, by nas rozdzielić, tego, że nie chciałam wyprowadzić się z domu, a kiedy już się wyprowadziłam, tego że spędzamy z nią za dużo czasu. Jamie chciał się ze mną ożenić i mieć dzieci, ale mnie zawsze coś wstrzymywało. Teraz wydaje mi się, że był to wpływ matki. Jej drobne uwagi, zasiewające ziarno zwątpienia. Pozwoliłam jednak, by wyrosły z nich chwasty duszące nasz związek.

– Jeśli za niego wyjdiesz, już go nie porzucisz. Małżeństwo jest na całe życie – mawiała. – Naprawdę chcesz spędzić z tym kmiotem resztę swoich dni? A jeśli poznasz kogoś lepszego? Jamie jest tępy jak noga stołowa. Naprawdę chcesz żyć z takim człowiekiem?

Gdzieś pod tymi wszystkimi obelgami kryła się krztyna prawdy, która mnie zaskoczyła. Nie chciałam poślubić Jamiego. Martwiłam się, że gdzieś na świecie jest ktoś inny mi przeznaczony. Po siedmiu latach w końcu daliśmy sobie spokój. Wciąż winię matkę, ale może to niesprawiedliwe. Chociaż rzadko jej się sprzeciwiałam, wydaje mi się, że postawiłabym na swoim, gdyby Jamie naprawdę był mi pisany.

Przynajmniej tak sobie wmawiam.

Wiem tylko, że Peter też nie jest dla mnie.

Punktualnie o siódmej wchodzi Erin i macha nam wesoło. Siedzę obok mamy, pilnując, by zjadła płatki. W obu dłoniach ściskam kubek ze stygnącą herbatą. Mama przygląda się opiekunce i marszczy brwi.

– To znowu ty – mówi. – Lepiej tym razem nie podawaj mi trucizny.

– Mamo, to przecież Erin...

– Wiem, kim ona jest – warczy. – Nie jestem dzieckiem.

Przewracam oczami.

– Dzień dobry, pani Howland. Dobrze dziś pani wygląda – chwali Erin, wiedząc, że w przypadku mamy sprawdzają się komplementy.

– Niemal udało jej się mnie uczesać – mówi mama.

Mimowolnie się uśmiecham. Jeśli chodzi o komplementy od mamy, ten jest jednym z lepszych.

– Lepiej pójde do pracy – stwierdzam. – W lodówce jest szynka na kanapki, w szafce czekolada. Częstuj się tym, na co masz ochotę.

– Miłego dnia – mówi Erin. – Nie pracuj zbyt ciężko. I dopilnuj, by mój bratanek nie sprawiał problemów!

Śmieję się.

– Jest pyskaty, ale słodki. Powiem, że ciocia z nim porozmawia, jeśli posunie się za daleko.

Eddington to mała miejscina, gdzie wszyscy się znają, a pracując w szkole, można poznać wszystkie nazwiska i twarze. To miejsce z tradycją, gdzie nadal odbywa się festyn, w którym udział biorą wszyscy mieszkańcy – część kultury angielskiej, której odejście wszyscy opłakują, choć nikt nie jest skłonny ją wskrzesić. Mam w klasie bratanka Erin, Noaha. To słodkie dziecko z takimi samymi niebieskimi oczami jak jej. Jednak dziewczyna ma rację, potrafi przysporzyć kłopotów. Wszyscy uczniowie potrafią, ale mi to nie przeszkadza. Ludzie spodziewają się, że szczęśliwy dziesięciolatek będzie wygadany. Martwią nas te ciche dzieciaki.

Zostawiam mamę z Erin, wskakuję do fiesty, kładę klasówki na fotelu pasażera. Za kwadrans ósma parkuję, biorę sprawdziany do klasy, siadam za biurkiem i po raz pierwszy dziś mogę swobodnie odetchnąć. Napełniam

płuca powietrzem, zamykam oczy i po prostu spokojnie łapię oddech. Pomieszczenie pachnie mazakami ścieralnymi i klejem, ale uwielbiam to. To moje wytchnienie i tak, szkoła jest stresująca, głośna i chaotyczna, ale stanowi część życia, którą potrafię kontrolować. Jest moja.

Mam robotę. Muszę zrobić ksero, powiesić plakaty, wykonać notatki i dokończyć sprawdzanie klasówek, zanim pojawią się dzieciaki. Najpierw ksero. Jeśli je odłożę, będzie kolejka. Biorę plan lekcji, ćwiczenia i idę do pokoju nauczycielskiego. Przydałby się też kubek kawy.

– Soph!

Uśmiecham się.

– Dobry, Lish. Widzę, że wcześniej rano dopadłaś do kserokopiarki.

– Unikam tłumów. – Alisha przesadnie przewraca oczami. Pracujemy razem już niemal dekadę, obie zaczynałyśmy pół roku po kursie pedagogicznym. Pomagałyśmy sobie, walcząc ramieniem w ramię.

– Co za cholerstwo. Dziś już dwa razy zmieniałam toner i musiałam ją odblokować. – Kopie starożytną maszynę. – Jeśli chcesz, jest świeża kawa.

– Ratujesz mi życie. Ledwie wygramoliłam się z łóżka.

Idę do niewielkiego aneksu kuchennego, aby nalać naparu do mojego ulubionego kubka – z popiersiem Szekspira z angielskim cytatem: „2B or not 2B” – stanowiącego prezent od Alishy, który wręczyła mi, gdy zaczęłam uczyć klasę 2B.

– Jak tam wiedźma? – Koleżanka zmienia postawę, gdy pyta o moją matkę. Krzyżuje ręce na piersi i mruży oczy.

Alisha spotkała się z nią tylko raz, gdy mama odbierała nas ze zjazdu nauczycieli w Nottingham. Niestety przez całą drogę do domu mama mówiła do niej jak do dziecka, podnosząc głos i wypowiadając słowa powoli, jakby dziewczyna nie rozumiała po angielsku. Alisha wywodząca się z Indii, ale urodzona i wychowana w Manchesterze, zacisnęła wtedy zęby i odpowiadała z przesadnym indyjskim akcentem, aby wprowadzić

humor w całą tę sytuację. Jednak wiem, że była wkurzona – do czego miała prawo – od tamtej pory nie znosi mojej mamy.

Nigdy nie rozwodziłam się nad swoim dzieciństwem, ale wydaje mi się, że Alisha dostrzegła prawdziwą naturę mojej matki. Zdałam sobie z tego sprawę po reakcji koleżanki i zaniepokoiło mnie to.

Po tym incydencie niemal przestałyśmy się przyjaźnić. W tym samym czasie Alisha zaszła w pierwszą ciążę. Poza tym czułam się niesamowicie niezręcznie z powodu tego, jak mama ją potraktowała i jak ponownie nie postawiłam się własnej rodzicielce. Widok przyjaciółki w ciąży był niemal nie do zniesienia. Upłynęło sporo czasu, nim uświadomiłam sobie, że byłam o nią zazdrosna, po czym poczułam się jak najbardziej małostkowa osoba na świecie. Zdusiłam ból i kupiłam prezenty dla noworodka. Pojechałam do szpitala z kwiatami i trzymałam na rękach jej dziecko. Widziałam jej szczęście, cieszyłam się, że może go doświadczać. Byłam tym zachwycona.

Staram się otrząsnąć ze wspomnień.

– Zdezorientowana, sfrustrowana, trudna. Choroba Alzheimera szybko postępuje. Mama ma dobre chwile, jest wtedy taka jak kiedyś, ale czasami, kiedy na mnie patrzy, nie jestem pewna, czy wie, kim jestem.

Wyraz twarzy przyjaciółki staje się miękki.

– Musi ci być bardzo ciężko. – Przesłuchuje z nogi na nogę, gdy następuje krepująca cisza. Wiem, co zaraz powie, instynktownie się spinam. – Zastanawiałaś się nad tym? – Unosi brwi, spoglądając na mnie poważnie.

– Myślałam – mówię – ale nie mogę.

To niemal niezauważalne, ale Alisha zaciska usta, jakby spodziewała się tych słów i była mną rozczarowana.

– Po prostu to powiem. Wiem, że nie powinnam, ale jesteś moją przyjaciółką i nie mogę dłużej milczeć. Dlaczego wciąż dbasz o tę kobietę, choć przez całe życie była dla ciebie niedobra? – Kiedy chcę jej przerwać,

unoszą rękę. – Nie trzeba geniusza, by to zobaczyć. Ta kobieta dręczy cię psychicznie. Próbowano wybić ci z głowy studia, wytyka twój wygląd przy innych, sprawiła, że rozpadł się twój związek z Jamiem. Bóg jeden wie, co robiła, gdy byłeś dzieckiem. To szansa, by się jej pozbyć na dobre i w końcu zacząć żyć po swojemu. Skorzystaj z niej. Sprzedaj dom, przenieś ją do ośrodka pomocy i w końcu żyj szczęśliwie, jak na to zasługujesz.

Staję prosto.

– Szansa? Trudno tak nazwać przyglądanie się, jak mama zmienia się w dziecko.

Alisha wzdycha.

– Masz rację. Przepraszam. Źle się wyraziłam. – Zbiera swoje papiery, wyrównuje je, stukając o kserokopiarkę. – Może przesadziłam. Nie wiem. Chcę jedynie mieć pewność, że masz kogoś po swojej stronie. Chcę cię wspierać, pragnę twojego szczęścia. Wiesz, że na nie zasługujesz, prawda?

Mrugam, próbując przetworzyć to, co się dzieje – kłopoty z mamą w domu, nagłą interwencją przyjaciółki. To wszystko dzieje się za szybko. Kilka miesięcy temu mama zaczęła lekko tracić pamięć, koncentrację, ale teraz choroba posuwa się szybciej, niż przewidywali lekarze.

– Wiem – mówię cicho, bez przekonania.

Alisha kładzie dłoń na mojej ręce.

– Jestem, gdybyś mnie potrzebowała.

Wierzę jej, ale zastanawiam się, jak wiele pomocy jest skłonna ofiarować. W takiej sytuacji niewiele można zrobić. Nikt nie umyje mamy, która się posikała. Nie położy jej spać. Nie wypełni wniosków o pomoc finansową. Nie dopełni testamentu. Nie będzie pilnował jej dwadzieścia cztery godziny na dobę, aby nie spaliła domu, czy nie zjadła surowego mięsa z lodówki. Nie, nikt tego za mnie nie zrobi.

O to właśnie jej chodzi, prawda? Nie poradzę sobie sama, więc powinnam oddać mamę do domu opieki. Wkładam kartkę do kserokopiarki. Nie. Nie mogę tego zrobić. Mama załamałaby się w takim miejscu. Nie stać by mnie było na najlepsze warunki, musiałabym zostawić matkę na łasce ludzi, którzy najpewniej mają gdzieś swoich pacjentów. Ciągłe słyszy się przerażające historie o takich ośrodkach, o tym jak opiekunowie znęcają się nad podopiecznymi. Nie mogę pozwolić, by spotkało to mamę, bez względu na to, jak trudne będą nadchodzące lata.

*

Klasa to jedno z niewielu miejsc, gdzie mogę nie myśleć o pomocy matce. Tu liczą się tylko dzieci i zapewnienie im dobrego startu w życiu. Muszę jednak przyznać, że nie mam dziś do tego głowy. Mieszam nawet na prostej lekcji gramatyki, co skłania Isaaca – który jest dość rozwinięty jak na swój wiek – do zadawania mi pytań. Czerwienię się, uświadamiając sobie błąd, a wszystkie dzieci wzdychają. Bratanek Erin woła:

– Proszę pani, pomyliła się pani! – Jest zachwycony, że dorosłej osobie również zdarza się coś sknocić.

Przerwa na lunch upływa na jedzeniu kanapki przy biurku i dyżurze na placu zabaw. Szybko sprawdzam telefon, czy nie mam jakichś wiadomości. Erin napisała: „Mama ma dziś dobry dzień. Zjadła lunch, ogląda program *Loose Women!* Do zobaczenia:-*” Nie mogłabym prosić o lepszą opiekunkę. Naprawdę została zesłana mi przez Boga.

Mam również wiadomość od Petera: „Podobało mi się nasze spotkanie przy kawie (coli dla mnie!). Mam nadzieję, że z mamą wszystko dobrze. Może ponownie się zobaczymy?”. Mam także nieodebrane połączenie od niego. Sporo się wysiła, choć graniczy to z prześladowaniem. Czy powinnam dać mu kolejną szansę? Zastanawiam się nad tym,

przypominając sobie to, co mówił o książkach. To stanowi pewien problem. Chyba lepiej się nie spotykać. Chociaż wydawał się dość bystry, co może prowadzić do niezręcznej rozmowy telefonicznej. Krzywię się na samą myśl.

Odzywa się dzwonek kończący przerwę, dzieci wracają do budynku. Jedna z dziewczynek się ociąga. Chloe jest słodka, ale na każdej przerwie bawi się sama. Serce mi pęka, gdy inne dzieci jej dokuczają. Nie jest tak rozwinięta, jak jej rówieśnicy. Ma problemy z czytaniem. Przyglądam się jej, gdy człapie do szkoły. Jest w niej też coś innego... dziwnego.

– Chodź, Jessie – mówi, wyciągając rękę, jakby kogoś za sobą ciągnęła, choć nikogo tam nie ma. Potrząsa lekko nadgarstkiem, jakby szarpała jakąś osobę. – Idziesz za wolno! Muszę wracać na lekcję.

– Cześć, Chloe. Gotowa na popołudniowe zajęcia? – pytam, próbując odciągnąć jej uwagę od wymyślonej przyjaciółki. Na kursie pedagogicznym czytałam książkę na temat dziecięcej psychologii, więc wiem, że to dość normalne mieć wymyśloną kumpelkę, ale raczej niespotykane, by chodząca do szkoły dziewczynka w wieku dziesięciu lat wolała nadal ją, zamiast nawiązać prawdziwe przyjaźnie.

– Tak – szepcze. Mija mnie mała, jasna główka, zaraz dziecko odchodzi korytarzem. Marszczę brwi, znów martwiąc się o cichą uczennicę, która jest zapominana i ignorowana. Moim obowiązkiem jest jej pilnować. Tak właśnie to działa. Ci z nas, którzy to przeżyli i dorośli, muszą pomagać, bo wiedzą, jakie to trudne.

Wciąż myślę o Chloe, gdy jadę z pracy do domu ze stosem nowych wypracowań do sprawdzenia. Większość nauczycieli nie znosi tego, ile testów piszą tak małe dzieci, ile przygotowują zadań domowych. Nie znosimy statystyk i wymogów kuratorium. Chcemy zapewnić dzieciom najlepszą edukację, ale system zmusza nas, byśmy byli swoimi klonami, przekazującymi wiedzę miniklonom.

Zatrzymuję się przy drzwiach, spodziewając się krzyków lub dźwięku tłuczonego szkła, ale w domu panuje cisza. Kiedy wchodzę do przedpokoju i wieszam płaszcz, wydaje się tu dziwnie spokojnie.

– To ty, Sophie? – pyta Erin.

– Tak. Wszystko w porządku? Wydaje się bardzo... – Kiedy wchodzę do salonu, mama siedzi na kanapie z filiżanką herbaty w dłoni. Jej twarz pozbawiona jest wyrazu. Bez względu na to, ile razy widzę ją w takim stanie, nie potrafię przywyknąć. To jakby widzieć jedynie skorupę człowieka.

– Wszystko dobrze – mówi Erin. – Wyglądasz na zdenerwowaną. Noah sprawiał kłopoty?

Śmieję się, ale wychodzi to oschle.

– Był aniołkiem.

– Tak, dobrze. Herbatki?

– Z chęcią.

Idę za Erin do kuchni, co stanowi nasz rytuał po pracy. Mogłybyśmy zostać przyjaciółkami po... Po czym? Po śmierci mamy? Tylko tak się to skończy.

– Niedawno nastawiłam czajnik – mówi. – Wiedziałam, że niedługo przyjedziesz.

– Też jesteś aniołem jak twój bratanek!

Śmieje się, jej twarz się rozjaśnia, oczy błyszczą. Jestem w tej chwili zazdrosna. Wróci do domu, zrelaksuje się z chłopakiem. Zapomni o dzisiejszym dniu i mojej matce. A ja muszę myśleć o niej cały czas i to mnie wykańcza.

– Och, niemal zapomniałam. – Kładę torebkę na blacie i grzebię w niej. – Wieczorem znalazłam to w ogrodzie, przy tylnych drzwiach. Musi być twój, bo nie należy do mnie ani do mamy. – Podaję jej guzik.

Erin bierze go w palce i marszczy brwi.

– Chyba pomyliłaś osoby. Nie jest mój. Nie mam nic w tym kolorze, a poza tym i tak zawsze chodzę tu w fartuszkach.

Oddaje mi guzik, następnie zalewa wrzątkiem herbatę.

Obracam gładki okrągły przedmiot w palcach. Jeśli guzik nie jest ani mój, ani mamy, czy Erin, oznacza to, że ktoś był w naszym ogrodzie.

Rozdział 3

Zanim idę do łóżka, powtarzam sobie, że istnieje kilkanaście możliwych wyjaśnień na to, jak guzik kogoś obcego znalazł się w naszym ogródku. Może należeć do osoby spisującej licznik gazu czy prądu. Dlaczego jednak ta osoba miałaby wchodzić przez tylne drzwi? Możliwe, że guzik na naszą posesję przywiało ze śmietnika sąsiada. Od tygodni jednak nie było tak silnego wiatru. A może jakiś zwierzak się nim bawił i zostawił go u nas. Może pręgowany kot mieszkający po drugiej stronie ulicy albo lis lub nawet ptak. Tak, to musi być to. Zwierzę zgubiło ten guzik w naszym ogrodzie. Zasypiam i śnię o lisach rozrywających nasze worki ze śmieciami i gubiących wszędzie guziki.

– Wstawaj. Powiedziałam, wstawaj. Ktoś był w moim pokoju.

– Co?

Ktoś chwyta mnie chłodnymi palcami za nadgarstek i podnosi, nim jestem w stanie w pełni unieść powieki. Paznokcie wbijają się w moją skórę.

– Ktoś był w moim pokoju – szepcze ochryple mama. Przygląda mi się ciemnymi oczami w słabym świetle padającym z zewnątrz, bardzo mnie niepokojąc.

– Boli. Mamo, puść moją rękę. – Kiedy spełnia polecenie, odkrywam się i opuszczam nogi na podłogę. Serce bije mi jak oszalałe.

– Ktoś był w moim pokoju, ale już go nie ma – powtarza.

– Dobrze, chodź, sprawdzimy. – Ręka mi się trzęsie, gdy kładę ją ostrożnie pomiędzy jej szczupłymi ramionami. Przesuwam wzrokiem po pokoju, w poszukiwaniu jakiejś broni. Co zdołam zrobić, jeśli w domu przebywa włamywacz? Nie jestem silna ani szybka. Wyjmuję komórkę spod poduszki i wyprowadzam mamę z mojej sypialni. Zapewne coś jej się przywidziało. Nikogo tu nie ma.

Włączam światło w jej pokoju, następnie sprawdzam w szafie i pod łóżkiem, czując płynący po plecach pot. Widziałam wystarczająco dużo seriali kryminalnych, by wiedzieć, że seryjni zabójcy zawsze chowają się pod łóżkiem.

– Nikogo tu nie ma, mamo – mówię, rozluźniając się.

– Sprawdź dom – nalega.

Schodzimy razem na dół – dwie szczupłe kobiety w koszulkach nocnych. Serce nadal mi kołacze, krew szumi w uszach. Mama trzyma się balustrady tak mocno, że pobieleły jej knykcie. Milczymy.

W domu panuje cisza. Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś tu jest. Jeśli jakaś osoba by się tu włamała, narobiłaby hałasu, próbując ukraść nam telewizor czy komputer. Przechodzę przez wszystkie pomieszczenia, włączając światła, sprawdzając każdy kąt. Ściskam telefon, gotowa wybrać numer alarmowy, jeśli usłyszę choć najcichszy dźwięk. Ale nic nie słyszę. Sprawdzam drzwi i okna. Wszystko zamknięte.

– W porządku, mamo. Nie ma tu nikogo. Wracajmy do łóżek. – Zerkam na zegarek w telefonie. Czwarta. Wydaję z siebie jęk.

– Ktoś był w moim pokoju – powtarza.

– Już go nie ma, mamo. Wszystko jest w porządku – zapewniam.

Mruży oczy, posyłając mi śmiercionośne spojrzenie. Małe włoski stają mi na rękach. Mama zaciska usta.

– Rozczarowujesz mnie – syczy.

Nie jestem w stanie zatrzymać napływających do oczu łez. Poświęcam chwilę na oddech, by się uspokoić. Następnie odprowadzam ją do łóżka.

*

O szóstej wciskam drzemkę. Pięć minut później słyszę, że mama kręci się po domu, więc natychmiast wstaję. Spieszę na dół. Stoi triumfalnie na środku kuchni, machając kluczami.

– Znalazłam! – oznajmia. – Wpadły za kosz na śmieci.

– Super – odpowiadam, próbując okazać wesołość. Niewiele udaje mi się jej jednak wykrzesać. – Ubierzmy cię. Nie jesteś zmęczona? Nie spałyśmy pół nocy.

– Nie, wcale nie – zaprzecza. – O czym ty mówisz?

– Myślałaś, że ktoś jest w naszym domu, pamiętasz? – Jestem wyczerpana, więc zapominam o łagodnym tonie. Warczę, a ona wydaje się oszołomiona moim ostrym tonem.

– Uważasz mnie za głupią. – Rzuca klucze na blat i prostuje ramiona. – Ale nie jestem głupia. To ty jesteś idiotką. Zawsze byłaś.

– Tak, tak, wiem. Chodź. Musimy cię przygotować, nim przyjedzie Erin.

– Kim jest Erin?

Opadają mi ręce. Nie jestem pewna, czy dam dziś radę. To wystarczająco trudne nawet po spokojnej nocy. Na szczęście mamę rozprasza wędrówka po schodach. Zapomina o Erin, kluczach i wszystkim, co kołatało jej się w głowie. Udaje mi się zaprowadzić ją do pokoju.

– Sama mogę to zrobić – mówi, wyrywając mi się.

– Dobrze. – Podaję jej ubrania i wychodzę.

Potrzebuję dystansu. Kilku chwil, aby się uspokoić, aby oczyścić umysł z paralizującego stresu. Dwie minuty w samotności. Moją sypialnię wypełnia komfortowa cisza, aż odzywa się komórka. Wyjmuję ją spod poduszki i widzę kolejne nieodebrane połączenie od Petera. To już szóste w ciągu kilku ostatnich dni, jest też kilka wiadomości, na które nie odpowiedziałam. Nie jestem ekspertem w randkowaniu, ale tak wiele prób kontaktu sprawia, że czuję się nieswojo. Będę musiała oddzwonić i zakończyć ten nonsens. Można by pomyśleć, że powinien się już połapać, ale nic z tego. Nie chcę tego przedłużyć.

Otwierają się drzwi. Staje w nich mama ubrana w elegancką sukienkę, buty na obcasie i kaszmirowy kardigan. Na policzkach ma puder, na wargach szminkę.

– Co tu robisz? Gdzie moje śniadanie?

Potrzebuję chwili, by wymyślić, co odpowiedzieć. Czasami podczas tej strasznej choroby zdarzają się momenty, gdy jest taka, jaką była kiedyś, przez co zapiera mi dech w piersi i brakuje słów. Mogę jedynie pójść za nią do kuchni i przyszykować płatki.

– Juhu, jest ktoś w domu? – Wpada Erin i łagodzi napięcie. – O, wow, pani Howland, wygląda pani dziś fantastycznie. Podoba mi się pani strój. Mogę pożyczyć?

– Raczej nie – odpowiada mama. – Rozciągniesz.

Erin przygryza wargę, by się nie roześmiać. Podejrzewam, że starzy, wredni ludzie są niezwykle zabawni. No chyba że to twoi rodzice.

– Herbatki? – pyta Erin.

Spoglądam na telefon.

– Lepiej pójde pod prysznic i przygotuję się do pracy.

– Wszystko w porządku? Wydajesz się rozbita.

– Mama obudziła mnie w środku nocy, twierdząc, że ktoś był w jej pokoju. – Wypowiedzenie tego na głos sprowadza strach, przez co niemal

rozlewam mleko, gdy podaję mamie miskę z płatkami. – Oczywiście nikogo nie było, ale nie spałam za wiele.

– Rozumiem. – Erin nadal przygryza dolną wargę i ze współczuciem przechyla głowę na bok. – Staje się problematyczna, co? Jak sobie radzisz?

– Mam dobre i złe dni. – Przeważnie złe. I najwyraźniej okropnie wyglądam, ponieważ wszyscy mi to powtarzają. – Powinnam się ubrać. – Posyłam jej uśmiech i wychodzę, zadowolona, że mogę oddalić się od nich obu.

*

Powtarzam sobie, by zadzwonić do Petera w drodze do pracy. Potem mówię sobie, by zrobić to podczas pierwszej przerwy. Zanim się orientuję, zbliża się pora lunchu, a wciąż nie wybrałam jego numeru. Gdyby nie dzwonił do mnie tak wiele razy, czułabym się o wiele lepiej. To nie jest normalne, żeby tak w kółko do kogoś wydzwaniać. No i te wiadomości, które zaczęły się przyjaźnie, a skończyły desperacko: „Cześć Sophie, przypominam się w sprawie drugiego spotkania. Wróc do mnie!”. No i ostatnia: „OK, chcę się tylko upewnić, że wszystko dobrze. Odezwij się, proooooożę”. Ledwie się znamy. Rozmawialiśmy przez jakieś pięć minut. Dlaczego tak bardzo zależy mu na moim dobrym samopoczuciu?

W tej chwili gość wydaje mi się podejrzany, nie jestem pewna, co zrobić. Jeśli istnieje sposób na pogorszenie sprawy, z pewnością go znajdę. Właśnie tak działa świat, nie?

– Proszę pani!

Ktoś macha mi przed twarzą, dając znać, że od dobrych kilku minut gapię się tępo w ekran telefonu.

– Możemy iść na lunch? Zadzwonił dzwonek.

– Tak?

Cała klasa odpowiada:

– Noo...

Kiwam do nich ręką.

– Idźcie. Szybko!

Kiedy dzieci wychodzą z klasy, moja komórka zaczyna wibrować. Dźwięk jest wzmocniony przez twardey blat biurka, więc się spinam. Biorę telefon, patrzę na ekran. W momencie gdy widzę imię Erin, najpierw czuję ulgę, jednak zaraz przychodzą nerwy. Odbieram.

– Wszystko w porządku?

– Przepraszam, Sophie – mówi – ale chyba powinnaś wrócić do domu. Twoja mama nie chce się dziś uspokoić.

Słyszę, że dziewczyna jest na skraju łez.

– Uderzyła cię?

– Nie... cóż, sprawiała problemy, nie chciała jeść. Próbowwała wyjść z domu, więc musiałam ją powstrzymać. Chciała mi ukraść kluczyki do auta. Ciągle mamrocze, że nie czuje się tu bezpiecznie. Wydaje się wystraszona, ale nie znam przyczyny.

– Dobrze, przyjadę wcześniej. Niedługo będę.

Rozłączam się, wchodzę na plac zabaw, na którym dyżur pełni Alisha. Marszczy brwi, gdy mnie zauważa.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, ale muszę jechać do domu. Opiekunka ma problem z mamą, więc muszę tam być. Mogłabyś po przerwie dołączyć moją klasę do twojej?

– Oczywiście – odpowiada. – Ale co zrobisz z Moirą?

– Zajrzę do niej po drodze. Dzięki.

Alisha odprowadza mnie zatroskanym wzrokiem, gdy wracam do budynku. Moira – nasza wiedźma-dyrektorka – nie będzie zadowolona, ale nic nie mogę na to poradzić. Czasami rodzina stoi ponad pracą i tyle.

Pukam do jej gabinetu. Czekam. Sekretarka jest na lunchu, więc muszę poczekać na Moirę.

– Proszę.

Wchodzę i staję twarzą w twarz z kobietą o lodowoniebieskich oczach i ostro ściętych czarnych włosach. Siedzi sztywno z dłońmi złożonymi na biurku przed sobą. Na jej twarzy nie ma śladu wesołości, natychmiast znów czuję się jak dziecko.

Pomimo reputacji kobiety, która jest nieugięta w stosunku do zarządu szkoły i nie toleruje pracowników, którzy nie przykładają się do nauczania, Moira MacIntosh jest ulubienicą dzieci. Nazywają ją panią Mac, gdy opowiada im zuchwałe żarciki, rzuca odniesieniami do popkultury i przykuwa ich uwagę jak nikt inny w tej szkole.

– Przepraszam, ale muszę wracać do domu. Chodzi o mamę.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak... cóż, nie... Jej stan szybko się pogarsza. Opiekunka ma dziś z nią problemy. Przykro mi. Obiecuję, że to nie będzie się powtarzać. Alisha zajmie się moją klasą.

Kiwa krótko głową.

– Okej. Jeden raz powinien być w porządku. – Posyła mi bardzo krótki uśmiech, nim jej wzrok wędruje z powrotem do leżących na biurku dokumentów.

Wychodzę z jej gabinetu lekko zdenerwowana szybką odprawą. Czerwienię się z zażenowania. Spodziewałam się pociechy, ale jej nie dostałam. Być może tylko mi się zdaje, ale czy dyrektorka skarciła mnie niewielkim uśmiechem i lakonicznymi słowami? *Jeden raz powinien być w porządku.* Mam przeświadczenie, jakbym została upomniana. Kiedy przechodzę korytarzem, pocą mi się dłonie i mam poczucie, że wszyscy się odwracają, by na mnie popatrzeć. To pierwszy raz, gdy wychodzę wcześniej z pracy.

Pospiesznie przemierzam parking, starając się odsunąć od siebie te myśli. Martwię się powrotem do domu. Napędzają mnie adrenalina i kofeina, gdy prowadzę auto. Kończy mi się energia, zwiastując katastrofę. Przynajmniej udaje mi się dotrzeć do domu, nie robiąc krzywdy sobie ani nikomu innemu.

Szuram piętami po ścieżce, spiesząc do drzwi. Są zamknięte, więc szamoczę się z kluczami, następnie wpadam do przedpokoju. Odwracam się i przekręcam skobel zamka. Erin musiała zabezpieczyć je z konkretnego powodu. Zapewne po to, żeby mama jej nie uciekła.

– Erin? Mamo?

Z salonu dobiegają podniesione głosy. Coś niezrozumiałego i „nie jesteś tu mile widziana”. Znów *coś* i zaraz „wynoś się z mojego domu”. Następnie szloch.

Kiedy wchodzę do pomieszczenia, widzę skuloną Erin, która zasłania się poduszką z kanapy oraz mamę trzymającą nad głową ciężki świecznik, na jakim stawiamy kościelne świece. Zbliżam się powoli zszokowana sceną, jaką mam przed sobą.

– Mamo, odłóż świecznik.

Odwraca się do mnie, otwiera usta.

– Ta kobieta przebywa w moim domu i nie pozwala mi wyjść. Chcę się przejechać.

– Oddaj świecznik, to wybierzemy się na przejażdżkę.

W jej oczach przez chwilę tli się gniew, więc się cofam, niepewna, co zrobi. Opuszcza ręce i mruga.

– Nie wiem, czy mam na to ochotę. Chyba pójdę się położyć.

– Dobrze, mamo. Pomogę ci.

– Chyba, muszę... iść...

– Przepraszam, Erin. Możesz wracać do domu. Poradzę sobie.

– Na pewno? – Dziewczyna ociera mokre policzki i bierze torebkę z ławy.

– Oczywiście.

Drzwi frontowe zamykają się, nim znajdujemy się w połowie schodów. To nie tak, że nie jestem przyzwyczajona do przebywania sam na sam z mamą – było tak mniej więcej przez całe moje życie – ale w tej chwili czuję się bardzo samotna.

– Pamiętasz tatę? – pytam, nim mam szansę się powstrzymać. Spinam się, gdy przechodzimy przez próg. Mama siada na skraju łóżka. Nawet zanim pojawiły się symptomy choroby, nie zносиła mówić o moim ojcu. Nie pamiętam o nim zbyt wiele. Tylko to, że popełnił samobójstwo, gdy byłam bardzo mała. Mama była wściekła, że zostawił ją z dzieckiem. Ledwie o nim wspominała.

– Miękki – mówi. – Miękkie oczy, miękki charakter. – Kręci głową. – Nigdy ci nie mówiłam...

– O czym? – Odwracam się twarzą do niej, aby zobaczyć jej minę. To dziwne słowa. Złowieszcze, sugerujące jakąś tajemnicę z przeszłości.

– O co ci chodzi? – pyta.

Wzdycham. Jakiegokolwiek ma sekrety, z pewnością ich nie zdradzi. Nie wiem, czy kiedykolwiek jej umysł będzie jeszcze na tyle spójny, by mi je wyznała. Ściągam jej kardigan i pomagam się położyć.

– Mamo, to było... – Przyglądam się jej rękom. Ma na nich fioletowe sińce. Duże. Skóra jest raczej purpurowa niż zwyczajowo różowa. – Co ci się stało?

– Już ci mówiłam – odpowiada. – To był cień.

Rozdział 4

Gdy miałam około trzydzieści lat, obserwowałam przyjaciół, którzy zakładali rodziny. Nie mam ich za wielu, przynajmniej już nie teraz, ale po studiach utrzymywałam kontakt z niektórymi osobami, jak również przyjaźniłam się ze współpracownikami ze szkoły. Pytałam, jak to robili, jak przetrwali brak snu, gdy ich pociechy miały ciężkie noce. Jakim cudem codziennie wstawali do pracy i pozostawali przy zdrowych zmysłach? Większość przyznawała, że było to trudne, ale podołali, bo nie mieli wyjścia. Inni udzielali błahych odpowiedzi, że skupiali się na okazywaniu miłości i czułości, co – choć byłam wtedy smętna – podnosiło mnie na duchu.

Najlepiej ujęła to Alisha. Kiedy jej synek, Dan, miał dwa latka, nie był w stanie przespać całej nocy. Pewnego razu, gdy była mocno wyczerpana, powiedziała, że nie można magicznie uporać się z brakiem snu. Nasze ciało go potrzebuje. Jasne, możemy przez jakiś czas jechać na oparach, kofeinie i silnej woli, ale to nas zmienia. Stajemy się agresywni, kłótlivi względem bliskich. Ale to sprawia, że zaczynamy wyznaczać w życiu priorytety, a odrzucamy bzdury.

Jeszcze nie dotarłam do tego miejsca. Wciąż jestem w stanie spać. Muszę wstać w nocy, aby ponownie sprawdzić, czy nikogo nie ma w pokoju

mamy. Zaglądam w każdy kąt i zakamarek, żeby mogła się rozluźnić. Mimo to udaje mi się zdrzemnąć na kilka godzin, zanim zadzwoni budzik. Jestem zmęczona, moje kończyny są cięższe niż zwykle. Potrzebuję dłuższej chwili, by się pozbierać, jednak mam wystarczająco dużo energii, by stawić czoła temu dniu. Podświadomość nie daje mi spokoju. Nie potrafię zmusić się do okazywania miłości i czułości. Opieka nad chorą osobą nie jest pełna radości i pocałunków. Gdzie znajdę ostatnią odrobinę energii? Jak przetrwam, gdy mnie to przerośnie?

Częściowo nie spodziewam się powrotu Erin. Przygotowuję się mentalnie na to, że rano zapuka do drzwi nowa opiekunka. Jednak do domu wchodzi Erin, macha mi lekko, posyła mamie pełen wahania uśmiech.

Podaje jej herbatę.

– Jeśli chodzi o wczoraj...

– To moja wina – mówi. – Byłam szkolona do zajmowania się trudnymi pacjentami. Jednak stało się to tak nagle, że mnie przytłoczyło.

– Erin. – Wzdycham, obejmując palcami ciepły kubek. – Mama sprawia wielkie kłopoty, wiem o tym. I mam świadomość, że część z nich nie jest wywołana Alzheimerem. Czasami złośliwość wynika z jej prawdziwej natury. Przepraszam za wczoraj. Chciałabym jakoś ci to wynagrodzić.

– To nic – odpowiada. Widzę, że usilnie stara się to zbyć. Widzę, że jej uśmiech jest wymuszony. Też nie byłabym zadowolona z takiej pracy.

– Niedługo zabiorę ją do lekarza. Może przepisze coś, co ją uspokoi.

– O nie – odpowiada Erin. – Nie mogę pozwolić, by przeze mnie cierpiała. Przeważnie wciąż jest sobą. Nie chciałabym jej tego odbierać.

Myślę o mamie, jaka jest naprawdę. O jej ostrym spojrzeniu i jeszcze ostrzejszym języku. Być może częściowo cieszyłabym się, mogąc jej to odebrać, ale odsuwam od siebie tę myśl. Jest okropna, gorzka, pozostawia niesmak w ustach.

– I nie martw się siniakami. Są duże, ale sprawdziłam ruchomość stawów i jest w porządku. Ma wrażliwą skórę, jak większość staruszek. – Milknę, gdy na twarzy Erin maluje się szok. Dziewczyna wytrzeszcza oczy i ciągnie za koleczyk.

– Jakie siniaki? Nie rozumiem.

– Musiałaś ją posiniaczyć, gdy powstrzymywałaś ją przed wyjściem z domu. Jak mówiłam, nie przejmuj się. Wiem, że nigdy nie zrobiłabyś jej celowo krzywdy i musiałaś zatrzymać ją w domu, inaczej mogłaby wybiec na drogę lub zrobić coś znacznie gorszego.

– Ale nie powstrzymywałam jej siłą – mówi podniesionym, pilnym głosem. Rumieni się. – Nigdy bym jej nie skrzywdziła. To ona mnie uderzyła, ale nie wspominałam o tym, bo...

– Przykro mi. Nie chciałam cię o nic oskarżać. Zauważyłam kilka siniaków, gdy kładłam ją wczoraj do łóżka i założyłam... Musiały powstać innego dnia. Widziałaś, żeby się w coś uderzyła? Weszła w jakiś mebel?

– Nie – odpowiada, pocierając szyję. – Nie zauważyłam niczego takiego, a cały czas ją pilnowałam. Nie wiem, w jaki sposób mogłaby się tak poobijać. Jeśli chcesz, spojrzę dziś na te sińce.

– Dzięki. Byłoby super.

Następuje napięta i niezręczna cisza. Erin popija herbatę, nie patrząc mi w oczy. Sprawdzam telefon i uświadamiam sobie, że spóźnię się do pracy, jeśli się nie pośpieszę, więc szybko przemierzam schody. Kiedy zdejmuję szlafrok i wchodzę pod prysznic, nie mogę pozbyć się przeszywającego mnie niepokoju. Po pierwsze, zainicjowałam zmianę naszej relacji, oskarżając Erin o skrzywdzenie mamy. Nie chciałam, aby tak to wyszło. Byłam pewna, że powstrzymywała ją przed opuszczeniem domu, więc się na tym zafiksowałam. Po drugie, jeśli to nie Erin, a mama nie uderzyła się o żaden mebel, skąd wzięły się u niej te sińce?

*

Chociaż zazwyczaj aktywizuję dzieci na lekcjach, czasami lubię, gdy czytają po cichu, a ja sprawdzam wtedy ich zadania domowe. Dziś stwierdziłam, że przez połowę czasu będą czytać po cichu, a przez resztę głośno, po czym podyskutujemy o tych fragmentach. Wiem, że każdy nauczyciel stara się nieco wyciągnąć te ciche dzieci z ich skorup, lecz przeważnie każdy z nich ponosi porażkę. Martwię się jednak o przyszłość kilkorga uczniów z mojej klasy, ich interakcję ze światem, gdy będą starsi. Dlatego chcę, aby przeczytali dziś coś na głos. Pamiętam, gdy po raz pierwszy miałam przeprowadzić lekcję i jak bardzo byłam wtedy przerażona. Nie chcę, by dzieci czuły się tak samo.

– Okej, potrzebuję ochotników. Kto przeczyta pierwszy akapit? Może ty, Chloe?

Ignoruję podniesione ręce. Wiem, że Ben przeczyta fragment śmiesznym głosem i zapewne dołączy kilka odgłosów puszczenia bąka. Alice będzie siedziała prosto i wyłoży tekst z najlepszą dykcją, popisując się przed klasą. Ale to nie o Bena czy Alice się martwię. Chodzi o Chloe. Dziewczynkę, którą wszyscy olewają. Która gapi się przez okno ze smutnym wyrazem twarzy.

Dziewczynkę, która spogląda teraz na mnie z przerażeniem.

– Który, proszę pani? – Przesuwa się na krześle, sięgając po książkę i udaje, że szuka akapitu.

– Na górze strony, Chloe. Zaczyna się od: „Pingwiny...”.

Wpatruje się uważnie w stronę. Przesuwa książkę, prostując plecy. W końcu unosi głowę i pyta:

– Czy Jessie może przeczytać?

Klasa parska śmiechem.

– Dosyć – nakazuję surowym głosem. – Byłoby lepiej, gdyby Jessie przeczytała akapit?

Chloe kiwa głową. Serce mi pęka. Jest tak bardzo w tyle za innymi, że nie mam pojęcia, czy zdołam jej pomóc.

– Możesz przeczytać jako Jessie, jeśli chcesz. – Używam przyjaznego, ale poważnego głosu, aby powstrzymać chichot czy szepty reszty uczniów. – Zaczynaj.

– Pin... gwiny... – duka.

Niestety, gdy mówi za wyimaginowaną koleżankę, używa dziwnego, nosowego głosu, przez który klasa rechocze niekontrolowanym śmiechem. Posyłam Benowi lodowate spojrzenie, gdy otwiera usta, by coś powiedzieć. Uspokajam ich nadmierną wesołość.

– W porządku, Chloe. Dobrze ci idzie. – Kiwam do niej głową, zachęcając, aby czytała dalej, gdy się jąka. W końcu udaje jej się dotrzeć do końca akapitu. – Dobrze, Chloe. Super. Okej, kto następny? Może ty, Alice? – To bezpieczna opcja. Alice zbyt mocno oczekuje mojej aprobaty, by nabijać się z tego, jak czyta koleżanka. Uczennica kontynuuje opowiadanie, wymawiając z gracją każde słowo.

Ledwie jej słucham. Przyglądam się poprzedniej dziewczynce, która wydaje się nieświadoma innych dzieci. Pisze coś na skrawku papieru i pokazuje niewidzialnej osobie obok. Następnie się uśmiecha.

– ...i właśnie dlatego pingwiny to jedyne ptaki...

Rozbrzmiewa dzwonek, wyrywając mnie z zadumy.

– Okej, czas na przerwę. Tylko nie biegajcie na korytarzu. – Czekam, aż uczniowie wyjdą z sali, w końcu mogąc się do woli pośmiać. Są pełni energii. Zbierają się w grupki i szepczą na temat Chloe. Imitują jej dziwny głos. Czekam, aż dziewczynka przejdzie przed moim biurkiem, i proszę, by na chwilę przystanęła.

– Jak się czujesz, Chloe? Byłaś dziś trochę nieobecna.

– Wszystko dobrze – odpowiada.

– Dobrze dziś czytałaś. Chciałabym, żebyś to ćwiczyła, w porządku?

Kiwa głową.

Nie dostrzegam jej wcześniejszego zażenowania czy smutku. Rozmawia ze mną pasywnie, ale widać, że czuje się niekomfortowo. Wolałaby ukryć się z Jessie w jakimś kącie na placu zabaw.

– A co z twoimi rodzicami? Czy wszystko u nich dobrze? – pytam.

– Tak. – Patrzy na swoje dłonie.

– Udanej przerwy. Będziesz bawić się z innymi?

Kręci głową.

– Tylko z Jessie.

Kątem oka dostrzegam ruch. W drzwiach stoi Alisha.

– Dobrze, do zobaczenia na lekcji – mówię, pozwalając małej odejść.

Alisha wchodzi do sali i siada na ławce z przodu. Przygląda się wychodzącej uczennicy, która zamyka drzwi, o co zwykle proszę ostatnie dziecko opuszczające klasę. Lubię mieć chwilę spokoju.

– Ten dzieciak mnie przeraża. – Alisha rozpakowuje batonik czekoladowy.

– Staram się jej pomóc, by bawiła się z innymi, ale nic nie działa. Właściwie pogorszyłam tylko sprawę. Teraz wszyscy się z niej nabijają. – Wzdycham i przeczesuję włosy palcami.

– Jej rodzice zatrudnili dziecięcego psychologa – mówi Alisha. – Według mnie jest z nią coś nie tak.

– Cóż, może terapeuta sobie poradzi. Zapewni lepszą pomoc niż ja.

– Hej, chcesz iść na kawę po pracy? Napiałabym się mokki, zjadła bułeczkę. – Porusza figlarnie brwiami, zarzucając przynętę.

– Nie mogę. Muszę być w domu po tych wczorajszych problemach mamy.

– Potrzeba ci czasu z dala od pracy i od niej – komentuje. – Wyglądasz, jakbyś zaraz miała się wypalić.

– Nic mi nie będzie – odpowiadam, zastanawiając się, czy to kłamstwo.

– Uważaj, Soph. Nie pomożesz wszystkim, których ci żal.

*

Jadąc do domu, nieustannie odtwarzam w myślach słowa przyjaciółki. Właśnie to staram się zrobić? Pomóc wszystkim wokół? To dlatego martwię się o Chloe, nawet jeśli to nie moje dziecko? Nie myśląc o drodze, wymuszam pierwszeństwo na skrzyżowaniu. Rozlega się za mną głośny klakson, więc dociskam gaz.

Nic dziwnego, że przy tak wielu wydarzeniach w moim życiu wyobrażnia szaleje. Być może szukam problemów tam, gdzie ich nie ma. Chloe ma rodziców, rodzinę. Powinnam zostawić ją w spokoju.

Myślę jednak o niej, gdy wjeżdżam na swoją ulicę i szukam miejsca do zaparkowania. Tylko kilka domów ma podjazdy. Przy chodniku znajduje się sznur aut.

Wtedy to do mnie dociera.

Chloe przypomina mnie samą, gdy byłam małą.

Szkoła była dla mnie trudnym doświadczeniem. Nie miałam wielu przyjaciół. Byłam wycofana. Miałam nawet niewidzialną koleżankę. Mam ochotę cofnąć się w czasie i pomóc sobie samej.

Myśl jest niepokojąca, ale to prawda. Spycham ją jednak na kraniec świadomości, gdy parkuję. Odpinam pas i idę do domu. Erin nie dzwoniła, więc zakładałam, że w domu było dziś wszystko dobrze. Mimo to jestem spięta, gdy otwieram drzwi i się witam. Częściowo spodziewam się, że mama będzie klócić się z opiekunką, że przejdą do rękoczynów, ale

odpowiada mi cisza. Mama śpi na kanapie przed telewizorem, Erin wyciera stół.

– Wypluła herbatę – mówi.

Mimowolnie zauważam, że nie patrzy mi w oczy, wycierając nerwowo blat.

– Napijesz się?

– Nie dziś. Muszę wracać. Josh gotuje obiad.

– Brzmi cudnie.

Przechodzi do kuchni, wykręca ścierkę nad zlewem.

– Przepraszam za ranek – mówię. – Coś mi się pomyliło. Całkowicie.

– Nie przejmuj się. – Wiesz ścierkę na ociekaczu i wyciera ręce w inną.

– Chyba telefon ci dzwoni. – Wskazuje, gdzie go zostawiłam. – Lepiej już pójdę. Do zobaczenia jutro.

Nie mam za wiele do dodania, więc daję jej wyjść, mając nadzieję, że wybaczy mi, gdy się prześpi. Na ekranie znów widzę imię Petera. Wzdycham. Czas położyć temu kres. Próbuję się uspokoić i odbieram:

– Halo?

– Sophie! – brzmi na podekscytowanego, aż przyspiesza mi serce. – Martwiłem się.

– Przepraszam, że nie oddzwaniałam, Peter. Po prostu... zajmowałam się mamą.

– W porządku – mówi bez wahania.

– Słuchaj, wiem, że miałeś nadzieję, że ponownie się spotkamy, ale naprawdę... bardzo mi przykro, ale ja, eee... Chodzi o to, że zbyt wiele dzieje się teraz w moim życiu. Cały czas zajmuję się mamą i...

– To nic – przerywa mi. – Ja też mieszkam z matką. Uważam, że to bardzo dobrze, że się nią opiekujesz.

– Tak. Miło z twojej strony, ale nie znajdę teraz czasu na cokolwiek innego.

– Co chcesz powiedzieć, Sophie? – Być może jestem przewrażliwiona, ale wydaje mi się, że jego głos jest lodowaty. Mężczyzna jest zirytowany.

– Mówię, że nie będzie kolejnego spotkania. Nie chodzi o ciebie. Jesteś bardzo... miły. Ale nie mogę... nie mogę się teraz z nikim spotykać.

Kiedy się odzywa, brzmi, jakby syczał przez zęby:

– W takim razie, dlaczego założyłaś konto na portalu randkowym?

Jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się takiej wrogości. Wiedziałam, że facet jest trochę inny, wydzwaniał do mnie intensywnie, ale teraz naprawdę zaczynam się martwić.

– Miło było cię poznać, Peter. – Mój drżący głos zdradza zdenerwowanie. Bardzo źle się czuję podczas tej konfrontacji. – Muszę kończyć. Dodaję ciszej: – Nie dzwoń do mnie więcej, proszę.

Rozłączam się i idę do salonu, by sprawdzić, czy mama nadal śpi, następnie biorę laptopa i siadam przy stole w jadalni. Serce nadal bije mi pospiesznie, gdy usuwam swoje dane z portalu. Opieram się na krześle, próbując przetworzyć wszystko, co się stało. Może przesadziłam. Przecież mi nie groził. Jednak zaniepokoiło mnie coś w jego głosie, jak również sposób, w jaki się odezwał.

Kości mnie bolą, gdy wstaję, aby zaparzyć herbatę. Wzdrygam się, słysząc przeszywający dźwięk telefonu stacjonarnego, aż narasta we mnie niepokój. Chwytam się za serce, by się uspokoić. To zapewne telemarketer.

– Halo?

Cisza.

Drapię się po rękę. Mam gęsią skórkę.

– Kto tam?

Nadal nic.

– Peter?

Dzwoniący się rozłącza.

Rozdział 5

Odkładam słuchawkę i się odsuwam. Mam tak wiele pytań, ale jedno wysuwa się przed szereg: czy to był Peter? A jeśli tak, skąd zdobył mój numer domowy?

– Kto to? – Twarz mamy ma rozluźniony wyraz, jest lekko napuchnięta po drzemce. Ociera kącik oka i marszczy brwi.

– Nie wiem – odpowiadam. – Rozłączył się.

– Pewnie sprzedawca ubezpieczeń czy czegoś podobnego – mówi.

Dziwne, że jest tak świadoma zaraz po pobudce. Zazwyczaj wydaje się być wtedy zdezorientowana. Choroba nie ma jednak stałego przebiegu. Mama ma dobre i złe chwile, wesołe i kiepskie dni... Nie nadążam już za tym.

– Nie sądzę – wytykam. – To było... no nie wiem.

Mruży oczy.

– Co się z tobą dzieje? Jesteś blada. – Zbliża się, a ja próbuję się nie kulić, gdy przygląda się mojej twarzy, szukając na niej wskazówek. Uwielbia domysły, gdy coś jest nie w porządku, ponieważ kocha mieć rację. – Wiesz, kto dzwonił. – Kąciki ust drgają jej w półśmiechu.

To niesamowite jak jedno ostre spojrzenie matki zmienia mnie w dziesięciolatkę, która wije się, gdy zostaje wyciśnięta z niej prawda. „Kto

rzucał kamieniami w auto, Sophie? Powiedz. Dzieciak sąsiada, prawda? Kryjesz go”. Odsuwam się od niej, spodziewając się, że złapie mnie silnymi palcami za rękę, wyciągnie z domu i zaprowadzi do sąsiada, po czym zapuka do drzwi. Czuję, jak w moją skórę wbijają się paznokcie. Zamykam oczy, przełykam ślinę i odsuwam od siebie wspomnienie.

– Nie jestem pewna – mówię, gdy się nieco uspokajam.

– Kimkolwiek był, zdenerwował cię. No dalej. Wyrzuć to z siebie. Kto zadzwonił do naszego domu i się rozłączył oraz dlaczego jesteś przerażona?

– Peter – rzucam. – Facet, którego poznałam na portalu randkowym. Wydaje mi się, że to on i nie wiem, skąd mógł mieć nasz numer domowy. Podałam mu jedynie numer komórki. Wydzwaniał do mnie często i choć myślałam, że trochę przesadza, wydawał się nieszkodliwy. Powiedziałam mu jednak, że do niczego między nami nie dojdzie i brzmiał, jakby się... wkurzył.

Wciąga powietrze i prostuje plecy. Zaciska dłonie w pięści, a ja się odsuwam.

– Ty głupia dziewczucho! Mówiłam ci, żebyś nie spotykała się z nikim poznanym w sieci, prawda? Ostrzegałam cię, że tak będzie. Ale nie, nigdy nie słuchasz matki. – Robi mi się zimno, gdy obserwuję, jak wypluwa z siebie słowa. Jak zawsze jej ciało jest całkowicie nieruchome, jedynie głowa chodzi na boki i w górę, i w dół od gniewu. Szeroko otwiera oczy, obwisła skóra na policzkach drży, gdy mama jest coraz bardziej wściekła. – Przez wszystkie te lata byłaś tylko małą kretynką. Zawsze mi się sprzeciwiałaś i mnie zawodziłaś...

– Wcale nie... Nie zawodziłam... Jestem...

– Pozwoliłam ci mówić?

Zapada całkowita cisza, gdy zamykam usta i czekam.

Mama kontynuuje wolniej i bardziej świadomie:

– Jesteś tylko magnelem na debili. Jak ten ostatni głupek miał na imię? Jimmy?

– Jamie.

– Spośród wszystkich mężczyzn musiałaś wybrać tego grubego kurdupła. Od samego początku powtarzałam ci, że to frajer, czyż nie? Ale pozwalałaś mu się szmacić, bo przecież lubisz być pod pantoflem. – Śmieje się. – Oczywiście z takim podbródkiem nie możesz liczyć na wiele więcej niż śmierdzący tłuszczem, gruby Jamie. – Naśladuje mój głos, wypowiadając jego imię.

Orientuję się, że patrzę pod nogi, jak przez całe życie. Do oczu napływają mi łzy. W przeszłości załamalabym się i błagała ją, by przestała. Teraz jednak wiem, że te wybuchy są nieuniknione. Ilekroć coś ją zdenerwuje, wyżywa się na mnie. Jeśli to zniosę, jeżeli pozwolę, by uwolniła wszystkie te emocje, przestanie i przez chwilę będę miała spokój.

– Obetnij włosy i przestań się ubierać jak osiemdziesięcioletnia bibliotekarka, a może znajdziesz faceta – prycha. – Czy lata temu nie mówiłam ci już, jak to zrobić? Nie pokazywałam ci? Gdybym chciała, mogłabym mieć każdego mężczyznę w tej miejscinie. – To chyba było prawie dekadę temu, kiedy mama była wciąż atrakcyjną czterdziestopięciolatką. Poza tym, miała niemal każdego faceta w tej miejscinie. Jej romanse były najgorzej strzeżonym sekretem w Eddington. – Jak cię wychowałam? Jakim cudem wyrosłaś na taką niedojdę, która potrzebuje internetu, żeby się z kimś umówić i przyciąga samych zboczonych idiotów? Co zrobiłam, jako matka, by zasłużyć na taką córkę?

Ostatnie zdanie wybrzmiewa w powietrzu. To nic, czego bym wcześniej nie słyszała, ale jej jad zawsze mnie zaskakuje. Zamykam oczy, a do mojego umysłu napływają wspomnienia.

Jest zimowe popołudnie. Słabe promienie słoneczne zalewają kuchnię. Mam może sześć czy siedem lat, czekam na obiad. Mama tłucze garnkami

i patelniami, pokrzykując nad kuchenką, która nie działa. W pomieszczeniu czuć lodowate powietrze, mam na sobie gruby sweter. Mama klnie, a ja wpatruję się w swoje palce, próbując nie słuchać brzydkich słów. Odwraca się i spogląda na mnie. Jej spojrzenie jest chłodne. Mówi oschłym głosem:

– To nie powinnaś być ty. Nie jesteś córką, na którą zasługuję.

Otwieram oczy, ale jej nie ma.

– Mamo?

Słyszę grzechot kluczy.

– Mamo!

Biegnę do salonu i widzę, że otwiera drzwi.

– Mamo, nie!

Wychodzi na ulicę. Spieszę, nawołując ją, ale jest szybka. Szczupła, drobna, ale prędko przebiera nogami, gdy wychodzi na asfalt. Przerazona przyglądam się, jak jedzie na nią samochód. Mama stoi pośrodku drogi i odwraca się w kierunku auta. Słysząc pisk hamulców. Zamieram. Od razu ruszam z miejsca. Mama wyciąga przed siebie rękę.

– Mamo? Wszystko dobrze?

Słysząc trzask drzwi.

– Wbiegła mi wprost pod maskę!

Kładę rękę na jej ramionach. Płacze, mocząc mi bluzkę.

– Wiem. Przepraszam. – Wydaje się krucha. Jej ramiona są kościste, sztywne. Stare.

– Co sobie myślała?! – pyta kierowca. Przyglądam mu się. Jest młody, ma mysie włosy i zarost na twarzy.

– Bardzo przepraszam. Ma demencję.

Waha się.

– Oj, to...

Tak. Nie ma nic do powiedzenia. Otwieram usta, ale też nic nie przechodzi mi przez gardło. Prowadzę mamę z powrotem do domu.

– Może nie jestem córką, której chciałaś – szepczę. – Ale jestem jedyną osobą, która w tej chwili się o ciebie troszczy.

Nie wiem, czy mnie usłyszała.

*

Szybko nadchodzi noc. Po incydencie na ulicy przygotowuję nam zapiekankę z kielbasą. Mama milczy podczas posiłku. Później patrzy na mnie i się uśmiecha, ale wydaje się, jakby przypominała sobie kogoś innego. Kogoś z przeszłości. Nagle jej spojrzenie nabiera ostrości. Marszczy brwi i wyciąga dłoń, jakby chciała pogłaskać mnie po policzku.

Prowadzę ją do łóżka. Pomagam jej przebrać się w koszulę nocną.

– Musisz sprawdzić, czy w szafie nie ma cienia – mówi.

Sumiennie otwieram drzwi, przesuwam ubrania na bok, by sprawdzić wszystkie kąty.

– Czym jest „cień”, mamó? Ciągle o nim mówisz, ale nigdy nie wyjaśniłaś. Dlaczego to słowo wydaje mi się znajome?

Otwiera usta, zaraz je zamyka. Kręci głową. Patrzy przenikliwie, więc wiem, że jest świadoma.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Nie ma żadnego cienia. Nie istnieje.

Wzdycham.

– Dobranoc, mamó.

– Tak – odpowiada.

Obraca się na bok, kładzie głowę na poduszce. Wyłączam światło i idę na dół, by nalać sobie duży kieliszek wina.

Od tej pory wiem, że będę musiała trzymać klucze od domu i samochodu z dala od niej. To kolejna rzecz, o której muszę pamiętać.

Upijam trochę wina, odtwarzając w myślach chwilę, gdy samochód pędził na mamę. Serce mi przyspiesza, rozpala się strach. Jednak nie jest to obawa

o utratę jej. To myśl, która pojawiła się we mnie, gdy widziałam jadące na nią auto. Istniała jedynie przez ułamek sekundy. Tak, chwilę. Mimo to była zbyt głośna, bym mogła ją zignorować. Nie mogę udawać, że jej nie było, nawet gdybym chciała.

Przez moment myślałam, że jeśli samochód się nie zatrzyma, uderzy w nią – że jeśli przejedzie ją na moich oczach – wszystko się skończy. Mama odejdzie. Nie będzie dłużej chorować, a jej umysł nie będzie powoli się rozpadać.

A ja będę wolna.

Rozdział 6

Śnię o lustrze bez odbicia. Dociskam dłoń do tafli. Jest zimna, twarda. W miejscu, w którym moje palce dotykają szkła pojawia się pęknięcie. Stopniowo przedłuża się na powierzchni. Z fascynacją śledzę wzrokiem rysy tworzące wąskie żyły. Rozchodzą się, aż lustro się rozpada. Odsuwam się w końcu wyrwana z transu, ratując dłoń przed wielokrotnym pocięciem. Jestem poza zasięgiem odłamków, ale i tak odczuwam ból. Powstaje on w brzuchu i promieniuje, miażdżąc mnie od środka. Wtedy uświadamiam sobie, że jestem pusta. Roztrzaskana jak lustro bez odbicia.

Kiedy nadchodzi kres bólu, pojawia się delikatne, niczym łaskotanie pędzla na skórze, wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Drzę i drapię ciało.

Za mną panuje mrok. Wyczuwam obecność, która jest mi znajoma, choć nie wiem dlaczego. Odwracam się. Powoli. Stopniowo. Muszę się dowiedzieć, kto jest za mną. Pragnienie jest instynktowne. Pierwotne. Istotne jak oddychanie. Potrzeba, by ujawnić tę obecność narasta. Sen się jednak kończy, gdy stoję obrócona w połowie, a moja pierś unosi się i opada gwałtownie w oczekiwaniu. W mroku rozchodzi się szept, który mimo to do mnie nie dociera. W tym momencie budzę się.

Otwieram oczy. Skórę mam mokłą od zimnego potu. Czuję, że jest śliska, gdy przecieram zaspane oczy. Odzywa się budzik, więc wyplątuje się

z pościeli. Jest szósta, mój dzień właśnie się rozpoczął.

Odnajduję komórkę, wyłączam budzik. Spuszczam nogi z łóżka i wstaję. Choć codziennie jem coraz mniej, wydaję się cięższa. Nie ciąży mi waga ciała, a stres. Świadomość tego, że kolejny dzień upłynie na zamartwianiu się. Cięży na mnie presja opieki nad chorą matką. Dłużej nie mogę zaprzeczać jej istnieniu.

Pocieszająca jest przynajmniej miękka bawełna mojego szlafroka. Przechodzę przez sypialnię, otwieram okno. W powietrzu czuć gorzką woń. Być może to ja tak śmierdzę po koszmarze. Może to kosz pełen zaniedbanego prania. Poranna bryza jest świeża i przyjemnie owiewa mi skórę. Mogłabym zostać tu kolejną minutę, może nawet trzy czy pięć, ale wiem, że to niemożliwe. Muszę się przyszykować.

Wychodzę mozolnie z pokoju. Kiedy to zaczęłam tak człapać? Kiedyś chodziłam sprężysto. Na szkolnych wycieczkach uczniowie narzekali, że nie mogą za mną nadążyć, ale powtarzałam, aby nie marudzili, ponieważ tyle rzeczy chcę im pokazać. Tak wiele dzieł sztuki, literatury, techniki.

Drzwi zamykają się za mną z mocnym trzaskiem. Klamka przy wejściu do pokoju mamy jest zimna, przywołuje obrazy ze snu, gdy przyciskałam palce do lustra. Otrząsam się ze wspomnienia i otwieram je ponownie.

Najpierw czuję zapach. Wypełnia cały pokój. To wymiociny. Wtedy ją słyszę. Dławi się, jakby zakrztusiła się zupą. Jej skóra jest blada jak z wosku. Pomiedzy wargami widzę pianę, nieco jedzenia na poduszce. Unoszę dłoń do ust, gdy kurczy mi się żołądek. Mama dławi się własnymi wymiocinami.

Dech więźnie mi w gardle. Nie ruszam się. Temperatura w pomieszczeniu wydaje się gwałtownie spadać. Stoję w koszuli nocnej, słuchając odgłosów krztuszenia. Mama przechyla ku mnie głowę i otwiera przekrwione oczy. Rzucam się do działania, obracam ją na bok, otwieram jej usta i wykonuję

obrzydliwe zadanie, którego nie życzyłabym nikomu – oczyszczam drogi oddechowe z paskudnej mieszanki, która ją zatyka.

– W porządku – uspokajam ją. – Leż na boku.

Wybiegam, porywam komórkę i wybieram numer alarmowy. Wracam do mamy i obserwuję, jak dyszy.

Nie można temu zaprzeczyć. Znow się zawahałam. Niemal dałam jej umrzeć.

*

Siedzę obok niej w białej sali. Jasność jest oślepiająca i niepokojąca. Szpitalne zapachy wywołują u mnie klaustrofobię i dyskomfort. Siedzenie jest twarde, plecy bołą mnie przez tani plastik, ale i tak nie zdołałabym się odprężyć, nie, kiedy mama leży obok na łóżku, blada i chuda. Do ręki ma podłączoną kroplówkę, która ją nawadnia, jak mówiła lekarka. Pani doktor właśnie podchodzi, trzymając dokumenty, na jej twarzy nie gości uśmiech. Wstaję, by się przywitać, ściskam ciepłą dłoń i odsuwam się, aby skrzyżować ręce na piersiach bez biustonosza.

– Panna Howland? – pyta, podkreślając to, że jestem panną. Zapewne sama jest ogarnięta. Może mieć zaledwie pięć czy sześć lat więcej ode mnie. Wnioskując po siwiźnie w jej ciemnych włosach i zmarszczkach przy oczach – ale wydaje się, jakby dzieliło nas całe pokolenie. Cechuje ją pewność siebie. Wyobrażam sobie, że jest matką genialnych nastolatków, które za rok czy dwa ukończą szkołę średnią. Jest kobietą, którą sama chciałam się stać. Kimś, kogo nie przytłaczają rachunki i konta na portalach randkowych. – Nazywam się doktor Masood. Rano opiekowałam się pani mamą. – Marszczy brwi, patrząc na moją koszulę nocną.

– Opiekunka matki przywiezie mi ubranie – wyjaśniam. – Wszystko stało się tak szybko, gdy przyjechała karetka.

– Rozumiem – mówi. – Dobrze, że ma pani pomoc. Mama cierpi na wczesną postać choroby Alzheimera, prawda?

– Tak – odpowiadam. – Zdiagnozowano ją ponad rok temu. Szybko postępuje. Ostatnio mama była mocno zdezorientowana. Jednak zdarzają jej się lepsze dni.

– Przykro mi słyszeć, że choroba rozwija się w tak szybkim tempie. Niestety nie jest to rzadkie zjawisko u pacjentów cierpiących na to schorzenie. – Milknie. – Czy pani matka w jakiś sposób zrobiła sobie krzywdę? Lub przejawiała chęć do tego?

– Nie – odpowiadam. – Choć znalazłam kilka siniaków na jej rękach. Mówiła, że nie pamięta, jak je sobie zrobiła. Cóż, to nie do końca prawda. Mówiła, że to cień. Często o nim wspominała. Twierdziła, że ukrywa się w jej pokoju. – Próbuję się zaśmiać, by poprawić ciężką atmosferę, ale wychodzi to bezdusznie.

– Tak – mówi lekarka. Zerka na dokumentację, następnie wraca do mnie wzrokiem. – Wygląda na to, że pani mama wypła wybielacz. Nie było go wiele, ale wystarczyło, by zwymiotowała.

– Słucham?

– Niestety pacjenci z demencją, jak pani mama, wykazują tak dziwne zachowania. Nie musi to oznaczać, że celowo chciała zrobić sobie krzywdę, ale musi pani pilnować, aby więcej nic takiego się nie przytrafiło. Dobrze pani postąpiła. Zachowała pani zimną krew i ocaliła jej życie. Trafiła do nas, zanim wybielacz dokonał nieodwracalnych zniszczeń, tak samo jak niedobór tlenu. Dobra robota. Powinna być pani z siebie dumna.

Wracam myślami do tej przerażającej chwili, gdy stałam tak wpatrzona w duszącą się matkę. Nie sądzę, że zasługuję na jakąkolwiek pochwałę. Nie powinnam być dumna. Tak naprawdę to jest mi niedobrze. Chcę wyjść z tej dusznej sali z migającym światłem i kroplówką.

– Dobrze się pani czuje? – pyta doktor Masood. – Jest pani blada.

– Miałam ciężki poranek – przyznaję. Próbuję przełknąć ślinę, ale w ustach mi zaschło.

– Radzi sobie pani? Wiem, że opieka nad takim pacjentem jest trudna. – Kładzie rękę na moim ramieniu i ściska. To taki mały gest pocieszenia od profesjonalistki. – Przyniosę pani ulotki. Istnieje kilka fundacji, które mogą pomóc.

Dziękuję jej, ale nie potrafię sobie wyobrazić, by przyniosła coś, czego jeszcze nie czytałam.

Wychodząc, odwraca się i mówi:

– Proszę się nie martwić. Wypiszemy mamę, gdy wrócą jej siły i zostanie dobrze nawodniona. Niedługo będziecie w domu. – Posyła mi swój zapewne rzadki uśmiech i znika na długim korytarzu.

Kiedy mnie zostawia, uginają się pode mną kolana. Ściskam oparcie krzesła, by się podtrzymać. W gardle czuję żółć, która grozi wydostaniem się z ust. W głowie mi się kręci, obraz rozmazuje przed oczami. Żołądek kurczy się na myśl, że lekarka uważa, że bardzo chcę, aby mama wróciła już do domu, choć zaledwie godzinę temu wahałam się, czy jej pomóc. Przyglądałam się. Ledwie przez chwilę, ale obserwowałam, jak się dusi.

Jaką jestem osobą? Jaką córką? Nie da się ukryć, mama ma wady, ale nigdy się nie poddała, nigdy mnie nie porzuciła. Karmiła mnie, ubierała, a teraz ja robię to samo dla niej – i niemal pozwoliłam jej umrzeć?

Jestem potworem.

Eddington, 1987

Owiewa mnie chłód, gdy się odkrywam. Marzną mi nagie ręce. Mama włącza ogrzewanie dopiero w grudniu. Mówi, że nie mamy na nie pieniędzy.

– Sophie?

Kulę się pod kołdrą na dźwięk jej głosu. Piskliwość to sygnał ostrzegawczy.

– Wstawaj! Wychodzimy.

Wykopuję się z pościeli, drżąc, biegnę do komody, by wyjąć bieliznę i ubrania. Słyszę na schodach kroki matki, każdy z nich przybliża to, co nieuchronne. Gdy wkładam spodnie, pojawia się w drzwiach. Nie mam dziś lekcji, co wiąże się z dodatkowymi trudnościami. Nie muszę wkładać mundurka, a mama zwraca szczególną uwagę na to, co mam na sobie. Kiedy tylko wchodzi, popycha mnie na łóżko i ściąga spodnie z moich nóg.

– Nie to. Masz. – Rzuca mi ubranie z szuflady.

Grube wełniane rajstopy, sztruksową spódnicę, wełniany sweter z golfem.

– Mamusiu, to...

– Co?

– Gryzie.

– Bzdura. Wkładaj. To twoje ulubione ubrania.

Jestem na skraju łez, gdy wciągam rajstopy. Szorstki materiał drapie wrażliwą skórę. Mam siedem lat. Strój jest za mały. Krok rajstop mam między udami.

Mama bierze leżącą na komodzie szczotkę i zaczyna mnie czesać.

– Proszę. Czyż nie wyglądasz uroczo w tym stroju?

– Jest za mały – mówię.

Ciągnie mnie za włosy, więc jęczę.

– Przestań się wygłupiać, Sophie. To twoje ulubione ubranie. Nie pamiętasz? Zawsze je nosiłaś. W każdą zimę wkładałaś ten sweter.

– Chyba tak – odpowiadam. Może nawet pamiętam. Wydaje się znajomy. Kiedy przeciągam palcami po rękawach, pojawia się wspomnienie włosa, który utkwiał w materiale. Chyba te same miałam w pięści. Żołądek mi się kurczy. Nie podoba mi się ta myśl. Odsuwam ją od siebie.

Mama cmoka z niezadowoleniem.

– Nic nie poradzę z tymi włosami. Coś z nimi zrobiła?

Milczę.

– Musisz ładnie wyglądać. Obie musimy. Spotykam się dziś z Rogerem. – Rozdziela moje włosy, zaplata te z lewej strony. – Jest kluczem, Sophie. Wydostanie nas z tego bałaganu. Wiesz, jest bogaty. Pomoże nam.

– Ale... nie rozumiem, mamusiu. Myślałam, że Roger to twój szef. W jaki sposób nam pomoże? – Pytanie jest niewinne. Nie rozumiem, dlaczego chciałby nam pomóc. Ma własną rodzinę, której pomaga.

Ręce mamy zamierają. Ciągnie mnie za warkocz, aż muszę odchylić głowę.

– Au! Boli.

– Jesteś idiotką, Sophie. Niczego nie rozumiesz. – Puszczą warkocz i mnie odpycha. – Nigdy nam nie pomoże, kiedy mam na głowie tak niewdzięczne dziecko. Tylko spójrz na siebie. Jesteś okropna. Wyglądasz paskudnie. Nic dziwnego, że twój ojciec nas zostawił. Założę się, że myślał, by od ciebie uciec, gdy przekładał głowę przez pętlę. To twoja wina. Gdybym cię nie urodziła...

Mam łzy w oczach. Twarz matki jest czerwona od złości. Ciemne oczy błyszczą gniewem. Rzuca grzebień na podłogę i wstaje, zaciskając dłonie w pięści.

– Zostawię cię, gdy do niego pójde – mówi. – Nie mogę ryzykować, że wszystko zepsujesz. Muszę postąpić właściwie, inaczej nigdy nie odejdzie od żony. W szafce jest chleb. Możesz go zjeść na podwieczorek. Tylko nie za dużo, bo będziesz gruba, a nikt nie lubi grubych dziewczyn.

Rozdział 7

Sześć godzin później wiozę mamę taksówką do domu. Jest zdezorientowana, ale nie odczuwam wzburzenia. Lekarze podali jej leki uspokajające. Jestem wdzięczna, że dali mi tym samym chwilę wytchnienia od zdenerwowania, mimo to martwi mnie jej obojętność.

– Dlaczego nie kochałaś mnie jak normalna mama? – szepczę. – Dlaczego jesteś w stosunku do mnie tylko złowroga lub obojętna?

Nie może mi odpowiedzieć. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek to zrobi. Przyglądam jej się pilnie. Studiuję jej zmarszczki, kręcone włosy, plamki w oczach. Widzę ruch klatki piersiowej pod koszulką z długim rękawem, którą przywiozła Erin. Szczupłe nogi, żyły na dłoniach. Widzę to wszystko i pamiętam każdą kłótnię, każde okrutne słowo.

Przyglądam się dokładniej. Przeszywa mnie dreszcz. Coś kołacze się w mojej głowie. Patrzę na nią i mam silne przeczucie, że ukrywa część mojej przeszłości. Skąd mi to przyszło na myśl?

– Mamo, dlaczego wypiałaś wybielacz? – pytam.

Przesuwa na mnie wzrok, ale znajduje się w nim jedynie niewielki przeblysk rozpoznania.

– Mamo? Dlaczego wypiałaś wybielacz? – Wiem, że tam jest. Po prostu wiem. Kobieta taka jak Maureen Howland nigdy nie odchodzi. Jest

wytrzymała. Nawet po śmierci jej duch pozostanie we mnie, krytykując, powstrzymując od osiągnięcia prawdziwego szczęścia. – Powiedz. Powiedz, dlaczego go wypiął?!

Otwiera i zamyka oczy, jakby próbowała skupić na mnie wzrok. Poruszają się jej wargi, drga dłoń. Przysuwam się na siedzeniu, zbliżając ucho do jej ust. Wydychane przez nią powietrze unosi moje włosy. Słyszę, że mama próbuje uformować słowa. Słyszę, że zwilża wargi językiem i przetyka ślinę, jakby zaschło jej w gardle.

– Powiedz – nalegam. – Powiedz mi teraz.

Nie potrafię się opanować. W moim wnętrzu jest wrogość. Chciałabym być lepsza, ale niechęć do tej kobiety zawsze będzie we mnie obecna i nie potrafię się tego wyzbyć. Tylko strach przed matką trzyma mnie w ryzach. Staram się ją kochać. Próbowałam nieustannie.

– Ci... – zaczyna.

Po chwili ciszy, znów naciskam:

– Co? Mamo?

– Cień.

Siadam prosto. Kierowca patrzy na nas w lusterku wstecznym. Kiedy zauważa, że na niego spoglądam, odwraca wzrok.

– Czym jest cień, mamo? Musisz mi powiedzieć. – Znów coś kołacze się na skraju mojej świadomości. Coś znajomego. Ktoś z przeszłości. Ale kto? Inni członkowie naszej rodziny nie żyją: tata popełnił samobójstwo, gdy miałam cztery lata, dziadkowie byli nieobecni, odeszli z tego świata jakiś czas temu. Nie ma nikogo innego. Dawni faceci mamy nigdy długo z nią nie wytrzymywali. Zazwyczaj byli to żonaci, zamożni mężczyźni. Często, aby przetrwać, sprzedawałyśmy biżuterię, którą mama dostawała od byłych kochanków. Według niej to właśnie dzięki temu stać nas było na przeprowadzkę ze wschodniego Londynu do Eddington. Nie wiem jednak, ile w tym prawdy. Nie byłam pewna, skąd mama miała pieniądze na nowy

dom. Byłyśmy tak biedne, że przez pewien czas jadłyśmy wyłącznie chleb z masłem. Mama pracowała jako sprzątaczką. Nie miała wykształcenia. W Eddington piastowała stanowiska sekretarek czy recepcjonistek. Marzyłyśmy w niewielkim mieszkaniu, gdy powoli oszczędzała na dom. Roger pojawił się w odpowiedniej chwili. Owinęła go sobie wokół palca na tyle, że dzięki niemu stanęłyśmy na nogi.

Roger... teraz jest już pewnie po sześćdziesiątce. Wciąż pamiętam jego mięsiste dłonie i okulary w grubych oprawkach...

– Cień – powtarza. Mruga kilkakrotnie, jakby obudziła się z głębokiego snu. – Dokąd jedziemy?

– Do domu, mamó – odpowiadam. – Możesz powiedzieć mi, kim jest cień?

– Sophie, dlaczego masz na sobie tak paskudny strój? Nie nauczyłam cię, byś rozumiała, jak ważne jest poranne czesanie włosów?

– Mamó, posłuchaj. Kim jest cień?

Kierowca wjeżdża na naszą ulicę. Widzę kota, który mieszka w domu po drugiej stronie od naszego, a teraz przemierza ogródek trzy posesje dalej.

– Ale gdzie byłyśmy? Nie rozumiem.

– Wracamy ze szpitala. Wypiłaś wybielacz, zrobiłaś sobie krzywdę.

– A tak, cień mi polecił. – Kiwa głową.

– Ale kim jest cień?!

– Nie krzycz, Sophie. Damom się nie godzi. Dziwnie ubrałaś się do szpitala. Pracują w nim lekarze, wiesz? Dobrze zarabiają. Och, nie chcę jechać do domu. Możemy zostać w aucie? Nie chcę wchodzić do tego budynku.

Kierowca patrzy na mnie zza kierownicy. Wjeżdża na krawężnik.

– Wszystko dobrze, złociutka?

– Tak – mówię. – Mama ma chorobę Alzheimera.

Kręci głową.

– Przykro mi. Przechodził ją mój wujek. Paskudna. Będzie pięćdziesiąt pięć, złociutka.

Grzebię w torebce, mama spogląda na dom.

– Proszę, Sophie. Nie chcę tam wchodzić.

Nuta desperacji w jej głosie przypomina mi o ciarki. Choć choroba Alzheimera osłabiła chwilowo mamę, nigdy nie słyszałam, by kiedykolwiek tak błagała. Podaję kierowcy banknot i monetę.

– Będzie dobrze – mówię, zmuszając się do wesołości. – To nasz dom. Jesteś bezpieczna.

Kręci głową.

– Nie, nie jesteśmy.

Ignoruję zimny strach i drżenie rąk, gdy otwieram drzwi samochodu. Taksówkarz stara się oddać mi resztę, ale mówię, by ją zatrzymał. Przechodzę na drugą stronę pojazdu, by pomóc mamie wysiąść. Mimo to nadal patrzy na dom – normalny budynek na nudnej ulicy – jakby myśl o wejściu do środka napawała ją strachem. Biorę jej siatkę do ręki, drugą pomagam jej podejść do drzwi frontowych. Jest blada jak duch, gdy zmierzamy do środka. Zamykam za nami drzwi i zostajemy same.

*

Jestem wyczerpana.

Nie naprawiłam relacji z Erin po tym, gdy przypadkowo oskarżyłam ją o skrzywdzenie mamy, ale dziewczynie jest mnie żal na tyle, że następnego ranka parzy mi kubek mocnej herbaty. Przyszła dziesięć minut wcześniej, posyła mi słaby uśmiech, gdy wychodzę do pracy.

Jestem emocjonalnie wykończona po wczorajszym okropnym dniu, ale muszę sprostać obowiązkom. Choć mam trudności ze skupieniem, udaje mi się przeżyć poranek, mimo że moje myśli ciągle odpływają do rozmowy

w taksówce. Nie mogę przestać zastanawiać się nad cieniem. Czuję się jak nawiedzona. W porze lunchu, kiedy opowiadam Alishy o weekendzie, przyjaciółka sugeruje, że naprawdę mamy zjawę.

– Wiesz, babcia miała ducha – mówi. – Starego mężczyznę, który stał w kącie pokoju gościnnego. Raz go widziałam. Stał i gapił się, ale nic nie mówił.

– Na pewno nie był to wiszący płaszcz albo otwarte drzwi od szafy?

– Przysięgam na życie mojego syna, że to był duch. Obudziłam się w środku nocy. Mój wzrok musiał przywyknąć do mroku. Był tam, patrzył prosto na mnie. Nie uśmiechał się. Pamiętam, jakby to było wczoraj, że miał białe oczy.

Obie mamy dyżur na placu zabaw. To ciepły dzień, ale z porywistym wiatrem. Ciemne włosy przyjaciółki unoszą się wokół jej głowy. Pociera ramiona przez bluzkę.

– Przeraził cię – odpowiadam.

– Mało się nie posikałam, Soph. To była najbardziej przerażająca chwila w moim życiu. Nigdy tego nie zapomnę.

Zaciskam usta, tłumiąc chęć, by powiedzieć jej, że to był pewnie koszmarny sen. Jest czas, by pouczać innych, jest też czas, by milczeć. W tej chwili cisza jest lepsza. Poza tym, kimże jestem, aby twierdzić, że jej doświadczenie nie było autentyczne? Nie wierzę w duchy, ale czy to oznacza, że nie istnieją? Kto może wiedzieć, co zawiera niematerialny świat?

– Hej, co się stało z Peterem? – pyta zniecierpliwiona.

– Miałam od niego dziwne nieodebrane połączenie, to wszystko. Zaraz, gdy usunęłam konto z portalu randkowego, ktoś się wygłupiał i dzwonił na numer stacjonarny. Założyłam, że to on, co mnie trochę oszołomiło. Ale potem wydarzył się incydent z mamą i nie miałam czasu o tym myśleć.

– Uważaj. To zbyt wielki zbieg okoliczności, że twoja mama wspomina o cienistej postaci, która się u was kręci, a ty jesteś bombardowana podejrzanymi telefonami od tego dziwaka z internetu. Pilnuj, by zamykać drzwi na noc na zamek.

Kręcę głową.

– Nie ma możliwości, żeby ktoś wszedł po zmroku. Nie ma śladów włamania, sprawdzam wszystkie okna i drzwi, nim się kładę. To chyba bujna wyobraźnia mamy. Zapewne Alzheimer.

– Myślisz, że ma halucynacje? – Alisha obraca głowę w moją stronę, widać jej ekscytację. Zauważyłam, jak niektórym błyszczą oczy, gdy mówią o chorobie mojej mamy, a gdy wspominam o jej nieobliczalnym zachowaniu, nadstawiają uszu.

– Nie... Nie wiem. Słowo „cień” jest mi znajome. Przypuszczam, że to nowy kontekst używania tego wyrazu. Jakbym była śledzona. Mam déjà vu, ilekroć o nim myślę, i jestem niemal pewna, że ma to związek z moim dzieciństwem. – Odsuwam się na bok, by uniknąć zderzenia z piłką. Uczniowie machają do mnie, nim wracają do hałaśliwej zabawy. – Nie mam pojęcia, jakim cudem udało nam się przeprowadzić do Eddington, gdy byłam małą. Wiem, że to nie wydaje się powiązane, ale z jakiegoś powodu często pojawia się w mojej głowie.

– To znaczy?

– Mieszkając we wschodnim Londynie, byliśmy bardzo biedni. Przez lata nosiłam te same ubrania, nawet jeśli z nich wyrosłam. Przeważnie jadłyśmy chleb. Czasami był rosół. Niekiedy jedno i drugie. Mama pracowała jako sprzątaczką, aby spłacić hipotekę po śmierci taty, po którym nie pozostało nam żadne ubezpieczenie – urywam, tłumiąc dreszcz na wspomnienie tych lat. Nie pamiętam za dokładnie, ale wciąż odczuwam drapanie wełnianego swetra i ból brzucha na myśl o obiedzie. – Następnie przeprowadziłyśmy się do Eddington, dość bogatej miejsciny w Anglii.

Przez kilka lat byliśmy równie biedne jak w Londynie. Pamiętam małe mieszkanie, które wynajmowała mama. Ale to Eddington. Ceny domów są tu kosmiczne. Nawet po kilku latach, gdy udało jej się jakoś zaoszczędzić, nie żyliśmy jak większość ludzi tutaj. Znalazłyśmy jednak niewielki domek do kupienia.

– Udało jej się znaleźć również połowę żonatych facetów z miasta. – Alisha unosi brwi.

– Powiedziała, że sprzedała biżuterię od dawnego chłopaka, byśmy mogły się tu przenieść. Nie pamiętam jednak żadnych chłopaków ani biżuterii. Prawdę mówiąc, w ogóle mało co pamiętam z tamtych dni. Ledwie przypominam sobie tatę.

– Zadek za dom musiał być wysoki, nawet w tamtych czasach.

– No właśnie. Zatem co się tu, u licha, dzieje?

Odzywa się dzwonek, zapraszając na popołudniowe lekcje. Jak zawsze patrzę na Chloe, która człapie do budynku samotnie. Ma dziś na sobie różową sukienkę z białymi rajstopami i czarne buty. Myślę, że ten strój nie pasuje do jej wieku. Sprawia, że wyróżnia się na tle jeansów i T-shirtów innych dzieci.

– Soph. – Alisha wyrywa mnie z zamyślenia. – Małymi kroczkami, dobrze? Chole pomaga psycholog, jej rodzice z nim współpracują.

Uśmiecham się.

– Czy moje myśli są aż tak oczywiste?

– Są wypisane na twojej twarzy, kochana. – Jej spojrzenie łagodnieje, gdy kładzie dłoń na moim ramieniu. – No i cię znam. Wiem, że masz miękkie serce, jeśli chodzi o to dziecko. Jednak nie brakuje ci spraw na głowie, by sobie dokładać problemów. Skoncentruj się na mamie, przetrwaj ten wyjątkowo burzliwy okres, a wszystko stanie się jaśniejsze.

– Myślisz, że dam radę?

Patrzy na mnie brązowymi oczami. Są tak ciepłe, że uwierzyłabym we wszystko, co powiedziałyby.

– Jestem pewna, że sobie poradzisz. Jesteś całkiem silna, wiesz?

Zbliżamy się do szkoły.

– Hej, chyba wiem, co powinnaś zrobić – mówi. – W pokoju mamy zamontuj jakiś rejestrator. Może to nie duch. Może mysz na strychu lub luźna deska w podłodze? Może tak się przestraszyła, że zmyśliła ten cień.

– Jesteś genialna, Lish!

Rozdział 8

Potrzebuję sporo kopania na strychu, by to znaleźć. Po chwili tam spędzonej cała jestem w pajęczynach, a w nosie mam pełno kurzu. Z tyłu niewielkiej wnęki znajduję pudełko ze starymi rzeczami mamy. Mieszczą się w nim ubrania, połamana szkatułka na biżuterię, zeszyty, których używała, gdy pod koniec lat osiemdziesiątych była sekretarką i komputery nie stały jeszcze w każdym biurze. Na dnie leży stary sweter. Wyjmuję go, wypada z niego kilka pasm mysich włosów. Podnoszę je i się im przyglądam.

Serce mi przyspiesza, rzucam włosy na podłogę strychu. Na czole pojawia mi się lekki pot. Co się ze mną dzieje? To tylko moje włosy z dzieciństwa. Podnoszę sweter, który jest tak szorstki, jak zapamiętałam. Dziwi mnie, że go zatrzymała. Mamy nigdy nie można było posądzić o sentymentalizm. Wyrzuciła wszystkie moje mleczaki, szkolne projekty, laurki na dzień matki. Dlaczego zachowała ten okropny, drapiący sweter z taniej wełny?

Odkładam go i grzebię głębiej w pudle. W końcu natrafiam palcami na metalową rzecz o znajomym kształcie. Właśnie to miałam nadzieję tu znaleźć. Urządzenie jest podobne do małego pendrive'a z ukrytym mikrofonem, który jest w stanie nagrywać dźwięk do dwudziestu godzin.

Jamie go kupił. Chciał przyłapać mamę, gdy nie przebywałam w pokoju. Nagrać, jak mówi o nim nieprzyjemne rzeczy. Bardzo się zdziwiłam, kiedy się dowiedziałam, co zrobił. Wrzuciłam urządzenie do pudełka ze starymi rzeczami i zapomniałam o nim aż do rozmowy z Alishą.

Wkładam go do kieszeni, schodzę po drabinie ze strychu. Nieco później eksperymentuję, pozostawiając go w kuchni, gdy przygotowuję kolację dla mamy i siebie. Po posiłku, kiedy mama ogląda swoje seriale, wkładam rejestrator do wejścia USB laptopa i na słuchawkach odsłuchuję plik nagrany w mp3. Słyszę, jak kroję, nucę wraz z radiem. Urządzenie działa.

- Wszystko w porządku, mamó? – wołam przez salon.
- Czego chcesz? – odwarkuje. – Oglądam *Eastenders*.
- Dobrze. Idę na górę wziąć prysznic.

Nie odpowiada. Zapewne zatraciła się już w dramacie na ekranie telewizora. Biorę urządzenie rejestrujące dźwięk na górę. Wchodzenie do pokoju mamy, gdy jej tam nie ma, jest dziwne. Jakbym była nastolatką, która łamie zakaz. Mama zawsze pilnowała prywatności swojego pokoju, nie żebym chciała tam wchodzić. Kiedy byłam mała, przerażały mnie odgłosy dochodzące z jej pokoju. Początkowo nocami słyszałam dziwny szloch. Następnie zaczęli pojawiać się faceci, którzy przychodzili na kolację i wymykali się tuż przed świtem. Teraz, gdy jestem starsza, rozumiem to. Wiem, dlaczego niekiedy zostawiała mnie w nocy samą w łóżku i wracała do domu dopiero nad ranem. Wtedy wydawało mi się, że robi to dlatego, bo mnie nie kocha. Być może częściowo tak było.

Potrzebuję dobrej kryjówki, w której mama nie znajdzie urządzenia i gdzie nic nie zasłoni mikrofonu. Wybieram miejsce za zdjęciem na najwyższej półce. Nie mogę sobie wyobrazić, by mama tu zaglądała, więc wydaje mi się, że rejestrator będzie bezpieczny. Fotografia jest czarno-biała, przedstawia moich dziadków i pradiadków. Stoją wyprostowani z surowymi minami przed ceglany murem. Pod ich stopami, na czymś, co

zdaje się chodnikiem, leży stary pies. Musiała zostać zrobiona przed domem szeregowym w Londynie. Kobiety są krępe, twarde, stoją na szeroko rozstawionych nogach z rękami skrzyżowanymi na piersi. Mama powiedziała, że pochodzę z silnego rodu. Uwierzyłam.

Być może wszystkie geny mam po tacie. Z pewnością odziedziczyłam po nim oczy oraz zwyczaj zagłębiania się w siebie i nadmiernego myślenia. Jedyne wspomnienia o nim, jakie mam to te, że nigdy nie przeciwstawił się jej w naszej sprawie.

Chwila.

Dlaczego tak pomyślałam?

Nigdy nie sprzeciwił się jej w *mojej* sprawie.

Kręcę głową. Jestem przemęczona.

Mikrofon jest dobrze ukryty, wystarczy poczekać, aż coś wychwyci.

*

Następnego ranka, gdy mama przebywa na dole z Erin, wyjmuję z jej pokoju urządzenie nagrywające i wrzucam je do torebki. Nie ma mowy, bym wytrzymała do wieczora z odsłuchaniem materiału. Będę musiała znaleźć kilka godzin w pracy. Planuję zrobić dzieciom test.

– Sophie? – woła z dołu Erin.

Biegnę na dół.

– Co jest?

– Zadzwoił telefon, ale ktoś się rozłączył bez słowa. Nie wspomniałaś, że miało to już miejsce? – pyta.

– W porządku. Wydaje mi się, że to facet, z którym się spotkałam kilka tygodni temu. Często do mnie dzwoni.

– Co? Boże, prześladowuje cię?

Milczę. Chyba nie myślałam o tym w ten sposób. Byłam zbyt zajęta tym wszystkim, co działo się z mamą.

– Nie, to chyba nie stalking, co?

– Jeśli uporczywie wydzwania to właśnie stalking. Wie, gdzie mieszkasz?

– Nie sądzę. – Wracam myślami do naszej rozmowy w sieci. Wspominałam dzielnicę? Ulicę? Jak trudno namierzyć, gdzie ktoś mieszka? Wiem, że niektórzy są znacznie lepsi w korzystaniu z Google'a niż ja i szybko potrafią znaleźć informacje w internecie. Może Peter już to wie? Przechodzi mnie dreszcz.

– Może jeśli poznał mój numer telefonu, poznał i adres?

– Chyba powinnaś zgłosić to na policję – mówi. – Takie rzeczy mogą przybierać na sile. Czyż twoja matka nie skarżyła się na coś w domu? Ten cień?

Mam ciarki na samo wspomnienie tego słowa.

– Tak. Słuchaj, nie mów mamie, ale zostawiłam na noc w jej pokoju urządzenie nagrywające. Chcę się przekonać, że niczego tam nie ma. Wczoraj była przerażona, nie chciała spać. Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewna, że cień jest wytworem jej bujnej wyobraźni, ale pomyślałam, że to sprawdzę.

Erin marszczy brwi.

– Widzę, że się martwisz. Też powinnam się przejąć przebywaniem cały dzień w tym domu? Co, jeśli ten Peter faktycznie cię prześladowuje?

– Jak usłyszę na nagraniu coś podejrzanego lub gdyby do czegoś tu doszło, przyrzekam, że zgłoszę to na policję. I w każdej chwili możesz do mnie zadzwonić, a wrócę do domu. – Sprawdzam godzinę na telefonie. – Powinnam już zbierać się do pracy. Zadzwon, jeśli mama będzie pobudzona.

– Będę pilnowała jej cały dzień – obiecuje Erin. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że wypła wybielacz. Wiem, że jej stan się pogarsza, ale nadal

mnie to dziwi.

Słowa dziewczyny podkreślają jedynie ponurą rzeczywistość. Mama traci rozum. Rozpada się powoli, jej postać zanika. Nie jest już tym, kim była kiedyś.

– Do zobaczenia później. Pa, mamó. – Macham do niej, ale zatraciła się w sobie, wyglądając przez okno w kuchni.

– Pa, Becco.

– A to nowość – mówię ze śmiechem.

– Sophie, nie Becca – mówi Erin, wypowiadając każdy wyraz wyraźnie, jakby uczyła dziecko poprawnej wymowy.

– Właśnie tak im powiedziałam. Pomylili się, a zapłaciłam. – Mama kręci głową.

Tłumię łzy, wychodząc z domu. Teraz już nawet nie wie, kim jestem.

*

W sali rozlega się zbiorowy jęk.

– To dwugodzinny sprawdzian – mówię dzieciom, podnosząc głos, aby przebić się przez piszczenie krzesel, szuranie ołówków, szepty pomiędzy kolegami. – Będzie dotyczył poznanego do tej pory materiału.

– Ale, proszę pani, to nudne – narzeka Noah. Na twarzy ma ślady błota. Mimo że wysyłałam go do łazienki wiele razy, nadal nie pomogło.

– Pomoże wam to przy teście na koniec roku. – To nie do końca kłamstwo, ale już przeprowadziłam w tym roku więcej klasówek niż to konieczne. Zazwyczaj staram się, żeby zajęcia były praktyczne i, cóż, bardziej rozrywkowe, ale nie mogę się doczekać, aż posłucham nagrania. W pracy mogę poświęcić na to jedynie dwie godziny, resztę będę musiała wysłuchać w domu.

– Nie lubimy sprawdzianów, proszę pani. – Wysoki chłopiec, Sam, w przesadnym geście łapie się za głowę. Dzieci potrafią robić wielki dramat z najbardziej absurdalnych rzeczy.

– Ja lubię. – Na twarzy małej Alice gości pełen zadowolenia z siebie uśmiech. Wiem, że nie powinnam mieć awersji do tego dziecka, ale...

– Dobrze, wystarczy. Usiądźcie. – Im dłużej będą marudzić, tym dłużej nie będę mogła posłuchać pliku. Unoszę ręce, by ich uciszyć, po czym szybko rozdaję kartki z pytaniami do sprawdzianu.

Kiedy dzieci w końcu zajmują się tym, czym powinny, wyjmuję urządzenie rejestrujące z górnej szuflady biurka, gdzie je włożyłam, gdy czytałam listę obecności. Otwieram laptopa, podłączam rejestrator do portu USB. Noah jako pierwszy podnosi głowę, słysząc rumor. Posyłam mu surowe spojrzenie, więc wraca do swojej pracy. Chloe jako jedyna nie zareagowała na wieści o dzisiejszym sprawdzianie. Zamiast tego pisała w zeszyte i chichotała pod nosem. Musiałam odwrócić wzrok, powtarzając w myślach słowa Alishy. To nie moja rola. Nie mogę się angażować.

Uruchamiam plik. Zanim wyszłam do pracy, udało mi się znaleźć chwilę, w której mama idzie spać. Przewinęłam kilka minut, gdy pomagałam się jej położyć, aż w końcu została sama. Właśnie w tym miejscu zaczyna się nagranie, gdy wciskam *play*.

Cisza. Krótkie westchnienie, następnie skrzypienie łóżka. Wyobrażam sobie, jak próbuje znaleźć wygodną pozycję, obracając się z boku na bok. W umyśle widzę kwiecistą pościel, suche farbowane włosy mamy rozsypane na poduszce. Widzę zarys jej sylwetki pod kołdrą i zagłówek w pastelowy róż. Moja klasa niemal w całości zniknęła. Jestem w sypialni mamy.

Kiwając głową nad stosem ćwiczeń do sprawdzenia, daję głośniejsze, aby na pewno niczego nie przegapić. Muszę się przekonać, że usłyszałam wszystko, co działo się w tym pokoju. Z przerażeniem odkrywam, że

jestem podekscytowana. Wsłuchiwanie się w prywatne życie matki jest niemal fajne. Cieszy mnie. Po latach odcinania się ode mnie, gdy przyglądałam się jej potajemnym romansom z żonatymi facetami i o niczym mi nie mówiła, w końcu mam szansę podejrzeć fragment jej życia, o którym nic nie wiem. Ale jak to będzie wyglądać? Siedmiogodzinne nagranie jej chrapania?

W miarę upływu czasu na nagraniu panuje cisza przeplatana odgłosami kręcenia się w łóżku lub pochrapywania, więc ekscytacja powoli gaśnie. Zaczynam nawet sprawdzać ćwiczenia dzieci, jakie mam przed sobą, a dźwięk z pliku jest jedynie szumem tła. Uczniowie w klasie ziewają, przeciągają się, piszą na kartkach. W końcu zerkam na Chloe, która pochyła się nad ławką, ale ołówkiem zatacza kółka zamiast pisać.

Zaczyna dopadać mnie zniecierpliwienie. Mam zaledwie czterdzieści pięć minut do dzwonka. Kiedy włączyłam nagranie, powtarzałam sobie, że przesłucham je całe. Ale może nie muszę. Wcześniej była późna noc, gdy mama przyszła do mnie przerażona. Być może powinnam przewinąć do godziny drugiej. Liczę czas, jaki zajęło mi położenie jej i przygotowanie się samej do snu, przewijam do miejsca, gdzie wydaje mi się, że będzie około drugiej w nocy i ponownie wciskam *play*.

Wciąż nic.

Odpowiadam na pytanie ucznia i wracam do sprawdzania ćwiczeń. W zeszycie Noaha jest pomarańczowe kółko, przypuszczam, że od soku pomarańczowego lub przecieru. Na marginesie zapisuję uwagę, by pilnował schludności zadań domowych.

Chloe nie odrobiła pracy. Zamiast tego narysowała w ćwiczeniach dziewczynkę. Przyglądam się postaci, zastanawiając, czy to Jessie, jej wyimaginowana przyjaciółka. Trudno powiedzieć, bo rysunek może przedstawiać samą Chloe. Obie mają długie, ściągnięte w kucyk włosy.

Dziewczynka na rysunku ma spódnicę podobną do tej, którą teraz nosi Chloe i plecak w takim samym kształcie.

Czuję ucisk w żołądku. Chciałabym pomóc temu dziecku, ale czy ta ochota wywodzi się z bezinteresowności czy egoizmu? Czy za bardzo przejmuję się tą dziewczynką, ponieważ od zawsze chciałam mieć córkę? Marzyłam o czytaniu własnemu dziecku, uczeniu go wymawiania wyrazów, chodzeniu na spacerach po łąkach, by pokazywać mu kwiaty.

Tykająca bomba z seksistowskiej metafory o „zegarze biologicznym” zwolniła. Czas zaakceptować fakt, że macierzyństwo prawdopodobnie nigdy nie będzie mi dane. I może to dobrze. Może tak miało być.

Daję głośniej. Wciąż nic. Do przerwy pozostał kwadrans. Noah chce wyjść do łazienki. Przewracam oczami i kiwam głową. Przechodzę do zeszytu ćwiczeń kolejnego dziecka.

I wtedy to słyszę.

– Co tu robisz?

Dźwięk sprawia, że się wzdrygam. Szybko ściszam. Kilku uczniów na mnie patrzy, więc zwieszam głowę, udając, że sprawdzam.

Głos należy do matki, ale do kogo mówi?

– Powiedz, co tu robisz. Chcę wiedzieć.

Następuje dłuższa, bolesna, brzemienna cisza.

– Ja... – jąka się mama. – Ja cię znam...

Gwałtowne bicie mojego serca jest niemal słyszalne. Zdenerwowanie jest jak mrówki pod moją skórą. Żołądek mi się kurczy, żółć podchodzi do gardła. Pragnę poznać odpowiedzi, a jednocześnie tego nie chcę. Drżące palce zatrzymuję nad touchpadem laptopa. Nie mogę oddychać.

– Poznasz mnie.

Krzyczę.

Rozdział 9

Do klasy wpada Alisha. Dzieci płaczą, kuląc się w tylnych rzędach. Noah przygląda mi się z otwartymi ustami. Trzymam mocno oparcie krzesła, próbując oddychać głęboko, jednak powietrze rozdziera mi płuca. Przyjaciółka podbiega do mnie, wszystko jest zamazane i chaotyczne. Próbuję powiedzieć jej o zdenerwowanych dzieciach, ale jestem sparaliżowana biciem własnego serca. Jest tak głośnie, że chyba zaraz wybuchnie.

– Jest na nagraniu – w końcu odzyskuję głos. – Jest na nagraniu.

Alisha podnosi moją rękę, przyglądając się jej.

– Stało ci się coś? Co jest? Oddychaj, Sophie.

Ledwie ją słyszę przez głos w mojej głowie. *Poznasz mnie. Poznasz mnie.* Szorstki szept, przez który zaciskam zęby. Serce wali mi jak oszalałe, jakby zaraz miało wyrwać się z mojej piersi i uciec. Nie mogę go winić. Na jego miejscu też chciałabym zdezerterować, gdybym była częścią tak wyniszczonej kobiety. Jestem w rozsypce. Całkowitej.

– Dobrze, dzieci. Panna Howland nie czuje się najlepiej. Możecie wyjść z klasy. Idźcie. – Włosy Alishy muskają moją rękę, gdy ta się do mnie pochyla. – Jezu, Sophie, weź się w garść. Jesteś w szkole, uczysz dzieci. – Klepie moją dłoń.

Niedobrze mi.

*

Moira wysyła mnie do domu, winą obarczając moje wyczerpanie. Chce nawet wezwać karetkę, ale nie pozwalam jej na to. Nie, muszę wracać do domu. Muszę zobaczyć ten pokój, ponownie wyobrazić sobie głos, poczuć, co jest prawdziwe, a co nie. I muszę się upewnić, że mama i Erin są bezpieczne.

Nie mam pojęcia, kto był w pokoju z mamą. Głos był tak cichy i ochryply, że mogłaby być to zarówno kobieta, jak i mężczyzna. W drodze do domu kładę laptopa na siedzeniu pasażera i ponownie odsłuchuję nagranie. Po dźwięku szeptu mama jęczy, ale później wydaje się, że śpi dalej. Zastanawiam się, czy to w ogóle pamięta.

Poznasz mnie.

Poznasz mnie.

Słowa wciąż odtwarzają się w mojej głowie.

Mama *znała* osobę, która tam była. Nie poznała Petera, więc to nie mógł być on. Mógł być to dawny znajomy. Każda osoba z przeszłości. Być może ktoś, kogo nie poznałam.

Cień.

Dlaczego nie potraktowałam tego poważnie? Od jak dawna ta osoba włamuje się do naszego domu?

Jak się do niego dostaje?

Mrowi mnie kark, gdy wraca do mnie wspomnienie. *Nie mogę znaleźć kluczy.* Mama niedawno je zgubiła, choć odnalazła je następnego dnia. Co, jeśli zostały skradzione, zabrane na noc i złodziej je dorobił? Mama była wtedy z Erin w ogrodzie. Wieczorem znalazłam guzik.

Ostro skręcam, wjeżdżając w swoją ulicę, ledwie omijając kota sąsiadów. Zaciągam hamulec ręczny, odpinam pas, biegnę do domu. Drżącymi palcami dwukrotnie nie trafiam kluczem do zamka, nim udaje mi się otworzyć drzwi. Kiedy wpadam do przedpokoju, zauważam w lustrze dziką kobietę – roztrzęsioną, spanikowaną, o czerwonej twarzy i przekrwionych oczach.

– Sophie? – Rozlegają się miękkie kroki Erin. – To ty?

Spotykam się z nią w połowie korytarza, niemal wpadając na nią, gdy wychodzi z salonu. Na mój widok wytrzeszcza oczy wystraszona.

– Czy ktoś był w domu? Zauważyłaś kogoś w okolicy? – pytam.

Jej ładne oczy są teraz wielkie jak spodki, usta tworzą kształt litery „O”.

– Nie, nikogo tu nie było. Co się stało?

Brak mi tchu. Unoszę drżącą dłoń do piersi. Muszę wziąć się w garść, jeśli mam się z tym uporać.

– Alisha... Ja... – Nabieram głęboko powietrza, aby się uspokoić. – Mama mówiła o cieniu w swoim pokoju, więc postanowiłam umieścić tam rejestrator dźwięku. To był pomysł Alishy. Mówiła, że powinnam to nagrać, bo dla zachowania mamy może istnieć jakieś przyziemne wyjaśnienie. Tak więc zrobiłam i przesłuchałam nagranie w pracy. Erin, naprawdę ktoś był w domu.

Unosi dłoń do ust, tłumiąc sapanie.

– Co?!

– Słyszałam go. Słyszałam głos na nagraniu. Dzwonię na policję.

Erin kiwa głową.

– Dobrze.

– Pamiętasz dzień, gdy mama zgubiła klucze? Mówiłaś, że była w ogrodzie.

– Tak, zgadza się. – Opuszcza głowę, jakby starała się sobie przypomnieć. Zaraz ją unosi. – Niedługo po powrocie do środka oświadczyła, że je

zgubiła. Przeszukałyśmy całe podwórze, ale ich nie było. Pamiętam, że wcześniej się nimi bawiła, chodziła i podrzucała. Stwierdziłam, że ma przynajmniej jakieś zajęcie, więc pozwoliłam jej na to.

– Czy mówiła, że ktoś był w ogrodzie?

– Nie. – Erin drapie się po karku. – Nie i ja też nikogo nie widziałam.

Przekopuję torebkę, szukając telefonu.

– Mama na nagraniu brzmi, jakby знаła osobę, która włamała się do domu. Jestem tego pewna.

Erin obejmuje się rękami.

– Na samą myśl mam ciarki – urywa. – O której godzinie to się wydarzyło?

– Coś po drugiej. Wydaje mi się, że za kwadrans trzecia. Dlaczego pytasz?

– Może to nic takiego, ale...

– Mów – nalegam.

– Czasami twoja mama ucina sobie po południu drzemkę. Kiedy się budzi, jest zdezorientowana. Wpatruje się w swoje odbicie w szybie, mówi rzeczy jak: „Co tu robisz?” i „Znam cię?”. Był środek nocy, mogła się obudzić i mówić do kogokolwiek.

– Zatem to mógł być ktokolwiek?

Wtedy to do mnie dociera. Jeśli włamywaczem mógł być ktokolwiek, nikomu nie mogę ufać. Z telefonem w dłoni odwracam się do Erin, która ma większy dostęp do kluczy mamy niż kto inny. Może jej również nie mogę ufać.

*

Posterunkowy Hollis i posterunkowy Chowdhury są uprzejmi choć poważni. Hollis jest starszy, ma na twarzy siwy zarost, kwadratową żuchwę

i sylwetkę boksera. Przypomina typowego policjanta z telewizji. Dobry glina, który musi pracować z indywidualistą. Chowdhury jest szczuplejszy, ma małe, ciemne, rozbiegane oczy. Siedzi i milczy, gdy kolega spisuje zeznania. Reaguje tylko, gdy odtwarzam nagranie. Unosi wysoko brwi.

– Słyszeli panowie? – pytam zniecierpliwiona. – Głos?

– Panno Howland, mogę zapytać, dlaczego zdecydowała się pani umieścić rejestrator dźwięku w sypialni matki? – pyta posterunkowy Hollis. Męska energia dwóch policjantów wydaje się nie ma miejsca, gdy siedzą na kwiecistej kanapie mojej mamy, popijając z równie kwiecistych filiżanek.

– Mama ma chorobę Alzheimera – wyjaśniam. – Często jest w nocy zdezorientowana. Coś zakłócało jej sen, mówiła, że podąża za nią jakiś cień. To brzmi jak wariactwo, wiem. – Parskam nerwowym śmiechem i czuję, że rumienię się z zażenowania. – Martwiłam się, że czegoś się obawia. Nie spodziewałam się jednak takiego obrotu spraw. Nie sądziłam, że usłyszę intruza.

Chowdhury robi notatki. Hollis pyta:

– A co z panią, panno Howland? Słyszała pani, by ktoś był tu w nocy?

– Nie – odpowiadam. – Nie słyszałam. Ale kilka nocy temu mama obudziła mnie, mówiąc, że ktoś jest w jej pokoju. Przeszukałyśmy cały dom, jednak nikogo nie znalazłyśmy.

– I wtedy też pani nic nie słyszała? – docieka Hollis.

– Nie – odpowiadam, mając ciarki na rękach. Dopiero gdy policjanci zaczęli zadawać pytania, uświadomiłam sobie, jak dziwnie to wszystko brzmi. – Ale mama zgubiła klucze. Intruz mógł je dorobić. Mogłam nie słyszeć, że ktoś wszedł do domu, jeśli otworzył nimi drzwi.

– Może powinienem się rozejrzeć – podsuwa Chowdhury. – Mają panie piwnicę lub strych?

– Tak, i to, i to – mówię. Żyły skuwa lód. – Myśli pan... myśli pan, że ten ktoś wciąż może tu być?

– Proszę się nie martwić – odpowiada policjant z kojącym uśmiechem. – Znajdziemy go, jeśli tu jest.

– Może mógłbym porozmawiać z pani mamą, gdy posterunkowy Chowdhury będzie przeszukiwał dom? – proponuje Hollis.

– Tak, pójdę po nią.

Wskazuję Chowdhury’emu piwnicę, włączam światło, żeby nie poślizgnął się na kamiennych stopniach. Jak w większości wiktoriańskich domów, piwnica jest zimna i nieprzyjemna, bo przechowywano tu niegdyś mięso, by się nie psuło. Jest tu nawet stary kamienny blok rzeźniczy. Nieczęsto tam schodzę. Muszę zbierać się na odwagę, by iść na dół, aby zmienić bezpiecznik.

Mama jest w kuchni z Erin. Wydaje się oszołomiona, zadaje wiele pytań. Kim są ci ludzie? Co robią w jej domu? Kiedy wchodzę do pomieszczenia, odwraca się do mnie i zadaje te same pytania.

– To policjanci, mamó. Chcą porozmawiać o osobie, która włamała się do domu. Pamiętasz? Musisz im o tym opowiedzieć.

Mama blednie.

– Ale nie chcę. Nie chcę im mówić. – Odsuwa się o krok i szepcze: – Nie mogą się dowiedzieć. Nigdy.

– Mamó... Co? Ja... – Patrzę na Erin, która przygryza wargę, bębniąc nerwowo palcami o blat. Odwraca się i zajmuje myciem kubków. – O czym mówisz?

Czar jednak pryska. Mama odsuwa się ode mnie i mruga dwukrotnie.

– Kim są ludzie przebywający w moim domu?

Przez chwilę zastanawiam się... czy mama jest tak zdezorientowana, jak się wydaje? Kiedy przygląda się oceniająco, jakby wiedziała, o co pytam. Jej twarz się jednak rozluźnia i zastanawiam się, czy w ogóle cokolwiek widziałam.

Prowadzę ją do salonu – gdzie czeka na nas posterunkowy Hollis – czując otepienie. Jestem tym wszystkim mocno zmęczona. Odpływam myślami do mojej klasy, którą znów opiekuje się Alisha. Nie potrafię zapanować nad ukłuciem zazdrości. Alisha uczy moje dzieci. Ma dom i życie, o jakim ja zawsze marzyłam. Ja siedzę teraz z policjantami, matką z demencją i ze złowieszczym przeczuciem.

Hollis wstaje i podaje rękę. Mama stoi wyprostowana. Nawet nie zerka na jego dłoń. Zamiast tego krzyżuje ręce na piersi i unosi głowę.

– Co to za bzdury? – pyta ostro.

– Pani Howland, pani córka wezwała nas z powodu włamania. Mówiła pani, że ktoś był w pani sypialni? Jest nagranie...

– Nie podoba mi się to, że jesteście w moim domu.

– Mamo! Przepraszam. To Alzheimer, nie ona – kłamię.

– W porządku. Też nie podobaliby mi się policjanci w moim domu – mówi wesoło Hollis. – Ale przyjechaliśmy pomóc, pani Howland. Wiem, że to wszystko niepokojące. Być może powinniśmy posłuchać nagrania sporządzonego przez pani córkę. Może ono pobudzi pani pamięć?

– Nagrania? Jakiego nagrania?

Przełykam ślinę, bo nagle zaschło mi w gardle. Leżące na biodrach dłonie mam spocone.

– Mamo, ponieważ mówiłaś o intruzie, umieściłam w twojej sypialni rejestrator dźwięku. Wiem, że powinnam była ci o nim powiedzieć, ale chciałam mieć pewność, że nocą wszystko z tobą dobrze. Ostatnio byłaś mocno zdenerwowana.

– Nagrywałaś mnie?

Odsuwam się, Hollis przestępuje z nogi na nogę, patrząc na stojącą na ławie filiżankę z herbatą. Nikt nie chce spojrzeć w szeroko otwarte, przerażające oczy Maureen Howland, które oskarżają mnie o sto zbrodni. Pierwsza: zdrada.

– Myślałam...

– Obrzydzasz mnie.

Hollis odchrząkuje.

– Może powinniśmy porozmawiać o intruzie. Głos na nagraniu brzmi jak inna osoba. Pani Howland, pamięta pani, aby późno w nocy przebywał ktoś w pani sypialni? Czy ta osoba zrobiła pani krzywdę lub pani groziła?

Mama siada w fotelu, patrzy pustym wzrokiem w okno.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie pamiętam.

Hollis uruchamia odtwarzanie na laptopie i nagrane dźwięki znów płyną z głośników. Mama reaguje, jedynie odwracając głowę i patrząc na komputer, jakby ktoś zawołał ją po imieniu.

– Pani Howland, czy to pani głos? – pyta Hollis, odtwarzając początek nagrania.

– Tak – odpowiada.

– A co z tym głosem? – Znów słyszę nagrany szept, od którego kolana miękają mi ze strachu.

Mama kręci głową.

– Nie pamiętam. Nic o tym nie wiem.

– Spokojnie, mamo – chrypię.

– Nie odzywaj się do mnie. – Słowa tną aż do kości.

Hollis kontynuuje przesłuchanie, ignorując złowrogą atmosferę. Pyta, czy widziała coś dziwnego, czy zauważyła oznaki włamania i czy ostatnio ktoś krążył po ulicy. Mama nic nie wie. Moja nadzieja zaczyna się kurczyć. Ktoś tu był, ale bez spójnego umysłu mamy, która mogłaby powiedzieć kto to, policja nie może nam pomóc.

Postanawiam zignorować jej nakaz.

– A co z cieniem? Opowiedz im o cieniu.

– Nie ma o czym – warczy. – Przypuszczam, że to właśnie widzę, gdy jestem zdezorientowana. Chciałabym się już położyć.

– W tej chwili dom przeszukuje drugi policjant, mamó. Będiesz mogła iść do łóżka, gdy skończy. – Posyłam posterunkowemu Hollisowi pełen skruchy uśmiech, na co odpowiada podobnie, ale ze współczuciem.

Zaraz rozlega się dźwięk kroków. Posterunkowy Chowdhury przerywa swoim wejściem napiętą chwilę.

– Sprawdziłem piwnicę i piętro, ale nie ma tam nic nadzwyczajnego.

– Pokażę panu strych – mówię. Seryjni zabójcy zawsze ukrywają się na strychu. Przechodzi mnie dreszcz.

– Nie zgub się tam – rzuca mama z sarkazmem, po czym się śmieje.

Rozdział 10

Posterunkowy Chowdhury jest miły, ale kiedy wchodzimy po drabinie na strych, mam przeczucie, że nikogo tam nie ma i nie było. Policjant chyba też podejrzewa, że cała sprawa jest niedorzeczna. Zaczynam zastanawiać się nad nagraniem i implikacjami, jakie zawiera. Kiedy przyglądałam się dwóm policjantom, którzy go słuchali, stwierdziłam, po ich uniesionych brwiach i przyspieszonych oddechach, że zdziwiła ich obecność intruza w moim domu. Teraz zastanawiam się, czy to nie było niedowierzenie. Mogą mieć mnie za wariatkę, która spreparowała plik. A może uważają, że ten szept również należał do mamy.

Kiedy stoję pod pojedynczą żarówką na strychu, odtwarzam w myślach ten głos. Nie potrzebuję nagrania. Dokładnie wiem, jak brzmi. Znam każdy niuans i ton w tym wężowym syku. Pamiętam każde słowo. *Poznasz mnie.*

Czy to mogła być ona?

Mama?

Duszno mi, kark ocieka potem. Co, jeśli na nagraniu mówiła mama, by mnie wystraszyć? Co, jeśli cała ta sytuacja jest okrutnym żartem? Chciałabym odsunąć od siebie tę myśl, ale nie mogę. To może być jej zemsta. To jest do niej podobne. Chce, bym wyszła na bardziej szaloną

osobę niż ona sama, bo aż tak mnie nienawidzi. Unoszę rękę, kładę ją na szyi. Myśląc o niej, ściskam tak mocno, aż nie mogę oddychać.

– To wszystko na dzisiaj.

Opuszczam dłoń i mrugam gwałtownie. Posterunkowy Chowdhury odwraca się do mnie z uśmiechem politowania. Mam ochotę zetrzeć mu go z twarzy, ale zamiast go spoliczkować, zamykam z boku dłoń w pięść.

– Nic tu nie ma – mówi, wzruszając ramionami. – Pani mama cokolwiek pamięta?

Kręcę głową.

– Szkoda. Naprawdę mogłaby bardzo pomóc.

Pochyla głowę, przechodząc nad śmieciami porozrzucanymi na podłodze strychu. W końcu udaje mi się poruszyć nogami i prowadzę go w kierunku drabinki. Schodzi pierwszy. Rozglądam się po strychu. Nic tu nie ma, tylko zbierane przez lata graty. Stare albumy, pudła z zimowymi rzeczami, moje notatki ze studiów. Wyłączam światło i idę za posterunkowym na dół.

*

Policjanci są na tyle uprzejmi, że otwierają śledztwo, ale kiedy od nas wychodzą, zaczynam wątpić w to, co słyszałam na nagraniu. Proszą, bym przyglądała się wszystkiemu, co niezwykle, zapisywała to, drukowała, dawała znać o dziwnych telefonach. Ich polecenie przyprawia mnie o dreszcz. Tak właśnie jest, gdy ktoś cię prześladowuje. W filmach kobiety, które mają stalkera, nigdy dobrze nie kończą.

Nie zamierzam ryzykować. Następny telefon wykonuję do ślusarza, prosząc o wymianę zamków. Kiedy mężczyzna przyjeżdża, mama nie odstępowała go na krok, dyszy mu w kark, patrzy na rękę. Ledwie mam siłę odwracać od niego jej uwagę. Przez resztę dnia jest zdezorientowana.

Wydaje się zapominać o policji, która u nas była i kilkanaście razy dopytuje, dlaczego ten mężczyzna wymienia nam zamki.

Odpowiadam na jej pytania i przygotowuję herbatę. Robię to mechanicznie. Moje ciało odłączone jest od umysłu, chodzę po kuchni jak zombie. Erin wychodzi wyraźnie spokojniejsza. Macha mi słabo, co widzę przez okno. Ślusarz również wychodzi z widoczną ulgą, że nie musi mieć dłużej do czynienia z szaloną staruszką, jej twarzą bez wyrazu i zabawnymi pytaniami.

Życie toczy się dalej, jakby nie nastąpiła ta mała przerwa. Jemy obiad we względnej ciszy, zagadując o głupotach takich jak pogoda czy leżące na stole jedzenie. Kładziemy się o tej samej porze. Idziemy do łóżek w oddzielnych pokojach, udając, że wszystko jest normalne.

Ale nie jest. Albo ktoś był w domu, albo mama celowo doprowadza mnie do szaleństwa lub choroba Alzheimera sprawiła, że wypowiadała słowa zmienionym głosem. Żadna z możliwości nie przynosi pociechy.

Moje sny są tak samo pełne dezorientacji jak i mój umysł. Płaczą się. Słyszę głosy. Głos. Drzwi w moim umyśle otwierają się i zamykają. Ręka cienia przepływa po ścianach naszego domu, zmieniając je w ciemną, kredową substancję, coś jak popiół.

Kiedy budzę się rano, dzwonię do Alishy i Moiry. Dostaję kolejny wolny dzień, abym pozbięrała się po wczorajszych wydarzeniach. Wyjaśniłam, co się stało, współczuły mi intruza, wyrażając odpowiednio troskę i zaniepokojenie. Z jakiegoś powodu nie wydawało mi się to szczere. Nawet od Alishy – mojej przyjaciółki i osoby, którą uważałam za sprzymierzeńca.

Problem z tym, że świat ci się rozpada i życie staje się serią problemów, jest taki, że nadchodzi czas, gdy znajomi mają powyżej uszu słuchania o tym, ale są zbyt dobrze wychowani, aby przyznać, że mają dość. Jesteś nudziarzem sprawiającym, że ich dni są nieco mniej słoneczne. Wywierasz

negatywny wpływ na ich życie i nic na to nie możesz poradzić, chyba że zamkniesz usta i będziesz milczeć. Nikt nie chce być nudny. Kiedy sam taki nie jesteś, unikasz nudziarzy jak ognia. Pewnego dnia uświadamiasz sobie jednak, że zostałeś sam.

Przed śniadaniem wykonuję jeszcze jeden telefon. Dzwonię do Erin i mówię, że nie musi dziś przychodzić. Chcę spędzić ten cenny czas z mamą, by przetworzyć w głowie wydarzenia ostatnich dni. Przynajmniej tak mówię opiekunce. Sprawdzam online saldo w banku, wykonuję jeszcze kilka telefonów. Czas wprowadzić pewne zmiany.

Mama jest cicha, co jest dobre. Przygotowuję jej herbatę, tosta i sugeruję, aby odpoczęła po wszystkim, co miało miejsce. Przechodzi do salonu, by poczytać, gdy nagle odzywa się dzwonek.

Otwieram drzwi i widzę szczupłego faceta w niebieskich ogrodniczkach.

– Dzwoniła pani w sprawie montażu monitoringu? – pyta.

– Tak, to ja. Proszę wejść.

Spogląda na trzymaną kartkę.

– Zatem kamery na zewnątrz budynku, a także mniejsze w każdym pomieszczeniu.

Nie komentuje tego, ale i tak odpowiadam na niezadane pytanie.

– Moja mama ma chorobę Alzheimera, chcę mieć oko na wszystko, gdy jestem w pracy.

– O – mówi z wyraźną ulgą, że istnieje normalne wyjaśnienie na takie zamówienie.

Nie informuję go jednak, że chcę podglądać mamę, jak również jej opiekunkę. Nie mówię, że nikomu już nie ufam. Zamiast tego dołączam do mamy w salonie, abym mogła skupić na czymś jej uwagę, gdy monter pracuje w różnych częściach domu.

Kiedy kończy na górze, sugeruję mamie, żebyśmy posegregowały ubrania. Jeśli cokolwiek jest w stanie rozpalić iskrę w jej oczach to

możliwość krytykowania i wyrzucania moich strojów. Jest bardzo chętna, by siedzieć na łóżku i oceniać, jaką część ciała podkreślają moje sukienki, bluzki, spódnice. Niektóre sprawiają, że moje kostki wyglądają na grube. Inne uwydatniają moje szerokie biodra lub pulchne ręce. Kiedy monter kończy pracę, mam dwie siatki ubrań dla fundacji chorych na raka.

– Nie zapomnij wystawić ich przed drzwiami – mówi mama, gdy wychodzę z pokoju. – Jutro zbierają. – Wskazuje etykietę na worku.

Przełykam opryskliwą odpowiedź i idę na dół. Monter spakował już torbę.

– Wszystko gotowe? Przepraszam, całkowicie zapomniałam zrobić panu herbatę – mówię.

– Spokojnie. I tak wolę sok. – Podaje mi broszurę. – Ma pani tu wszystko, co trzeba wiedzieć. Mój numer jest na przodzie w razie, gdyby czegoś pani potrzebowała.

Dziękuję mu i odprowadzam go. Kiedy zamykają się za nim drzwi, zastanawiam się, czy słusznie postępuję. Czy przekroczyłam granicę? Jeśli mama czy Erin się o tym dowiedzą, spalą się za mną wszystkie mosty. Kiedy zastanawiam się jednak głębiej nad sprawą, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nasze relacje i tak są silne.

Gdy na schodach rozlegają się kroki mamy, wkładam broszurę do górnej szuflady i staram się nie patrzeć w ukryte kamery. Nie, myślę, muszę zaprowadzić porządek w tym domu. Muszę dotrzeć do sedna tego, co się tu dzieje. Nie przesadzam. Trzeba to zrobić, nawet kosztem zakupu monitoringu.

– Był ktoś w domu? – pyta mama.

– Nie – odpowiadam.

– Ale słyszałam...

– Nikogo nie było, prawda, mamo?

Tym razem to ona się ode mnie odsuwa. Tym razem to ona stoi, otwierając i zamykając usta. To ona jest bezbronna.

*

Dobrze znów mieć tu Erin. Cały dzień z mamą – szczególnie przy wszystkim co się dzieje – może być wykańczający. Jestem wdzięczna, że mogę przekazać jej opiekę i jechać do szkoły. Jednak Erin przechodzi przez próg z zakłopotaną miną. Zostawia otwarte drzwi i wskazuje, bym za nią podążyła.

– Nie wiem, co się stało, ale... – Wskazuje na trawnik.

– Co, u diabła?

Cały zasłany jest ubraniami, które zostawiłam wieczorem dla fundacji. Schylam się i podnoszę jeden z worków.

– Rozerwany – mówię. – Jakby ktoś rozciął folię.

Erin kuca przy mnie.

– Na pewno nie został podrapany czy pogryziony przez jakieś zwierzę?

Nie jestem znawcą od zwierzęcych śladów, ale spodziewałabym się, że czworonożny szkodnik rozszarpałby folię, a nie ładnie rozciął. Biorę leżącą na żwirze niebieską bluzkę, o której mama mówiła, że odśłania moją obwisłą skórę na ramionach. Jest pocięta. Dziura ciągnie się od góry do samego dołu.

Odwracam się do Erin.

– Zwierzęta posługują się nożyczkami?

– Cholera, Soph.

Stoimy, wpatrując się w porzucane na ziemi ubrania. Kilka tygodni temu przypisałabym to znużonym nastolatkom, ale teraz nie jestem już pewna niczego. W głowie kłębi mi się od najróżniejszych możliwości.

Czy naprawdę jestem prześladowana? Ale przez kogo? Jako pierwszy w moich myślach pojawia się Peter. To on do mnie wydzwaniał. Ale co z innymi w moim życiu? Erin? Alishą? Sąsiadką z drugiej strony ulicy, która ma kota? Moją szefową Moirą? Moim byłym chłopakiem Jamiem?

Mamą? Mama udawała poważny stan, dokuczając mi wspomnianiem o cieniu, twierdząc, że widzi kogoś w nocy, zmieniając głos, który nagrałam... A wszystko to, by mnie ukarać?

Wychodzę w końcu z transu i robię kilka zdjęć telefonem. Muszę zachować to do swojego „dziennika niestandardowych wydarzeń”, aby pokazać policjantom. Pospiesznie zbieram rzeczy, wciskam je do pociętych worków, ignorując rozmiar zniszczeń. Niedobrze mi na myśl, że ktoś celowo czekał, aż zapadnie głęboka noc, następnie wziął nożyczki i pociął moje rzeczy.

I wtedy sobie przypominam. Kamery.

Moje serce przyspiesza.

– Jestem spóźniona do pracy.

– Mogę dokończyć sprzątanie – mówi Erin. – Przykro mi. Po prostu nie rozumiem. Dlaczego ktokolwiek miałby to zrobić?

Obejmuję się rękami, wzdrygając się na myśl o tym, jak straszna jest ta sytuacja. Jak okropnie się czuję.

– Uważaj dziś. Zamknij drzwi, okej? Ktokolwiek to jest, wydaje się przychodzić jedynie nocą, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Też uważaj – mówi. Wczesne, poranne słońce rozjaśnia małe włoski na jej skórze. Dziewczyna przeczesuje palcami krótkie włosy. – Ta osoba może cię śledzić.

Spieszę do auta, pragnąc jak najszybciej opuścić ten dom.

Rozdział 11

– Jak się czujesz, Sophie?

W pośpiechu, by dostać się do swojej klasy, niemal wpadam na Aliszę. Marszczy brwi na mój widok, co świadczy o tym, jak kiepsko muszę wyglądać. Przeciągam grzbietem dłoni po czole, rozsmarowując na nim pot. W lewej ręce trzymam książki i laptopa. Z ramienia zwisa mi torebka. Nie patrzę nawet na swoje ubranie. Wyprasowałam je rano? Nie pamiętam.

– O wiele lepiej, dzięki. – Posyłam jej wymuszony uśmiech.

Przyjaciółka nie wydaje się przekonana. Jej grymas się pogłębia, a pomiędzy brwiami pojawia się głęboka bruzda. Albo Alisha się martwi, albo jest zdegustowana moim niechlujnym wyglądem.

– Na pewno? Wydajesz się zdenerwowana. Napijemy się herbaty w pokoju nauczycielskim? Mamy jeszcze dziesięć minut do rozpoczęcia lekcji.

Cierpię na widok nadziei w jej oczach. Kocham Aliszę. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Jednak na zawsze pozostanie między nami bariera – mur, którego wciąż nie mogę zburzyć. To zawiść. Zazdroszczę jej życia, męża, dzieci i tego, że nie ma na głowie zgryźliwej, popadającej w demencję matki. Teraz to ja jestem rozgoryczona, ponieważ muszę iść do klasy, podłączyć laptopa i przejrzeć nagrania z domowego monitoringu, aby

dowiedzieć się, czy ta sama chora kobieta pocięła worki i moje ubrania, by mnie wkurzyć, bo aż tak bardzo nienawidzi własnej córki.

– Przepraszam, ale nie mogę, muszę sprawdzić zadania. – Mój ton jest niesprawiedliwie szorstki. Odchodzę, zostawiając za sobą przyjaciółkę, która uważnie mi się przygląda. Próbowwała jedynie mi pomóc, a ja nie mogę się zdobyć na wdzięczność. Cierpię, przebywając w towarzystwie kogoś szczęśliwego, ponieważ wiem, że wysysam całą radość z otaczających mnie osób.

Czuję ulgę, otwierając drzwi sali i zamykając je za sobą. Rzucam książki na biurko i szybko podłączam laptopa. Nie mam za wiele czasu, a muszę rozpracować skomplikowany system nagrywania. Przez większość ostatniej nocy czytałam dwukrotnie broszurę, którą otrzymałam od montera.

Loguję się i klikam na obraz kamery z przodu domu. Potrzeba kilka prób, ale, kiedy jestem gotowa, przewijam nagranie z nocy i puszczam krótkie fragmenty, znów się cofam i ponownie wracam do wcześniejszego fragmentu, aż znajduję ruch. Kolejny raz widzę kota sąsiadów, następnie lisa wachającego worki. W tym momencie zamieram, zastanawiając się, czy mam paranoję... ale lis się odwraca i odchodzi w noc.

Kolejny ruch występuje około czwartej. Jest szybki, niemal do przeoczenia. Przewijam do tyłu i znów oglądam nagranie. To prawie tylko rozmycie.

Z żywopłotu po lewej jakaś postać skacze ku drzwiom. Następnie znika. Sapię, próbując uspokoić serce i znów przeglądam ten fragment. Kształt niemal w całości spowija cień, więc jest tylko czarną plamą w ciemności. Jednak, pomimo że jest zgarbiona, to mam pewność, iż to jakaś osoba. Problem polega na tym, że znika pod kamerą, która zamontowana jest na ścianie nad drzwiami. Musi kucać przy stopniu, na którym wciąż znajduje się worek.

Cały czas oglądam nagranie. Przez niemal pół minuty nic się nie dzieje. Po chwili widzę dłoń w rękawiczce, która porywa wór z ubraniami. Żółć podchodzi mi do gardła. Zakrywam ręką usta, by ją zatrzymać. Muszę zachować spokój. Obejrzeć resztę nagrania i dowiedzieć się, kto i dlaczego mnie prześladowa. Ale tak niewiele widać. W którejś chwili moje ubrania zaczynają fruwać w powietrzu, aż dostaję zadyszki. Przyglądam się, jak ta osoba niszczy moje rzeczy bez wyraźnego powodu. Wyrzuca w górę jeszcze więcej ubrań, następnie widać już tylko rozmytą sylwetkę, nim znika.

Siedzę na krześle oblana zimnym potem, pokonana i wyczerpana. Byłam przekonana, że nagranie ujawni okrutny żart mamy. Zamiast tego wiem tyle, co wczoraj. Postać była zgarbiona, szybko się poruszała, więc mógł być to każdy. Nie wychwyciłam nawet budowy ciała tej osoby. Mogła być gruba lub chuda. To mógł być zarówno facet, jak i kobieta.

Kiedy na przyspieszonym podglądzie oglądam nagranie z pokoju mamy, do klasy zaczynają napływać uczniowie. Przewinęłam jakieś dwie godziny i obraz staje się czarny. Zatrzymuję i cofam nagranie.

– Proszę pani, będzie pani sprawdzać obecność? A może ja mam to zrobić? – znów podlizuje się Alice.

Biorę dziennik, czytam nazwiska uczniów, ale cały czas – nawet jeśli zaznaczam obecność – mogę myśleć jedynie o nagraniu. Dlaczego obraz stał się ciemny? Czy mama domyśliła się, co zrobiłam? Czy w jakiś sposób wyłączyła kamerę? A jeśli tak, jak to zrobiła, nie podchodząc do niej? Widziałabym ją. Może urządzenie jest wadliwe? Kiepska chwila, ale przecież takie rzeczy się zdarzają.

Muszę ze sobą walczyć, aby zmusić się do koncentracji na dzieciach. To nie ich wina, że tak wiele dzieje się w moim prywatnym życiu. Mimo wszystko zasługują na porządną edukację. Przez cały ranek zapewniam im ją. Przez chwilę łapię się na myśleniu o stalkerze, ubraniach, mamie, ale

udaje mi się wyrwać z zamyślenia na tyle, by zrealizować plan lekcji. Kiedy jednak rozbrzmiewa dzwonek, wracam do komputera i przeglądam nagrania. Obraz z pokoju mamy przez resztę nocy jest czarny. Opuuszczam go sobie i przełączam na podgląd na żywo z reszty domu. Przez chwilę jestem oszołomiona. Nie spodziewałam się zażenowania, gdy będę oglądać, jak Erin podgrzewa zupę dla mamy, która siedzi przy stole. To prywatna chwila. Czuję się jak podglądaczka. Jednak dziwnie mnie to ekscytuje.

Erin zdaje się coś mówić, gdy mama siedzi nieruchomo. Kiedy opiekunka podaje zupę przez stół, mama się krzywi. Krzyżuje ręce na piersi i odwraca głowę, gdy Erin cierpliwie kładzie przed nią miseczkę, a łyżkę po prawej stronie naczynia. Erin siada obok mamy z kanapką i uśmiecha się promiennie. Mama nadal się boczy. W końcu bierze łyżkę i wrzuca do miski. Zupa rozlewa się na stole, a ja wciąż się im przyglądam, obserwując upór matki, która nie chce jeść. Erin proponuje podopiecznej swoją kanapkę, ale mama wciąż odwraca głowę.

Jestem tak zafascynowana podglądem, że ledwie zauważam powrót dzieci. Nie poszłam na dyżur na plac zabaw. Czerwienię się ze wstydu. Nie pamiętam, z kim miałam go pełnić. Może z Samuelem, jedynym mężczyzną w naszym nauczycielskim gronie, który ma siwe włosy w nosie i plamy z herbaty na krawacie. Pocieram oczy, choć nie udaje mi się wyrzucić tej myśli z głowy.

Przez resztę dnia mechanicznie realizuję plan lekcji. Zadaję dzieciom pracę indywidualną, podczas gdy sama oglądam, jak mama spędza dzień z Erin. Nie dostrzegam nic niepokojącego. Mama jak zwykle jest uparta, niemal zawsze stoi lub siedzi ze skrzyżowanymi na piersi rękami i z wyniośle uniesioną głową. Erin przeważnie coś mówi i uśmiecha się cierpliwie. Nie słyszę słów, ale przypuszczam, że są takie same jak wtedy, gdy jestem przy opiekunce, gdy ta komentuje pogodę, komplementuje strój mamy i porusza inne lekkie tematy.

Pod koniec dnia pracy, nie mając ochoty rozmawiać z koleżankami i celowo unikając Moiry, pakuję swoje rzeczy i spieszę do auta.

Letnia pogoda zdaje się załamywać. Na niebie wiszą ciemne chmury. Atmosfera jest ciężka, przedburzowa. Skóra mi się lepi od parnej aury. W takich chwilach, gdy pogoda szybko się zmienia, nie czuję się, jakbym była w Anglii. Tęsknię za mżawką, która panuje przez dwie trzecie roku. Taki klimat jak teraz pasuje do jakiegoś egzotycznego kraju, leżącego gdzieś daleko stąd. Pragnę, by wrócił kojący deszcz mojej ojczyzny. Chcę mieć przemoczony parasol i wilgotne stopy, a nie ciśnienie rozsadzające mi skronie.

Chcę, aby znów było normalnie.

Przeczesałam włosy palcami i wzdycham głęboko.

*

Posterunkowy Hollis obiecuje obejrzeć nagranie sprzed domu. Wiem jednak, że nie doszuka się niczego znaczącego w sprawie ciemnej postaci. Sprawdziłam kamerę w pokoju mamy i odkryłam, że kabel z tyłu się obłuzował. Napisałam do montera, ale odpowiedział, że naprawi to dopiero w przyszłym tygodniu. Kiedy mama się kąpie, zamieniam kamerę na inną.

Na komórce mam coraz więcej nieodebranych połączeń od Petera. Robię rzut ekranu do mojego rejestru. Miałam nadzieję, że mu się znudzi i znajdzie sobie kogoś innego, ale, jak widać, trudno się go pozbyć.

Jest późno, gdy w końcu przestaję. Opadam na łóżko i zasypiam głęboko. Śnię o mamie, która pochyla się na zewnątrz nad workiem z ubraniami. Obraca gwałtownie głowę w lewo, jak wystraszone zwierzę. Przysuwam się o krok, wyciągając rękę, jak zrobiłabym w przypadku jelenia czy przestraszonego konia. Mama rozrywa worek i unosi jedną z moich bluzek. Mogę jedynie patrzeć, jak wkłada mankiet do ust i zaczyna żuć.

– Przestań! – krzyczę.

Ale żuje dalej, aż ślina cieknie jej po podbródku.

Odsuwam się o krok, przerażona widokiem, kiedy z krzaków wyłania się jakaś postać. Nie ma w niej nic, co przypominałoby osobę. To cień bez rysów twarzy, ale wydaje się znajomy. Ignorując mamę, podchodzę do cienia, ale ktoś szarpie moją głowę do tyłu.

Natychmiast się budzę, siadam wyprostowana na łóżku. Wyje budzik. Kiedy wyciągam rękę, by go wyłączyć, zauważam, że mam palce zaciśnięte w pięść. Gdy je rozluźniam, z dłoni sypie się coś brązowego.

Pasmo włosów. Moich włosów.

Wyskakuję z łóżka i sprawdzam materac. Znajduje się na nim kępka kosmyków, a na poduszce widzę zaschniętą krew. Zdrętwiała i przerażona tym, co dalej znajdę, unoszę rękę do głowy. Sapię, kiedy natrafiam na to, czego szukam. Krew. Z niedowierzaniem wpatruję się w pasmo w dłoni. Naprawdę oszalałam na tyle, by wyrwać sobie włosy? We śnie?

A mimo to... jest coś znajomego w widoku pukla w moich palcach. Zamykam dłoń w pięść i doznaję przy tym silnego déjà vu, jakbym robiła już tak kiedyś.

– Wyłączysz budzik?! – Mama wpada do mojej sypialni, wrywając mnie z zamyślenia. Porywa leżącą na szafce nocnej komórkę i wciska mi ją w dłoń. – Zajmij się tym!

Drżącymi palcami przesuwam po ekranie, wyłączając dzwonienie. Odwracam się i spoglądam na matkę, która kręci głową.

– Ogarnij się. – Wychodzi.

Spieszę do lustra, aby zbadać ubytek we włosach. Na szczęście pociągnęłam z tyłu, a skóra już nie krwawi. Jeśli zdołam umyć włosy i nakleić plaster na ranę, unę fryzurę, zasłaniając ślad.

Rzucam wyrwany kosmyk na szafkę nocną i ponownie się w niego wpatruję. Zapomniałam o czymś?

Myśl o wrywaniu sobie włosów podczas snu prześladowuje mnie pod prysznicem i nawet przy śniadaniu. Nawet najmniejszy dźwięk wrywa mnie z zamyślenia. Wyskakujące tosty są jak wystrzał. Skrzywienie krzesła to intruz. Balansuję nad przepaścią i nie widzę drogi powrotnej.

Kiedy otwieram Erin drzwi, spodziewam się, że jej obecność przyniesie ukojenie. Zamiast tego widzę na progu wycofaną kobietę z rozmazanym makijażem i zaczerwienionymi oczami. Przeciska się koło mnie, nie witając się nawet.

– Robię to jeszcze tylko dziś – oznajmia.

– To znaczy? Co się stało?

Szarpie się z kurtką moką od deszczu, który padał wcześniej rano.

– Nie wiem, jak masz czelność o to pytać.

– Nie... rozumiem...

– W mailu wyraziłaś się dość jasno. Nie pojmuję, jak mogłaś mnie oskarżyć o coś takiego. Dobrze opiekowałam się twoją mamą. Nigdy nie zrobiłam nic... Myślałam, że się przyjaźnimy...

– Zwolnij, Erin. Powiedz, co według ciebie zrobiłam.

– Nie ma sensu zaprzeczać – mówi. – Wiem, że nie chciałaś wysłać tego do mnie, ale to zrobiłaś. To koniec, Sophie. Będę dziś pracować, ponieważ wiem, jak ciężko w tak krótkim czasie znaleźć kolejną opiekunkę, ale na jutro już musisz kogoś poszukać. Nie mogę pracować u kogoś, kto w ten sposób wbija mi nóż w plecy.

Zanim mam szansę odpowiedzieć, wmaszerowuje do kuchni i trzaska za sobą drzwiami, wyraźnie dając znać, że chce zostać sama. A ja jestem spóźniona do pracy. Jednak przed wyjściem sprawdzam e-mail, chcąc wiedzieć, o czym mogła mówić. W „wysłanych” znajduje się wiadomość do Erin i jej szefa o temacie: „Erin Jones dręczy moją matkę”.

Eddington, 1997

– To dobra praca, Sophie. – Pani Vaughan oddaje mi esej i się prostuje. Zawsze tak robi. Od czasu do czasu ostrzega nas, „młodych”, że powinniśmy pilnować właściwej postawy, inaczej na starość skończymy z bólem pleców, jak ona. – Musimy porozmawiać o studiach.

Wpatruję się w ławkę, mając nadzieję, że nikt nie zauważy mojego rumieńca. Nawet jeśli reszta uczniów zajęta jest pracą, skóra głowy mrowi, jakby wszyscy mi się przyglądali.

– Och, nie wybieram się na studia. – Słowa wydają się niewłaściwe, niezdarne. Naciągam rękawy na ręce. Nie chcę prowadzić tej rozmowy, nie w tej chwili. Dlaczego otworzyłam usta?

Pani Vaughan przestępuje z nogi na nogę, przyciskając kartki do piersi.

– To znaczy?

– Nie stać mnie, by wyjechać. – Znow czuję, że wszyscy na mnie patrzą. Chciałabym zapaść się pod ziemię lub przynajmniej sprawić, by nauczycielka przestała mówić.

– Ale możesz starać się o stypendium – ciągnie. – Nie martw się, mogę wszystko ci pokazać. Jeśli chcesz, pomogę ci wypełnić dokumenty – urywa, gdy staram się odpowiedzieć. – Czekaj. Znajdę ulotkę.

Wpatruję się w najwyższą ocenę w prawym górnym rogu mojego eseju, zastanawiając się, jak wytłumaczę pani Vaughan, że matka nie puści mnie na studia. Jak ubrać w słowa to, że mama chce dla mnie jak najlepiej? Wszystko, o czym myślę, wydaje się dziwaczne. Jakbym była dziwna, a moja matka jeszcze dziwniejsza. Wszyscy tak uważają. Słyszę, jak szepczą, gdy przechodzę korytarzami. Wiedzą o mamie i jej romansach oraz o tym, że czasami wylatuje z pracy. Miasto jest niewielkie, ludzie plotkują.

Chce dla mnie jak najlepiej. Jest moją matką. Może powinnam jej zaufać, gdy mówi, że nie będzie mi dobrze na uniwersytecie. Może wie, co

powinnam robić.

– Proszę. – Pani Vaughan podaje mi ulotkę, więc dziękuję. Odchodzi, rozdając innym eseje. Ma chyba świadomość, że powiedziała wystarczająco wiele.

Wkładam ulotkę do plecaka. Odzywa się szkolny dzwonek, więc wychodzę z klasy. Nisko wiszące słońce sprawia, że mrużę oczy i spieszę przez parking do autobusu. Zbliżają się ferie świąteczne, niedługo upłynie termin składania dokumentów na studia. Mam dobre oceny. Mogłabym iść na jakikolwiek uniwersytet. Mogłabym uciec z Eddington i odnaleźć się w świecie. Jednak co, jeśli studia będą jak szkoła średnia? Jeśli nie nawiążę przyjaźni i ludzie będą mnie obgadywać za plecami? Co, jeśli nie będę wystarczająco mądra, bo wszystkie oceny do tej pory zdobyłam fartem?

Chłodne powietrze owiewa skórę, gdy wysiadam z autobusu na moim przystanku. Mamy nie będzie jeszcze w domu. Wciąż jest w pracy. Co tym razem? Kolejna posada sekretarki? A może sprzątaczkę? Nie pamiętam. Wiem jedynie, że mogę jeść tyle kanapek z dżemem, ile chcę, gdy jej nie ma, nawet jeśli moje jeansy stały się nieco ciasniejsze. Teraz mogę nosić, co chcę, problem polega jednak na tym, że nie posiadam nic fajnego. Wszystkie moje ubrania są ze sklepów z odzieżą używaną lub z wyprzedaży. Nie mam markowych ciuchów sportowych ani dobrych butów.

Po pochłonięciu drugiej kromki z dżemem, wydaję ulotkę z plecaka i zaczynam ją przeglądać. Znajduje się w niej wiele liczb i informacji. Wolę słowa niż cyfry, bo te sprawiają, że kręci mi się w głowie.

Czytam jednak dalej. Ekscytacja rośnie. Na przodzie widzę szczęśliwe twarze studentów i zastanawiam się, czy to mogłabym być ja? Czy mogłabym być uśmiechniętą, otoczoną przyjaciółmi dziewczyną? Mogłabym pracować, uczyć się, mieszkać wśród rówieśników, słuchać głośno muzyki, chodzić na koncerty. Zaprzyjaźnić się z jakąś dziewczyną,

jeść z nią na lody, rozmawiając przy tym o chłopcach i egzaminach. Kłócić się o zmywanie, wypitą resztkę mleka, po czym otwierać butelkę taniego wina lub do utraty przytomności na kanapie i z chichotem na ustach pić wódkę.

Jestem tak zatracona w swojej fantazji, że nie słyszę, jak otwierają się drzwi. Wracam do rzeczywistości dopiero, gdy mama wchodzi do kuchni, więc nie mam szans schować ulotki. Zamieram.

– Gnoje. Wszyscy. – Rzuca siatkę na stół i energicznie ściąga szpilki. – Pieprzona mała Tracy ze swoimi jędrnymi cycuszkami i długimi rzęsami. Wystarczy, żeby nimi zatrzepotała na Boba, a ten ślini się jak tłusty dzieciak w cukierni. Co ty, do cholery, robisz? Co ty jesz? – Odbiera mi talerz i rzuca na kuchenny blat. Pomieszczenie jest tak małe, że wystarczy, by się odwróciła i wyciągnęła rękę. Ruch jest tak szybki, że mama przyłapuje mnie, gdy próbuję ukryć ulotkę. – Co tam masz?

Kładę rękę na papierze, ignorując rozszalałe serce.

– Co to jest? Dlaczego to ukrywasz? – dopytuje.

– Nic. Szkolne rzeczy.

– Co, uczą was o okresie? No dalej, pokaż. – Dłonią z wymalowanymi paznokciami chwyta mnie za nadgarstek i wrywa mi ulotkę. Drugą ręką ją rozkłada. – Pomoc finansowa dla... – Pospiesznie przesuwa wzrokiem. Puszczą moją rękę, więc pocieram miejsce, w które wbiła długie czerwone paznokcie. – Co to jest? Uważasz, że jesteśmy biedne? Sądzisz, że jesteśmy na tyle ubogie, żeby starać się o pomoc finansową? Po całej pracy, którą dla ciebie wykonałam. Dwie posady. Dwie, Sophie, a wszystko, byś mogła jeść kanapki z dżemem. Mała, gruba suko.

Wpatruję się w swoje dłonie, które drżą przy blacie. Nie powinnam przynosić tu tej ulotki. Jestem idiotką.

– Pomoc finansowa dla kandydatów na studia – czyta drwiąco. – Panna Mądralińska chce iść na uniwersytet, co? Chce należeć do pompatycznych

dupków. Chce zostawić tu matkę, by gniła samotnie, bo jest egoistyczną, małą krową. I to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? Po tym, jak zdzierałam skórę z palców do kości? – Kręci głową, odsuwa się od stołu, zaczyna chodzić tam i z powrotem po niewielkiej kuchni. – Nie wierzę, że chcesz mnie tak po prostu zostawić. – Pstryka palcami. – Samą. Wiesz, jak byłam samotna po rozstaniu z Markiem. I wiesz, że była to twoja wina. Nikt nie chce takiej ponurej nastolatki na pasierbicę. Dlaczego nie możesz się umalować i uczesać? Choć przez chwilę przestań napychać się jedzeniem i poćwicz. Myślisz, że wyglądam tak, bo jestem leniwa? Ciężko na to pracuję. I gdybym siedemnaście lat temu nie musiała cię urodzić, teraz wyglądałabym o niebo lepiej. – Przeczesuje włosy palcami. – Jestem już w podeszłym wieku, Sophie. Nie rozumiesz? Nigdy nie znajdę faceta. Przez resztę życia będę samotna, a ty mnie zostawisz, bym tu zgniła, gdy sama będziesz szaleć ze studentami. – Zaczyna płakać, naprawdę szlocha.

– Mamo – mówię cicho, powstrzymując własne łzy. Jak zawsze zamieram, zaskoczona wybuchem, zbyt przerażona, by się ruszyć. – Przepraszam, że przyniosłam do domu tę ulotkę. Nie płacz. – Nie potrafię sobie poradzić, gdy łka. Poczucie winy jest zbyt przytłaczające. Nie chciałam, by tak się czuła.

Ociera oczy, rozmazując tusz na skroniach.

– Chcę cię jedynie chronić, skarbie. Chcę, byś była bezpieczna, ponieważ cię kocham. Nie wiesz, co dzieje się z dziewczynami, które idą na studia? Tam są mężczyźni. Drapieżni. Czekają, aż się upijesz, wsypują narkotyki do drinków. Zabierają do siebie i gwałcą...

– Przestań, mamo.

– To prawda! Spotkało to moją przyjaciółkę. Sophie, jeśli tam pójdziesz, stanie ci się krzywda. Nie chcę do tego dopuścić. – Zbliża się, obejmuje mnie, dusząc przy satynowej bluzce. – Chcę, byś była bezpieczna jak w domu, ze mną. Gdybyś wiedziała, co dla ciebie zrobiłam, nigdy byś nie

miała w stosunku do mnie wątpliwości. Nigdy byś się nie sprzeciwiała.
Gdybyś wiedziała, co poświęciłam...

Rozdział 12

Kiedy przechodzi burza, wraca duszące ciepło, przez co dzieci stają się nieokiełznane, a dorośli drażliwi. W tym tygodniu na placu zabaw doszło do dwóch bójek, co zmusiło Moirę do zorganizowania apelu i wygłoszenia pogadanki na temat dręczenia innych i przemocy. Stoimy z Alishą z boku, gdy dyrektorka przemawia na temat odpowiedniego zachowania i „używania słów”.

Przy tak napiętej atmosferze w szkole, ta w domu jest dla mnie zabójcza. Pomimo mojego telefonu do przełożonego Erin i kilku e-maili do szefa i do niej samej, gdy próbowałam wytłumaczyć okropne nieporozumienie oraz pisałam, iż nie wierzę, że Erin mogłaby zrobić mamie krzywdę – dziewczyna nadal odmawia powrotu do pracy u nas. Zamiast niej mamy Susanne, starszą kobietę przed pięćdziesiątką, która nigdy nie zagaduje wesoło, za to za każdym razem narzeka rano na problemy z samochodem i śmierdzi papierosami.

Nagrałam się nawet Erin na pocztę głosową, tłumacząc, że to pewnie mama napisała tamtą wiadomość podczas jednej z chwil zagubienia, ale dziewczyna mi nie odpowiedziała. Nie mam jej tego za złe. Ja też nie chciałabym pracować w takich warunkach. Gdyby któryś z moich uczniów oskarżył mnie o coś tak strasznego, nie sądzę, bym dała radę wrócić do

szkoły i patrzeć ludziom w oczy. Utknęliśmy więc z Susanne, kobietą o wiecznie skwaszonej twarzy. Pod koniec każdego dnia mama zdaje się przygaszona, cicha. Ja również. Siedzimy i jemy obiad w milczeniu.

Posterunkowi Hollis i Chowdhury dzwonią, by powiedzieć, że przebadali nagranie i nie znaleźli nic pomocnego, ale rozejrzą się po okolicy i skontaktują z Peterem. Nie mają dowodów, że to on, więc raczej go nie aresztują. Wnioskują jednak, że to zajście to prześladowanie i mówią, że traktują sprawę bardzo poważnie. Samo to mnie martwi. Dlaczego czują potrzebę, aby mnie o tym zapewniać? Wydaje mi się, że mają lepsze rzeczy do roboty niż szukanie wandalą, który zniszczył worki z ubraniami dla fundacji charytatywnej. Uspokajają mnie jednak.

Nie zdradzam im swoich podejrzeń co do mamy. Jeśli to ona, sprawa jest prywatna.

Cały dzień w szkole zerkam na podgląd z kamer. Susanne nie jest tak wesoła i promienna jak Erin. Stawia jedzenie przed mamą, nim siada i rozkłada gazetę. Widzę, jak mama macha rękami, wyraźnie krzyżując, na co opiekunka odwraca się i wychodzi z pomieszczenia. Chwilę później mama wydaje się zapominać, o co była wściekła, a Susanne wraca. Muszę zacząć się od niej uczyć. Nie przejmuję się kapryсами mamy.

Przeważnie myślę jednak o wszystkim, co miało miejsce – od guzika na podwórku, przez wybielacz, który wypięła mama, do głosu na nagraniu i pociętych ubrań. Naprawdę wierzę, że mama może być za to wszystko odpowiedzialna? Mogę sobie wyobrazić, jak planuje to wszystko? Czy drwi ze mnie, wspominając o cieniu, ponieważ wie, że mam w związku z tym jakieś wspomnienia, których nie mogę uchwycić? Czy zdołała zepsuć kamerę, włamać się do mojej skrzynki e-mail i wysłać skargę na Erin do jej szefa? Czy mogła wymknąć się nocą z domu? Udawać, że zgubiła klucze? Wypięć wybielacz?

Pytanie, na które nie znajduję odpowiedzi brzmi: czy wierzę, że matka jest zdolna do tych rzeczy? Tak, potrafi być wredna i manipulować. Tak, może być okrutna, gdy ma poczucie, że została skrzywdzona. Jednak czym, prócz samym istnieniem, zasłużyłam sobie na to wszystko?

Zamykam laptopa i wzdycham, co ginie w hałasie wywoływanym przez dzieci. Uczniowie powinni czytać *Hobbita*, ale rozmawiają i podają sobie liściki. Podnoszę głos, zarządzając ciszę.

Tylko Chloe z nikim nie rozmawia. Wpatruję się w nią, gdy siedzi w kącie, wyglądając przez okno. Tyle się u mnie dzieje, że zapomniałam mieć ją na oku. Nie mam pojęcia, czy wciąż rozmawia z wymyśloną koleżanką.

Podczas przerwy na lunch nie mam dyżuru na placu zabaw, więc zostaję w klasie, by zjeść kanapkę. Kiedy sprawdzam komórkę, widzę kilka nieodebranych połączeń z numeru zastrzeżonego. Normalnie nie zwróciłabym na to uwagi, ale przy wszystkim, co się dzieje, na ten widok przeszywa mnie dreszcz. To znów mógł być Peter, choć wydawało się, że przestał do mnie wydzwaniać. Przekazałam jego dane policji, więc istnieje szansa, że do niego dotarli. Być może wraca z nową energią, ukrywając numer, bym nie wiedziała, że to on. Powinnam to zapisać. Być może policjanci znają jakiś sposób na wyśledzenie dzwoniącego.

Palce mi świerzbią, aby otworzyć laptopa. Gdybym mogła przejrzeć więcej nagrań, może zdołałabym to rozgryźć. Brak mi istotnego kawałka układanki; wiem o tym. Chciałabym się dowiedzieć, co to takiego.

Jako pierwsza do klasy wraca Chloe. Znów wyciąga rękę. Wiem, że udaje, iż trzyma czyjaś dłoń. Porusza ustami, ale mówi tak cicho, że nie słyszę słów. Mam zamiar ją zawołać, by porozmawiać, ale do klasy wchodzi inne dzieci i zaczynam prowadzić lekcję o starożytnym Egipcie.

Uwielbiam przekazywać tę wiedzę. Mówić uczniom o procesie mumifikacji, obserwować ich zachwycone i zniesmaczone miny, gdy

dowiadują się, że mózg zmarłego był wyskrobywany z czaszki. Dziś jednak wszystko wydaje się psuć. Uczniowie przeszkadzają i się śmieją, a ja nie mogę oderwać wzroku od Chloe. Zainteresowanie lekcją spada, mimo że zazwyczaj ten temat przyciąga uwagę. Popołudnie się dłuży, aż dzielę dzieciaki na grupy i zadaję im rysowanie hieroglifów.

Wszystkie to robią, prócz Chloe. Udając, że mam dla niej specjalne zadanie, ściągam ją do swojego biurka. Czekam, aż reszta klasy zajmie się swoimi zajęciami, nim porozmawiam z nią indywidualnie. Nie lubię jej tak wyróżniać, ale odczuwam potrzebę, aby sprawdzić, co u niej. I, szczerze mówiąc, muszę się czymś zająć, by nie włączyć ponownie podglądu z kamer. Stało się to moją obsesją.

– Co sądzisz o Egipcjanach? – pytam, ułatwiając rozpoczęcie rozmowy.

– Czčili koty – odpowiada. – To fajne.

– Tak? Masz w domu kota?

Kiwa głową.

– Nazywa się Puszek. Nazwałam go tak, gdy był mały.

– To świetne imię dla kota. Przypuszczam, że na nie zasłużył?

Uśmiecha się.

– Tak. Mama się złości, gdy codziennie musi odkurzać, ale on jest taki milutki.

– A co Jessie myśli o Puszkę? Też go lubi? – Próbuję wspomnieć o jej wyimaginowanej przyjaciółce tak nonszalancko jak to tylko możliwe, jakby istnienie Jessie było zupełnie normalne.

– Jessie też lubi Puszkę – odpowiada ze zwieszoną głową, koncentrując się na rysowaniu hieroglifów, które jej poleciłam. – Ale czasami jest trochę zazdrosna.

– Dlaczego?

– Bo Jessie lubi spędzać czas tylko ze mną. Niekiedy uważa, że spędzam go zbyt wiele z Puszką.

– Czy Jessie denerwuje się, jeśli bawisz się z koleżankami?

– Chyba tak. – Brzmi mniej pewnie.

Serce mnie boli, gdy słyszę tę podejrzaną nutę w jej głosie. Przynajmniej zdaje sobie sprawę, że nie ma innych przyjaciółek niż Jessie. Może przekażę to jej rodzicom lub terapeutce.

– Czy Jessie pozwala ci przyjaźnić się z kimś innym, Chloe? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Tak.

– A o czym rozmawiacie?

Unosi głowę i się uśmiecha. Widzę, że czuje się bardziej swobodnie, mogąc porozmawiać o wymyślonej koleżance.

– O wszystkim. O tym, co mamy na lunch. O, i gramy też w różne gry. Na przykład ukrywam różne rzeczy, a Jessie musi ich szukać. Albo w chowanego i ona musi mnie znaleźć.

Sposób, w jaki mała o niej mówi, sprawia, że koleżanka wydaje się prawdziwa. Pomimo prób utrzymania neutralnego wyrazu twarzy przy dziecku, lekko się krzywię. Mam ciarki. Próbuję się otrząsnąć. Nie chcę, by wierzyła, że mam ją za dziwadło. To jej nie pomoże.

Jej odmienność nie jest jedynym, co mnie martwi. Kiedy wspomniała o zabawie w chowanego, w moim umyśle pojawił się odległy chichot. Był tak rzeczywisty, że niemal odwróciłam się, aby sprawdzić, czy jakiś uczeń nie zakradł się za moje plecy. Mimo to jestem świadoma, że to wspomnienie. Dawne.

Kręcę głowę, próbując skupić się na Chloe. Kiedy na chwilę zamykam oczy, moje zmysły atakuje silna woń truskawek. Nie jest to zapach świeżych owoców. To coś bardziej jak lepki aromat truskawkowego lizaka.

– Co jeszcze możesz powiedzieć mi o Jessie? – pytam.

– Lubi fioletowy kolor, grę Minecraft i zespół One Direction, ale nie znosi Little Mix i Elsy z *Krainy lodu*. Czasami lubi obcinać włosy moim lalkom

Barbie lub malować mi paznokcie na czerwono. Mama tego nie cierpi.

Kiwam głową z uśmiechem, próbując się skupić. Mogę myśleć jedynie o chwili, gdy sprawy nagle zaczęły nabierać sensu. Zmuszam się, by mocniej pomyśleć o przeszłości. Aby sobie przypomnieć.

Ogród pełen słońca. Nie jest tym naszym w Eddington. Nie, jest brzydszy, brudniejszy. Trawa jest nierówna i pożółkła. W kącie znajduje się stare, zardzewiałe wiadro i...

– Robimy razem herbatę – mówi Chloe. – Urządzamy przyjęcia w ogrodzie z misiami, choć mama mówi, że jestem na to za duża...

Raz, dwa, trzy, teraz ty.

Raz, dwa, trzy, teraz ty.

Stoję. Palce wsuwam we włosy i wyszarpuję je z koka z tyłu głowy. W sali zapada cisza. Wszyscy uczniowie patrzą na mnie. Chloe ucieka na koniec klasy.

Raz, dwa, trzy, teraz ty.

Słyszę w umyśle dziecięcy głos. Do kogo należy? Do mnie?

Pojawia się wspomnienie. Zatrzymuję się na chwilę, ale to wystarcza, abym zaczęła kołysać się na piętach, zdumiona mocą rezonujących we mnie emocji. Ból jest jak dźgnięcie nożem w brzuch.

Wspomnienie jest krótkie. Stoję w ogrodzie, bawię się z wymyśloną przyjaciółką, którą nazywam Cieniem. Mamy prostą rymowaną: *Raz, dwa, trzy, teraz ty*. Po niej jedna z nas rzuca wyzwanie. Wypowiadam te słowa, gdy w ogrodzie pojawia się zdenerwowana i rozczochrana mama. Pyta z kim rozmawiam, więc mówię, że z moim Cieniem. Pamiętam, że rozzłościła się na mnie za to i powiedziała, abym już nigdy się z nim nie bawiła.

Cień.

Muszę wracać do domu. Na szczęście rozbrzmiewa dzwonek.

Rozdział 13

Susanne nie zostaje po pracy, by porozmawiać. Zazwyczaj czeka na mnie przy drzwiach, ubrana w płaszcz, z papierosem w ustach, gotowa, by się pożegnać i odejść. Przeważnie brak mi herbatki i rozmowy z Erin. Dziś jednak cieszę się, że Susanne jest kobietą, która pragnie opuścić nasz dom najszybciej, jak to możliwe. Zostawia mnie sam na sam z mamą, do której mam mnóstwo pytań.

Mama siedzi na kanapie przed telewizorem, ogląda jedną z popołudniowych australijskich oper mydlanych. Chciałabym wyrzucić z siebie wspomnienie. Mam ochotę złapać ją za ramiona, potrząsnąć i domagać się, aby mi powiedziała, co to wszystko znaczy. Zamiast tego wracam myślami do rozmowy z Chloe. Mama jest jak dziecko, zacznie coś podejrzewać, gdy będę rozgorączkowana. Mam świadomość, że celowo ukrywała przede mną pewne rzeczy. Muszę postępować ostrożnie.

Robię wielki pokaz z zakładaniem kapci.

– Miałam dziś długi dzień. A co u ciebie, mamo? Dogadujesz się z Susanne?

– Wolę tę drugą – odpowiada, nie odrywając wzroku od telewizora. – Tamta zadawała sobie przynajmniej trud, by podgrzać mi zupę.

– Jeśli chcesz, mogę z nią porozmawiać. – Nie mam zamiaru tego robić, no chyba że będę musiała. Susanne jest niemal tak onieśmiałą jak mama, której nigdy nie byłam w stanie się przeciwstawić. – Napijesz się herbaty?

– Mogę.

– Dobrze. – Idę do kuchni, ignorując rosnącą chęć do zadawania pytań. W mojej głowie ze zniecierpliwienia wirują niespokojne myśli, próbując przyspieszyć czas.

– Tylko nie rób słabej jak zawsze – krzyczy z drugiego pomieszczenia. – Niech się zaparzy, jak cię uczyłam – ścisza głos do mamrotu, zapewne psiocząc, że nigdy nie wypełniam prawidłowo instrukcji.

Jej głos jest stłumiony, gdy chodzę po kuchni, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku. Więcej krytyki. Nie mogę zrobić nawet herbaty, by nie dorzuciła swoich trzech groszy. Zawsze tak między nami było. Ona karci, a ja to przyjmuję. Jeśli stwierdzi, że mam za długie włosy, idę do fryzjera. Po ścięciu twierdzi, że są za krótkie i nie pasują do mojej twarzy. Powie też, że moje ubrania są stare i powyciągane i nigdy nie znajdę sobie męża. Kupię nową sukienkę, stwierdzi, że ubieram się jak tania wywłoka. No i jeszcze moja zuchwa, o której nigdy nie da mi zapomnieć.

Ale, oczywiście, muszę poczekać, by herbata się zaparzyła. Zalewam torebkę wodą i wracam do krążenia po kuchni. Inni ludzie nie daliby tak sobą pomiatać. Wyszliby i zostawili ją z jej własną goryczą. Dorastałam, wierząc, że naprawdę chce dla mnie tego, co najlepsze, ponieważ wciąż to powtarzała. Mówiła, że świat tylko na mnie czyha i że ona mnie ochroni, jeśli z nią zostanę. Więc oto jestem, dając zaparzyć się herbacie, jak na dobrą córkę przystało. Nabieram głęboko powietrza i wkładam łyżeczkę do filiżanki.

Trzymaj się, Sophie. Nie zdobędę odpowiedzi, jeśli stracę nad sobą panowanie. Trzydzieści kilka lat i nie zdołałam się jej przeciwstawić.

Martwię się, że pewnego dnia pęknę. Że uwolnię potwora. Pokręconego, zgorzkniałego, który ma już tego wszystkiego dość. Jednak nie mogę zrobić tego dzisiaj.

Odrobina mleka. Nie, nieco więcej, ale nie za dużo. Dodaję je też do swojej herbaty. Powstrzymuję się, by nie trzasnąć drzwiczkami lodówki. Ledwie.

Czas przybrać uśmiech na twarz. Idę do salonu.

– Co oglądasz? – pytam, stawiając filiżankę na ławie.

– *Sąsiadów*. Takie to głupie.

– Więc wyłącz – podpowiadam.

Mruży oczy.

– Czy w taki sposób rozmawia się z matką? – Bierze herbatę. Mimowolnie zauważam, że ruch wymaga od niej więcej wysiłku niż jeszcze kilka miesięcy temu. Dmucha na gorący napój. – Mimo wszystko cię urodziłam. I nigdy już nie miałam pięćdziesięciosześcioletniej talii. – Upija łyżeczek i kręci głową. – Nie zaparzyłaś. Mam jedyną córkę na świecie, która nie potrafi przygotować herbaty.

Trzymaną obok nóg dłoń, wciśniętą w poduszkę kanapy, zaciskam w pięść tak mocno, że paznokcie wbijają mi się w skórę. Knykcie w tej, którą trzymam filiżankę, stają się białe. Wzdycham cicho.

– Myślałam kiedyś o Londynie – ryzykuję, sondując.

– A po co? Ohydne miejsce. Paskudne wspomnienia. Jak na przykład twój ojciec posuwał dziewczynę z piekarni za moimi plecami.

Wzdrygam się. Zły znak, że mama wspomina o tacie. Łatwo się rozproszy, myśląc o jego samobójstwie – którego to ja byłam powodem, oczywiście. Byłam tak okropną córką, że doprowadziłam go do tego – niewierności i targnięcia się na swoje życie. Jednak Geoff Howland był niezbyt dobrym człowiekiem na długo przed moim pojawieniem się na świecie. Do czasu moich narodzin tatę aresztowano trzykrotnie za drobne

przestępstwa. Nigdy nie trafił za kraty, ale był tego bliski. Prócz jego błędów, niewiele o nim wiem. Ktoś mógłby mi pokazać jego zdjęcie i bym go nie poznała.

– Nigdy nie wychodź za mąż za człowieka, który dla ciebie kradnie. Mężczyźni, którzy kradną i kłamią, będą również zdradzać, a następnie zostawią cię z niewdzięczną córką, która nie potrafi nawet zaparzyć herbaty.

– Właściwie mam miłe wspomnienie Londynu – ciągnę, mając nadzieję, że tę rozmowę nadal da się uratować. – Bawiłam się samotnie w ogrodzie...

– Nie miałaś koleżanek.

– Właściwie wydaje mi się, że jedną miałam. – Upijam herbaty. – Pamiętasz? Bawiłam się z nią w ogrodzie.

Mama sztywnieje. Kładzie filiżankę na ławie i wraca wzrokiem do ekranu telewizora. Widzę, że zmienił się jej nastrój, ponieważ zaciska dłoń w pięści.

– Chociaż nie sądzę, by była to prawdziwa przyjaciółka. Raczej wymyślona – mówię. – Nie pamiętasz, jak nazywałam ją Cieniem? Chyba nawet miałyśmy krótką rymowaną, którą recytowałyśmy, nim wymyślałyśmy sobie wyzwania: *raz, dwa, trzy, teraz ty*. Pamiętasz ją?

Ktoś inny mógłby sądzić, że mnie nie słucha, ale ja wiem lepiej. Widzę, jak krew odpływa z jej twarzy, dostrzegam też niewielkie drgnienie na jej policzku.

– Chyba wyłączę ten nonsens i wyleję to do zlewu, bo jest obrzydliwe. Poszukam też kluczy, bo gdzieś je zostawiłam, a nie wiem gdzie. Może są na stole w kuchni...

– Byłaś dziś na Facebooku? – pytam. Mama jest – lub była – aktywną użytkowniczką. Lubiała udostępniać filmiki z kotami i memy o przywróceniu świetności Wielkiej Brytanii. Zanim pojawiły się u niej symptomy choroby Alzheimera, całymi dniami grała z koleżankami

w słówka. – Świetnie, że dobrze posługujesz się komputerem. – Nonszalancko popijam herbatę.

Wydaje gardłowy dźwięk, zanim odpowiada:

– O ile uda mi się włączyć to cholerstwo. Ostatnio zapominam haseł. – Śmieje się, ale nie brzmi to szczerze. Szukam teraz kłamstwa we wszystkim. Nie ufam jej.

– Och, myślę, że wciąż jesteś w tym dobra. Hej, rozmawialiśmy o mojej wymyślonej koleżance, prawda? – Próbuję mówić lekkim głosem, choć wzrasta pokusa, by krzyknąć. – Nie pamiętasz Cienia?

– Gdzie moja zupa, Erin? Czyż nie jest to pora lunchu?

– Mamo, jestem Sophie. Erin była twoją opiekunką. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o mojej wyimaginowanej przyjaciółce.

– Nigdy nie godziłam się na ten nonsens – mówi. – Tylko dziwne dzieci mają zmyślonych kolegów, takie w grubych okularach, które wyglądają, jakby miały posikać się w spodnie przy najśłabszym dźwięku. Nie pozwoliłabym córce dorastać w taki sposób.

– Ale miałam wymyśloną przyjaciółkę – ciągnę dalej. – Pamiętam. Cień. Bawiłyśmy się razem w ogrodzie. Chyba właśnie dlatego coś mi się przypominało, gdy wspominałaś o cieniu nachodzącym dom.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nigdy tak nie powiedziałam i nigdy nie zapominam tego, co mówię.

– Mówiłaś, mamo. Powtórzyłaś kilka razy. Mówiłaś, że pewnego wieczoru do ogrodu przyszedł cień, następnie, że był w twojej sypialni. Pamiętasz, jak prosiłaś, bym pomogła szukać w domu intruza?

– Przestanieś mówić, Becco? – Mama wstaje i zaciska dłonie w pięści. Podnosi się tak gwałtownie, że filiżanka spada i herbata rozlewa się na dywan.

Jednak żadna z nas nie spieszy się, by to posprzątać. Patrzymy na siebie szeroko otwartymi oczami.

– Kim jest Becca? – pytam w końcu.

Mama zostaje wyrwana z transu.

– Musisz to zetrzeć. Zostanie plama.

– Nie, dopóki nie odpowiesz na moje pytanie. – Trzęsę się tak bardzo, że w trzymanej na kolanie filizance pojawiają się fale. – Kim jest Becca?

– Dawną znajomą z dzieciństwa. Wtedy, gdy miałam przyjaciół. Dobrze, jeśli ty nie chcesz tego zrobić, ja muszę. – Pochyliła się, robiąc wielkie przedstawienie przy zgięciu pleców.

Stawiam gwałtownie filizankę na ławie.

– Nie, zrobię to.

*

Kiedy mama leży już w łóżku, wracam do salonu z dużym kieliszkiem pinot grigio. Zanim siadam na kanapie, przeglądam się w zawieszonym nad kominkiem lustrze. Kobieta z odbicia jest w rozsypce. Stres, wiek, wyczerpanie odcisnęły swoje piętno na jej skórze, która jest jak rozorane pazurami ciało. Ale to nie wszystko, co widzę. W jej oczach widnieje nowa iskra determinacji. Zniknęła pusta, rozluźniona mina, której używała, by ludzie ją lubili, zamiast tego pojawił się grymas. Ta kobieta poukłada wszystkie kawałki tego obrazu i dowie się, co się tu dzieje. I zacznę jeszcze dzisiaj wieczorem.

Stawiam kieliszek na ławie i z półki nad telewizorem wyjmuję dwa albumy. Pomimo ciężaru wydają się skromną kroniką całego życia. Są zakurzone, nieużywane, brudzą mi bluzkę. Siadając na kanapie, przecieram ręką okładkę. Następnie strzepuję kurz na dywan. Mama by padła, ale nie ma jej tu teraz. Nie podobałby się jej również duży kieliszek wina. Upijam spory łyk, jakbym wznosiła toast. Zaraz otwieram album.

Wypełniony jest fotografiami sprzed moich narodzin. Nie mogę powiedzieć, że nie jestem rozczarowana. Jest grubszy niż ten drugi, miałam nadzieję, że zobaczę zdjęcia ze swojego dzieciństwa. Przypominam sobie jednak o tajemniczej Becce i zaczynam przeszukiwać stare pamiątki, aby zobaczyć, czy znajdę ją tu gdzieś wśród dawnych przyjaciółek.

Album rozpoczyna się czarno-białymi fotografiami mamy jako dziecka z lokami i pucułowatymi policzkami. Miałam nadzieję zobaczyć ją, gdy była niemowlakiem, aby sprawdzić, czy była do mnie podobna, nie żebym sama pamiętała coś z tak wczesnego okresu. Dostrzegam siebie w jej niepewnym uśmiechu. Dziwnie widzieć u niej taki wyraz twarzy, ponieważ zawsze wydaje się pewna siebie, wręcz arogancka. Czy możliwe, by mama zaczęła życie z takimi wątpliwościami jak reszta z nas? Nie do końca mogę w to uwierzyć.

Przez chwilę wpatruję się w zdjęcie dziadków. Zmarli, gdy byłam zbyt mała, by ich pamiętać. Te fotografie to fascynujące spojrzenie na tę część życia mamy, której nigdy nie widziałam. Nigdy nie byliśmy na tyle zżyte, by przeglądać albumy i wspominać. Ledwie jesteśmy rodziną. Zarówno babcia, jak i dziadek byli mądrymi ludźmi w eleganckich ubraniach i o schludnych fryzurach. Byli również atrakcyjni. Normalni. Wiem, że kiedy mama wyszła za tatę, powstał wielki konflikt między nią a jej rodzicami. Nigdy nie zaaprobowali jej wyboru i, szczerze mówiąc, nie dziwię im się.

Przerzucam strony, przyglądając się zdjęciom, na których mama jest z innymi dziećmi, ale nie ma ich za wiele, niektóre podpisano imionami i datami. Nie może być to pismo babci, ponieważ album nie wydaje się być aż tak stary. Nie potrafię sobie jednak wyobrazić, by to zrobiła, więc w którymś momencie mama musiała usiąść, wkleić fotografie do albumu i podpisać każdą z nich.

Nie ma żadnej Bekki. Żadnej Rebekki, czy Becky. Biorę do rąk drugi album.

Zaczyna się od zdjęcia ślubnego rodziców. Mama miała zaledwie dwadzieścia lat, gdy mnie urodziła, znajdowałam się w jej brzuchu, gdy robiono to zdjęcie. Nie widać tego jednak. Byłam wielkości fasolki. Czekałam na chwilę narodzin.

Odkładam na chwilę album, pokonana cisnącymi się nagle do oczu łzami. Upijam kolejny łyk wina i oddycham głęboko, po czym wracam do oglądania. Jeśli chcę dokądś dotrzeć, muszę się trzymać.

Po fotografii ślubnej jest kilka fotek moich rodziców, na których mama ma sukienkę ciążową z wczesnych lat osiemdziesiątych. Zdjęcia są zamglone, często nieostre. Para na nich śmieje się. Tata zawsze zdaje się trzymać drinka czy papierosa. Na niektórych są inni ludzie, ale nie ma podpisów, więc nie potrafię znaleźć żadnej Bekki.

I fotografie się kończą.

Przerzucam puste strony albumu, słysząc łomot w piersi. Były tu zdjęcia, ale zostały wyjęte. Widzę linie kleju i resztki papieru. Przerzucam kolejne – przynajmniej dwadzieścia – aż znajduję siebie.

Zamieram. Drżącymi palcami dotykam swojego wizerunku. Jestem sama, mam z sześć czy siedem lat, noszę szkolny mundurek. Mam długi warkocz i grubą grzywkę, którą, jak pamiętam, obcięła mi mama. „Nie ruszaj się albo zleję ci tyłek”. Uśmiecham się na zdjęciu w ten sam sposób, w jaki, wcześniej widziałam, że uśmiechała się mała mama – niepewnie, z wahaniem, niepokojem.

Przekładam stronę. Kolejne moje zdjęcie. Tym razem mam z dziesięć czy jedenaście lat, trzymam trofeum. Obok stoi mama. Pamiętam za co była nagroda. Wygrałam na szkolnym festynie konkurs na projekt naukowy o wulkanach. Przypominam sobie, że jedna z nauczycielek zaproponowała, że uwieczni to wydarzenie, a mama niechętnie się zgodziła.

Na następnej fotografii znajduję się ja, mama i jeden z jej partnerów. Bob? Bill? Frank? Wszyscy mieli jakieś takie imiona. Zazwyczaj byli żonaci, więc nie spodziewam się znaleźć więcej ich wizerunków. Jasne, reszta albumu to mieszanina moich niezręcznych zdjęć z rzadkiego wyjazdu do Blackpool, jakichś aktywności w szkole lub mamy pijącej wino i palącej z koleżankami, z którymi spotykała się co tydzień. Co jakiś czas przewija się jakiś facet mamy, zazwyczaj łysy i opalony po wakacjach w Hiszpanii czy po solarium. Nie ma moich zdjęć od momentu, gdy skończyłam piętnaście lat.

Kiedy byłam małą, rzadko obchodziliśmy urodziny, nigdy nie urządzałyśmy wystawnej kolacji w Boże Narodzenie. Chyba nawet nie miałam świadomości – aż do tej chwili – jakie to dziwne. Najbardziej wyróżnia się jednak brak fotografii, które musiały być robione w okolicach moich narodzin. Nie ma zdjęć, gdy byłam niemowlakiem. Pierwszy mój portret został zrobiony, gdy miałam jakieś sześć lat. Gdzie podziały się wcześniejsze?

Rozdział 14

Szukam, ale nie wiem czego. Nie, wiem: dowodu. Muszę się przekonać. Muszę odkryć, czy matka udaje chorobę i robi wszystko, by mnie skrzywdzić. Potrzebny mi dowód. W szkole nie mogę otworzyć laptopa i nałożyć słuchawek, aby posłuchać tego, co działo się w nocy. W domu słucham, oglądając mamę na kamerze. Przewijam i puszczam wielokrotnie, wyobrażając sobie, jak nachyla się do rejestratora i syczy ochryplym głosem, aby mnie oszukać.

Poznasz mnie.

Może właśnie o to jej chodziło, abym zorientowała się, że to ona. Aby zobaczyć prawdziwą podłość jej natury. Dowiedziała się, kim naprawdę jest. Co ukrywa? Zdradę? Morderstwo? Do głowy napływają mi same czarne myśli, gdy zastanawiam się nad brakującymi zdjęciami, pociętymi ubraniami, głosem w nocy.

Wieczorem biorę laptopa do łóżka, a na stoliku nocnym stawiam butelkę wina. Popijam trunek, przeglądając nagrania i czekając, aż mama zacznie podejrzanie się zachowywać. Którejś nocy wstaje z łóżka. Ekscytacja wzrasta, aż rozlewam chardonnay na pościel. Okazuje się jednak, że idzie do łazienki, po czym jest wyraźnie zdezorientowana, śpi na półpiętrze. Muszę ją obudzić i zaprowadzić do łóżka. Początkowo nie wie, kim jestem.

Przynajmniej tak się zachowuje.

W szkole podpieram głowę na dłoni, trę oczy. Co też mi się roi? Przecież lekarze przeprowadzili szereg badań. Nie ma wątpliwości, że mama cierpi na chorobę Alzheimera. Istnieje jednak szansa, że sprawia, by objawy wskazywały na szybszy postęp choroby i w rzeczywistości jest bardziej świadoma. Zwariuję, zanim dopadnie ją całkowita demencja.

Dzwoni dzwonek, uczniowie wychodzą na lunch. Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że na ostatnie dwadzieścia minut nie zadałam im żadnej pracy. Siedziałam na przodzie klasy, gapiąc się na ekran komputera, a dzieci zajmowały się sobą. Widzę, że Chloe idzie za resztą, ale nie mam siły dłużej się o nią martwić.

Kiedy drzwi się otwierają i wchodzi Moira, szybko zamykam laptopa i uśmiecham się, mając nadzieję, że nie będzie wyglądało to sztucznie.

– Dobra lekcja? – pyta. – Z klasy dochodził spory hałas.

– O tak, świetna – kłamię. – Wszyscy dobrze się bawili. Odgrywaliśmy sceny z *Romea i Julii*. – Mam nadzieję, że moja jasnoczerwona twarz nie stanowi oczywistej oznaki, że nie potrafię przekonująco kłamać.

– Dobrze, dobrze. – Niskie obcasy dyrektorki stukają na podłodze klasy, gdy kobieta podchodzi do pierwszych ławek. Zazwyczaj poprawiam meble, gdy dzieci są na przerwie, ale dziś tego nie zrobiłam. Ławki i krzesła są w nieładzie. Zasycha mi w gardle, serce przyspiesza, gdy przyglądam się, jak Moira wodzi palcem po oparciu siedziska w pierwszym rzędzie.

Bierze je i stawia przy moim biurku. Siada, opiera się o blat, posyłając mi pełen współczucia uśmiech i przechylając głowę.

– Jak się miewa twoja mama?

Czuję, że coś się dzieje. Właściwie jestem o tym przekonana. Podciągam rękawy bluzki, nerwowo szukając zajęcia dla palców.

– Choroba postępuje szybciej, niż się spodziewałam. Mam problemy z opiekunkami. Teraz zajmuje się nią inna, co jest trudne dla mamy. – Nie

wspominam, że mogę być prześladowana przez własną rodzicielkę.

– A co z tobą? Jak się trzymasz? Jak sobie radzisz? – Przechyliła głowę jeszcze bardziej. Jej uśmiech zdaje się być nieruchomy.

Zaczynam coś podejrzewać, więc mam ciarki i zaciskam usta.

– Dobrze.

W końcu prostuje szyję.

– Na pewno, Sophie? Chciałabym, byś była ze mną całkowicie szczerą, ponieważ to ważne.

– Naprawdę nic mi nie jest. Oczywiście jestem zmęczona i zdenerwowana, ale wciąż się nie spóźniam. Może wzięłam kilka dni wolnego, ale semestr się niemal kończy, więc będę mogła się wypaść i przygotować do następnego.

– To dobrze, ponieważ, szczerze mówiąc, miałam skargi od członków naszego zespołu. I od kilku rodziców.

Opada mi szczeka.

– Co?

– Twoja klasa jest ostatnio uciążliwa. Dzieci bardzo hałasują. I kilkakrotnie zlekceważyłaś dyżur na placu zabaw. W dodatku już od kilku tygodni niektórzy uczniowie nie odrabiają zadań domowych, a ci, którzy to robią, nie mają ich sprawdzonych.

– Wiem, że mam małe zaległości, ale... – Nie kończę zdania. Moira ma rację. Zaniedbałam pracę. To nie wina uczniów, że moje życie się rozpada i że jestem w rozsypce.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wszystko to zaszło aż tak daleko.

– Sophie, wydajesz się wyczerpana. Przykro mi o tym mówić, ale wyglądasz okropnie. Wszyscy się o ciebie martwimy, bo nam na tobie zależy. Jeśli chcesz z powodu stresu wziąć wolne do końca semestru, znajdziemy kogoś na zastępstwo na te kilka tygodni. W ten sposób

przedłużysz letnie wakacje, będziesz mogła zacząć uczyć w przyszłym roku szkolnym. Co ty na to?

– Nie wiem...

– Może przemyślisz to dziś i spotkasz się ze mną jutro podczas przerwy na lunch? Rozmawiałam już z kuratorium w razie, gdybyś zdecydowała się wziąć wolne. – Krzesło zgrzyta na linoleum, gdy dyrektorka wstaje. – Chcemy dla ciebie jak najlepiej. Mam nadzieję, że wiesz, jak jesteś ceniona.

Jednak, kiedy wychodzi z klasy, mogę myśleć jedynie o tym, jak puste były jej słowa.

*

Jakby tego było mało, nieustannie dzwoni do mnie ktoś z numeru zastrzeżonego, przez co muszę wyłączyć komórkę. Tak się składa, że telefon wydzwania akurat, gdy nie przeglądam zapisu kamer. Zawsze ma to miejsce, gdy prowadzę auto i mam komórkę w torebce, więc nie jestem pewna, czy w niektórych przypadkach nie jest to mama. Może to być Peter lub ktokolwiek inny.

Pod koniec dnia w pracy ociągam się. Zwlekam z wyjściem z klasy. Sprawdziłam kilka testów z matematyki, które pisały po południu dzieci. Rzucam okiem na ogólnikowe plany na jutrzejsze lekcje, które powinnam doprecyzować, ale jeszcze się tym nie zajęłam. Wchodzi Alisha.

– Cześć, Soph. – Zaciska dłonie, stoi niezręcznie kilka metrów ode mnie. To do niej niepodobne. Lubi się tulić. Nie szanuje przestrzeni osobistej innych osób. To właśnie jedna z rzeczy, które tak u niej lubiłam – że zawsze była blisko, zawsze obdarowywała niewielkim dotykiem, pocałunkami w policzek. Całe życie spędziłam w chłodzie, więc jej ciepło było wspaniałe.

Ale nie ma go dziś. Zniknęło, pozostawiając między nami spory dystans w miejscu, w którym niegdyś była przyjaźń.

– Wiedziałaś, że dyrektorka przyjdzie ze mną porozmawiać? – pytam, nie trując się, by ukryć jad. – Byłaś jedną z członków załogi, którzy poskarżyli się na hałas dochodzący z mojej klasy?

– Nie, nie naskarżyłam na ciebie, ale powiedziałam, że się o ciebie martwię...

– Co?

– Wysłuchaj mnie, dobrze? Nie rozmawiałaś ze mną za wiele ostatnio. Właściwie ledwie się do kogokolwiek odzywasz. Zawsze zamykasz się w klasie, wpatrując w ekran tego swojego przeklętego laptopa. Myślałam, że się przyjaźnimy, ale odsuwasz się ode mnie. Chciałam ci pomóc. – Zbliża się, wyciągając ręce. Błagalna mina sprawia, że się odwracam.

– To znajdź sposób, by mnie wesprzeć, ponieważ za każdym razem, gdy rozmawiamy, starasz się jedynie mnie nakłonić, bym podrzuciła matkę do domu opieki. – Kiedy wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę, że stały się jedynie reakcją obronną. Przez ostatnie miesiące zmieniłam się tak bardzo, że nie chcę już pomagać mamie. Nie. Nie dlatego chcę zatrzymać ją w domu. Pragnę, by tu była, ponieważ oczekuję od niej odpowiedzi. Prawdy. Jednak Alisha o tym nie wie i nie mogę jej powiedzieć. Jeśli opowiem o tym komuś, może pomyśleć, że jestem jeszcze bardziej szalona.

– Przepraszam, Sophie. Och... nie płacz.

Jednak w końcu pękam i nie wiem, jak nad sobą zapanować. Wtulam się w nią, szlocham w jej ramię, uwalniając nieco smutku, jednocześnie się powstrzymując, ponieważ jeśli uwolnię całą nagromadzoną gorycz, chyba nigdy nie przestanę łkać.

– Jesteśmy nie do naprawienia – szepczę, gdy zaczynam się uspokajać. – Obie jesteśmy tak zniszczone, że nie wiem, co na to zaradzić.

– Zrobię wszystko, co będzie trzeba, byś zdała sobie sprawę, że nie możesz zatrzymać tej kobiety w swoim życiu. Wszystko – mówi Alisha.

*

Odrzucam propozycję wspólnej herbatki i idę do auta, nawet jeśli spotkanie z przyjaciółką jest bardzo kuszące. Pragnę usiąść i z nią porozmawiać. Chcę mówić, aż rozbolą mnie usta. Wyrzucić z siebie wszystko, co mnie przytłacza. Jednak nie mogę. Ten ciężar muszę dźwigać sama i nie spocznię, dopóki nie odkryję ostatniego fragmentu układanki mojej przeszłości. Tylko mama może go wskazać, ale muszę ją delikatnie podejść, nim na zawsze zamknie wszystko w sobie. Zastanawiam się, kto tu kogo ściga. Czasami czuję się jak zwierzę, które utknęło w pułapce, a kiedy indziej jak myśliwy przedzierający się cicho przez las, śledzący dzikiego stwora.

– Spóźniła się pani – mówi Susanne z papierosem w ustach. Odpala go, wypadając przez drzwi.

Niemal smutno mi, że wychodzi, ponieważ kiedy tu jest, nie muszę przebywać sam na sam z mamą.

– Nie znoszę tej kobiety. – Mama pojawia się w drzwiach salonu, gdy zdejmuję buty w przedpokoju. – Śmierdzi jak popielniczka.

– Kiedyś sama paliłaś – przypominam jej. – Nie sądziłam, że będzie przeszkadzał ci ten zapach.

– Paliłam. Co się stało z tamtą z tym kolczykiem? Też jej za bardzo nie lubiłam, ale przynajmniej tak bardzo nie śmierdziała.

– Wkurzyłyśmy ją – odpowiadam, nie wyjaśniając szczegółów.

– Te dzisiejsze młode dziewczyny tak łatwo wystraszyć. Myśmy były twardsze. – Taksuje wzrokiem moje ciało. – Przynajmniej ja. Tak w ogóle, to wyglądasz koszmarnie.

Mijam ją w drzwiach i idę do kuchni, by nalać sobie wody do szklanki.

– Ponieważ muszę się tobą opiekować i jednocześnie pracować.

– Och, jestem dla ciebie ciężarem, prawda? Dlaczego więc nie oddasz mnie do domu opieki, co? Możesz skazać mnie na śmierć. Wiem, że tego pragniesz. – W jej oczach pojawia się iskra. Znalazła powód do kłótni, a to jej się niebywale podoba. – Pozwól mi umrzeć i będziesz mieć spokój.

Opieram się o kuchenny stół, wbijając palce w drewno. Ciepło rozlewające się po mojej skórze ośmiela, bym jej wszystko wygarnęła, bym na nią nakrzyczała, powiedziała, co robiła mi przez lata. Aby oskarżyła ją o doprowadzenie mnie do szaleństwa, o udawanie choroby, o bycie okrutną. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego. Jeszcze mocniej wbijam paznokcie, aż zaczynają mnie boleć.

Stoimy wyprostowane, naprzeciw siebie. Dwie kobiety nie do naprawienia, pomiędzy którymi rozciąga się przepaść jak kanion. Mama stoi na szeroko rozstawionych nogach, jej postawa jest arogancka, jakby wyzywała mnie do walki, jak to robiła przez całe moje życie. Jediną różnicą jest brak tego jej sardonicznego uśmiechu rozciągającego się na twarzy, gdy uświadamia sobie, że boję się jej postawić. Jest w niej jedynie ostrożność. Nie zachowuję się jak żałosna, pokonana osoba, jak zwykle, co ją przeraża.

Dzwoni telefon, więc obie zaczynamy się ruszać. We mnie wzmacnia to jednak wrzącą wściekłość. Mogę myśleć jedynie o nieodebranych połączeniach i nieustających wiadomościach od Petera. Mam dosyć tego gnębienia.

Porywam słuchawkę i warczę:

– Zostaw mnie w spokoju!

Tylko zamiast ciężkiego oddechu, którego się spodziewałam, słyszę łagodny kobiecy głos:

– Czy to Sophie Howland? Przepraszam, że niepokoję. Nazywam się Eileen Woods. Jestem mamą Petera. Chyba musimy porozmawiać.

Rozdział 15

Eileen jest osobą, którą spodziewasz się zastać w bibliotece, opieczętowującą książki. Ma wygląd szarej myszy dopełniony grubymi okularami oraz krótkimi siwiejącymi włosami, które kręcą się jej lekko przy twarzy. Macha do mnie, gdy wchodzę do kawiarni. Kiedy zdezorientowana marszczę brwi, wyjaśnia, że Peter pokazał jej moje zdjęcie, które zamieściłam na portalu randkowym.

– Wiem, że mój syn jest skomplikowanym człowiekiem. – Wierci się na krześle, jakby wypowiedzenie tych słów sprawiało jej trudność. – Przepraszam, jeśli nie daje ci spokoju. Ma tendencję do przyczepiania się do ludzi. Ale powinnaś wiedzieć, że jest nieszkodliwy.

Wpatruję się w herbatę, aby wyzbyć się nerwowej energii.

– Jest pani pewna? Ktoś włamał się do mojego domu. Zostawiłam na progu worek z ubraniami, a rano były pocięte.

Eileen opiera się na krześle, otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

– Nie sądzę, by zrobił to Peter. Nigdy nie dopuścił się czegoś takiego.

– To pani tak twierdzi – wytykam.

– Tak, to prawda. – Przełamuje ciastko i wpatruje się w nie. – Zawsze był inny. Wiem, że ludzie obawiają się samotników. Powtarzam sobie, że mój Peter nie może być jednym z tych mężczyzn, którzy trafiają do wiadomości,

bo nigdy nie skrzywdziłby nawet muchy. Ale wszystkie tak mówią, prawda? Matki.

– Dlaczego chciała się pani ze mną spotkać? – pytam.

– Staram się dotrzeć do wszystkich, do których Peter mógł się przyczepić. Chcę, by wiedzieli, że ktoś mu pomaga. Jest kochany. – Uśmiecha się ciepło, szczerze. Przez chwilę naprawdę wierzę w to, że ta kobieta mogłaby powstrzymać syna z problemami przed wyrządzeniem komuś krzywdy.

– Nie jest brutalny – nalega. – Zawsze tylko dzwoni do kobiet, próbując się umówić. Przez jakiś czas często do nich wydzwania, ale zaraz mu się nudzi.

– I znajduje sobie kolejną. – Unoszę brwi, aby zwrócić uwagę na jego nietypowe zachowanie.

– Próbowałam sprawić, by nie chodził na randki – mówi – ale stał się samotny.

– Przykro mi, ale uważam, że pani syn potrzebuje pomocy. Musi porozmawiać z profesjonalistą.

– Rozmawiał w przeszłości. Widzisz, jest lekko autystyczny. Utrzymuje pracę, ale w żadnym związku z kobietą mu się nie ułożyło.

Krzywię się na myśl, że ten starzejący się mężczyzna nie ma towarzyszk. Oczywiście, że mu współczuję, ale również się obawiam, do czego zdolna jest taka osoba. Co się stanie, jeśli Eileen umrze i Peter zostanie całkiem sam?

– Czy któraś z tych kobiet postarała się o zakaz zbliżania dla niego?

Wzdycha.

– Tak, jedna. Kilka lat temu i muszę przyznać, że teraz jest z nim o wiele lepiej. Wtedy zaczął chodzić za tamtą kobietą. Widzisz, sprawy zaszły z nią dalej niż z innymi. – Zaciska usta. – Była z tych, jak to nazywam, rozwiązłych. Biedny Peter myślał, że to miłość. Przychodził pod jej dom

jeszcze długi czas po zerwaniu. Jednak jego związek z nią był niemal wyłącznie fizyczny.

– Czy zniszczył kiedykolwiek czyjąś własność? – pytam.

– Nie, nigdy. – Energicznie kręci głową.

– Proszę posłuchać, nie sądzę, aby to Peter pociął moje ubrania. Wydaje mi się, że coś innego tam się dzieje. Jednak często do mnie dzwonił, więc gdyby go pani powstrzymała... Chodzi o to, że mam w tej chwili wiele stresu – głos mi się łamie, czego się wstydzę.

– Och, biedactwo. – Eileen sięga po torebkę, wyjmując z niej paczkę chusteczek. – Po waszym spotkaniu Peter wspominał, że opiekujesz się chorą matką. Nie byłam pewna, czy to prawda...

– Prawda – odpowiadam. – Ma wczesne stadium demencji. Jest ciężko, a jeszcze te telefony i wszystko inne...

Kobieta się pochyla, ściska moją rękę.

– Nie musisz nic mówić. Nie przejmuj się moim synem. Zajmę się nim.

W drodze do domu mimowolnie zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym miała taką matkę jak Eileen. Kogoś, kto podawałby mi chusteczki w chwili smutku, litowałby się nade mną, robił mi herbatę.

Wracam do domu i sprawdzam zadania, nim zacznie się szkoła. Eileen zgodziła się spotkać ze mną o wpół do ósmej, przed pracą. Jednak gdy podjeżdżam pod dom, wypada z niego Susanne, wyjmując z kieszeni papierosy.

– Ona jest stuknięta! – woła.

Mama wychodzi boso na podjazd.

– Nigdy więcej tu nie wracaj, kurwo. Wiem, że mi go ukradłaś.

Nie jestem pewna, czym się najpierw zająć, więc odwracam się do opiekunki.

– Co się stało? Wie pani, że często jest zdezorientowana. Cierpi na chorobę Alzheimera.

– Tak, z tym mogę sobie poradzić – odpowiada, próbując odpalić papierosa. – Ale żeby bić po twarzy? Rzucić we mnie filiżanką? Proszę spojrzeć na siniaki! Nie wiem, skąd starucha ma siłę. To nie są przyjazne warunki pracy. Pani matka wymaga nieustannej opieki dwóch osób. Muszę wracać do domu.

Wzdycham, całkowicie pokonana rozwojem wydarzeń. Nie mogę kłócić się z Susanne, nie, kiedy na jej lewym policzku wykwita siniec.

– Dobrze. Przepraszam, że panią uderzyła. Najwyraźniej coś jej się pomyliło.

– No właśnie nie – mówi. – Nawet nie była zdezorientowana. Wkurzyła się, bo źle zaparzyłam herbatę. Ta kobieta była okrutną, zimnokrwistą suką na długo przed Alzheimerem.

Otwieram usta, by bronić mamy. Właśnie tak zawsze robię. Bronię jej zachowania. Postępowałam tak przez całe życie. Ale koniec z tym. Zmieniłam się. Ta przez całe życie spętana część mnie teraz jest wolna.

Nie potrafię jej bronić, więc zamykam usta i pozwalam Susanne odejść.

– Chodź, mamó. Zostałyśmy same.

*

Po wprowadzeniu jej do domu dzwonię do szkoły, prosząc o połączenie z dyrektorką.

Głos Moiry jak zwykle jest ostry, ale wychwytyję w nim odrobinę współczucia, gdy mówi wolniej niż zazwyczaj.

– Wszystko w porządku, Sophie?

– Czy propozycja wolnego nadal jest aktualna?

– Oczywiście – odpowiada.

– Wezmę je. I chciałabym zacząć od dziś.

Opowiadam o opiekunce, wybuchu mamy i tym, że muszę zostać przez cały dzień w domu. Dyrektorka jest spokojna, cierpliwa, wyrozumiała, czego nigdy bym się po niej nie spodziewała. Kiedy się rozłączam, wiem, że powinnam odczuwać ulgę, ale tak nie jest. Prócz smutku, czuję się oszukana, jakby ktoś odebrał mi prezent. Przez całe życie czułam się nieswojo we własnej skórze, jakbym nie była naprawdę tym, kim mówię, że jestem. Właśnie dlatego ludzie mnie unikają, a większość moich przyjacieli i związków się rozpadła. Chyba Jamie zobaczył to we mnie, ale jemu się to podobało. To, jaka byłam niepewna siebie.

Jednak przebywanie w szkole dało mi tożsamość. Byłam lubianą i szanowaną przez uczniów panną Howland. Jestem dobrą nauczycielką, pewną w swoim fachu, ale nie wredną. A teraz mi to odebrano – przynajmniej na razie – zostawiając mnie jak zagubioną nastolatkę, która nie ma w życiu celu.

– Posikałam się.

Odwracam się i widzę, że stojąca w kuchni mama trzyma się za krocze. W powietrzu czuć ostrą woń moczu. Bose stopy mamy znajdują się pośrodku kałuży, jej skóra jest mokra.

– To nic. To tylko mały wypadek. Chodź, umyjemy cię.

Pomagam jej na schodach. Jest słabsza, łyzy wiszą na końcu jej nosa. Żal mi jej, ale przede wszystkim zastanawiam się, czy ta zgarbiona, mokra od moczu kobieta może być tą samą osobą, która mnie prześladowa i doprowadza do szału. Kilka tygodni temu wypila wybielacz. Zapomina, jak mam na imię, nie pamięta imion opiekunek. Sika pod siebie, potrzebuje pomocy w kąpieli. Jak miałyby pociąć moje ubrania i włamać się na moją pocztę?

Zwijam zabrudzone rzeczy, wkładam je bezpośrednio do pralki, gdy mama siedzi już w wannie. Sprzątam urynę z podłogi, dezynfekuję wszystko, czego mama dotykała. Następnie pomagam jej wyjść z kąpieli,

wycieram ją i ubieram w koszulę nocną. Przez cały czas nazywa mnie swoją mamusią.

To będą jedyne chwile, gdy usłyszę to słowo. Wypowiadane przez moją własną matkę. Mimo to, nawet w najczarniejszych momentach, bardzo bym chciała, by nazwała mnie tak małą dziewczynką.

Kiedy mama leży już w łóżku, wracam na dół, włączam wodę w zlewie i płaczę, aż bolą mnie oczy.

Nie chcę już cierpieć. Najbardziej na świecie chcę poznać mroczną tajemnicę mojej przeszłości – i pragnę czuć się cała. Ponieważ nigdy się tak nie czułam. Zawsze wydawało mi się, że brakuje mi części własnej osoby.

Sprzątam po śniadaniu, niosę mamie szklanek wody.

Siedzi wyprostowana na łóżku. Choć raz na jej twarzy gości promienny uśmiech. Stawiam szklanek na stoliku nocnym, obserwuję, jak mama otwiera górną szufladę i bierze fiolkę z lekami.

– Patrz, Sophie, biorę je wszystkie, jak mi poleciłaś – mówi.

Przyglądam się, gdy wyjmuję jedną tabletkę, wkłada sobie do ust i popija wodą. Następnie bierze kolejną, ponownie otwiera usta i połyka.

Wyrywam się z transu.

– Nie! Mamo, nie. Nie połykaj. Nigdy nie mówiłam, byś wzięła je na raz. Nigdy więcej tego nie rób.

Drżącymi palcami odbieram jej buteleczkę i wychodzę z pokoju.

Rozdział 16

Mój śmiech wraca echem. Za każdym razem, gdy się śmieję, słyszę dźwięk z powrotem, jakby ptak naśladował ludzki głos. Śmiech sprawia, że czuję się lepiej. To jest dziecięcy chichot. Jestem mała.

W mojej dłoni znajduje się inna dłoń, ciągnie mnie do przodu.

– Chodź, Cieniu.

Przyspieszam. Biegnę. Jest koniec lata, myślę o lodach – takich z posypką i polewą truskawkową – ale jestem też smutna. Czuję się zapomniana.

Niebo ciemnieje, biegnę szybciej. Dłoń zniknęła, w piersi czuję tępy ból. Wołam, ale nie ma echa. Spoglądam na swoje ciało, spodziewając się, że w jakiś sposób podzieli się na pół. Rozerwie.

Nagle wydaje mi się, że ktoś mnie goni, więc oglądam się za siebie i widzę sylwetkę mężczyzny. Pada na niego poświata księżyca, uwydatniając jego masę. Zmuszam nogi, by niosły mnie szybciej. Potykam się o brzeg krawężnika. Choć jest ciemno, wiem, dokąd zmierzam.

Zaciskam dłonie w pięści. Unoszę prawą. Poświata księżyca pada na trzymane kosmyki włosów. Ból w piersi wzrasta, aż po policzkach płyną mi łzy.

– Mamusiu? – rzucam w powietrze.

Mężczyzna mnie ściga. Wiem, że mnie złapie.

Upadając, wpatruję się we włosy w mojej dłoni, wiedząc, że już nigdy nie będę taka sama, ponieważ straciłam to, kim jestem.

*

Sapię, budząc się w poplątanej pościeli. Unoszę ręce do twarzy i przekonuję się, że moja skóra jest gorąca i mokra od potu. Niewielki kosmyk opada mi na oczy, przez co uświadamiam sobie, że znów wyrwałam sobie włosy we śnie. Dotykając potylicy, znajduję tylko potwierdzenie tego. Na palcach pozostaje niewielka smużka krwi.

Zegar wskazuje kwadrans po szóstej. Nie muszę wstawać dziś do pracy, ale powinnam przygotować mamie śniadanie, a odkąd narzuciłam tę wczesnoporanną rutynę, wkrótce będzie oczekiwała posiłku. Najpierw jednak czekam, aż uspokoi się moje serce, aż ciemna postać z mojego snu zniknie, gdy zamknę oczy.

Każdy obraz ze snu przywołuje wspomnienie. Znów mam *déjà vu*. Elementy układanki są wyraźne, ale nie potrafię dopasować ich do siebie, aby uzyskać odpowiedzi na swoje pytania.

Chodź, Cieniu.

Czy to ktoś powiedział do mnie? Sposób, w jaki zapamiętałam istnienie cienia, sprawił, że wydawało mi się, że to ktoś lub coś, a nie ja. Nic nie ma sensu. Może to ciągnięcie za włosy to jakiś nawyk, tik nerwowy z dzieciństwa? Tajemnica, którą skrywa przede mną mama – czy może chodzić o to, że za młodu miałam jakieś zaburzenia? Że jestem psychicznie chora?

Thumię dreszcz na tę myśl. Wypieram ją z umysłu. Nie wyjaśnia to ścigającego mnie mężczyzny, znajomych ulic czy chichotu dziewczynki, który słyszałam. Przez mój umysł przewijają się wszystkie te obrazy, rozpadają się i znikają. Mam ochotę biec do salonu i zapisać to w notatniku,

który trzymam przy telefonie, ale obawiam się, że zapomnę o wszystkim, jeśli się ruszę. Wpatruję się więc we włosy w dłoni, aż zapamiętuję, ile tylko mogę ze wspomnienia. Następnie przerzucam nogi za łóżko i wstaję. Wychodząc z pokoju, rzucam włosy na toaletkę.

Zaglądam do sypialni mamy. Jestem zaskoczona, że wciąż śpi. Stwierdzam, że nie ma sensu jej budzić, skoro i tak zaraz nie przyjdzie opiekunka. Nie muszę iść do pracy, co oznacza, że mogę stać pod prysznicem, ile tylko chcę. Wydaje mi się, że to jedna z wielu zalet urlopu.

Wspaniałe ciepło wody przywraca do życia moje ciało, ale gdy myję włosy szamponem, piecze mnie skóra na potylicy. Jeśli te koszmary będą się powtarzać, zostanę łysa. Być może powinnam wspomnieć o tym lekarzowi, skoro i tak muszę do niego iść, by wypisał mi zwolnienie z pracy z powodu stresu. Dzięki koleżankom ze szkoły domyślałam się, że nie będzie trudno je pozyskać. Jeśli one uważają, że jestem zestresowana, tak pewnie jest.

Nie mogę dopuścić do siebie goryczy. Czuję znajomy ucisk w brzuchu, gdy smucę się z powodu utraconej pracy. Wrócę do niej? Przyjmą mnie z powrotem?

Wracam myślami do koszmaru. Czuję w piersi ten sam tępy ból. Pamiętam, jak patrzyłam na swoje ciało, spodziewając się, że pęknie na pół. W głębi duszy wiem, że to ważne – tak samo jak świadomość własnego zniszczenia. Musi istnieć przyczyna całej tej wewnętrznej udreki, musi to być powiązane z moim dzieciństwem. Dorosłe życie zostało zatrute przez sposób, w jaki mama mnie wychowywała i nie mogę się pozbierać.

Pół godziny później mama nadal śpi, więc się ubieram i suszę włosy. Być może wciąż będę miała chwilę dla siebie, nawet jeśli latem sama będę sprawowała nad nią opiekę. Może wypracujemy więź, naprawimy to, co zostało zepsute między nami, nim choroba na zawsze mi ją odbierze. A może to tylko myślenie życzeniowe.

Spinam włosy z tyłu, aby zasłonić powiększający się łysy placek i idę na dół, by przygotować śniadanie. Kiedy woda gotuje się w czajniku, otwieram laptopa i sprawdzam kamerę w pokoju mamy. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Nic się nie zmieniło. Przewijam odrobinę, obserwuję, jak śpi. Zamykam komputer. Być może wszystko się posypało i mama przestała kombinować. Zaparzam herbatę, myśląc o koszmarze i moich „prawie” wspomnieniach. Zastanawiam się, ile z tego wszystkiego to pamięć.

Byłam pozytywną, optymistyczną osobą, która zawsze widziała tylko jasne strony. Jednak przez ostatnie miesiące straciłam tę pogodę ducha. Utraciłam tak wiele. Gdybym tylko zaczęła od początku, być może odnalazłabym tę brakującą część, której poszukuję przez całe swoje życie.

Na zewnątrz jest piękna pogoda, dom wypełniają ptasie trele. Podchodzę do przeszklonych drzwi w kuchni, aby otworzyć je na ogród, zamierzając wynieść herbatę i śniadanie na stojący na patio stolik.

Nie docieram do niego. Nie otwieram nawet drzwi. Ugina się mój nadgarstek, gorąca herbata oblewa golenie. Filiżanka rozbija się obok stóp na małe kawałeczki. Odczuwam ból nóg, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Z moich ust wydostaje się jedynie cichy jęk.

Na szybie znajduje się wyraźny odcisk dłoni. Ktoś był w moim ogródku. Podszedł do drzwi i zaglądał do środka.

*

Posterunkowi Hollis i Chowdhury pojawiają się o dziewiątej. Do tego czasu rozpraszałam uwagę. Pomagam mamie wstać, ubierając ją i przygotowując jej śniadanie. Informuję ją, że przyjdą do nas mężczyźni i będą zadawać mi pytania, ale że ona nie musi tu wtedy być. Może układać puzzle w salonie. Choć raz nie komplikuje niczego dociekaniem, za co jestem jej wdzięczna.

Policjanci badają odcisk dłoni, robią zdjęcia, sprawdzają ślady butów w ogrodzie.

– Czy cokolwiek zginęło z pani szopy? – pyta posterunkowy Chowdhury.

– Sprawdziłam – odpowiadam – ale nic nie zginęło.

– Włamano się do domu?

– Nie. A przynajmniej tak mi się wydaje. Jest tylko odcisk dłoni. Czy to nie jest wtargnięcie? – pytam.

Hollis kiwa głową.

– Tak, chociaż przeważnie jest to uznawane za naruszenie prawa cywilnego, a nie karnego, ale nie zbagatelizujemy sprawy z powodu innych incydentów, które miały tu miejsce. Jest pani uporczywie nękana, pani Howland.

Wzdycham z ulgą.

– Cieszę się, że panowie nie odpuszczą. Częściowo spodziewałam się, że zostanie to zignorowane.

– Nie, nie. Będzie śledztwo. Wspominała pani, że jest kamera z tyłu domu.

– Tak. Nie obejrzałam jeszcze nagrania. Zapewne zabrzmiało głupio, ale nie chciałam oglądać go sama – przyznaję.

– To całkowicie zrozumiałe. – Hollis się uśmiecha.

Włączam program dołączony do monitoringu i odnajduję nagranie z nocy. Przewijam, aż Hollis mówi, by zatrzymać i odtworzyć ponownie. Ma wprawne oko. Wychwycił ruch, nim ja go zauważyłam.

Wciskam *play*. Znajdujemy się we troje przy laptopie, każdy skupiony na ekranie. Serce obija mi się o żebra, gdy oglądam wczorajszy rozwój wypadków. Kiedy wyświetla się nagranie, jestem świadoma, że krew odpływa mi z twarzy, żółć podchodzi do gardła. Hollis zerka na mnie przelotnie ze zmartwieniem i posyła krzywy uśmiech. Pomaga, ale mdłości

nie przechodzą. Chwytam się oparcia krzesła, desperacko złąkniona dodatkowej siły.

Noc jest ciemna, bezksiężycowa, początkowo kamera nie rejestruje ruchu, ale zaraz, gdy ulicą równoległą do naszego ogrodu przejeżdża samochód, jego światła oświetlają stojącą na końcu trawnika postać. Muszę zakryć usta, by nie krzyknąć na ten widok.

Postać to tylko bryła w kształcie osoby. Nie wiem, czy ten człowiek jest niski, czy może nosi długi, ciemny płaszcz. Jego twarz jest pod kątem, na głowie na pewno ma czapkę. Płaszcz jest duży, ukrywa jego sylwetkę.

Jest widoczna tylko przez chwilę. Samochód odjeżdża, obraz znów staje się ciemny. Nadal wpatruję się w miejsce, w którym stoi ta osoba.

Kiedy zapala się zewnętrzna lampa, wydaję cichy jęk. Nie zapanowałam nad sobą. Posterunkowy Hollis obraca się i pyta, czy dobrze się czuję. Kiwam głową i kontynuuję oglądanie nagrania.

Postać jest teraz w pobliżu kuchni, światło dobrze oświetla intruza. Stoi na szeroko rozstawionych nogach z rękami w rękawiczkach po bokach ciała i pochyloną głową, by nie było widać jego twarzy. Jeśli jeszcze niedawno wydawało mi się, że wszystko można wytłumaczyć wygłupami miejscowych dzieciaków, teraz mam potwierdzenie, że wcale tak nie jest. Za całą sprawą stoi wyrachowana determinacja. Widzę to w postawie tej osoby, oczekiwaniu... Wszystko sugeruje, że ma świadomość obecności kamery i dokładnie wie, co robi.

Kiedy postać podchodzi do drzwi, wszyscy troje zostajemy wyrwani z transu. Zaskakuje nas nagły ruch, aż Chowdhury wydaje krótki, nerwowy śmiech. Intruz bez unoszenia głowy zdejmuje powoli rękawiczkę z lewej dłoni. Moje serce gubi rytm, gdy widzę, jak postać się przysuwa, przystawiając rękę przed kamerę. Pochyla się, przyciska ją do szyby, zasłaniając ją ciałem.

Zaraz ucieka, obróciwszy się i cały czas trzymając zwieszoną głowę. Wzdycham ze słodko-gorzka ulgą.

– Ktokolwiek to był, wiedział o pani monitoringu – mówi Hollis, marszcząc brwi. – Możemy skopiować to nagranie?

– Oczywiście. Myślicie panowie, że znajdziecie coś jeszcze?

– Cóż, nie zdołamy poprawić obrazu. Obawiam się, że nie da się zrobić jak w serialu telewizyjnym – mówi z uśmiechem. – Ale może doszukamy się szczegółów, które zdołają pomóc. Powinniśmy określić wzrost tej osoby.

– Wydawała się mojego wzrostu – odpowiadam.

Kiwa głową.

– Też tak sędzę.

– Peter jest niski – mamroczę.

– Rozmawialiśmy z Peterem Woodsem po incydencie z pani ubraniami. Obawiam się, że niewiele możemy zrobić, prócz ostrzeżenia go, by więcej do pani nie dzwonił – mówi Hollis. – Nie mamy dowodów, że to on dopuścił się wtedy wandalizmu. Być może znajdziemy coś po tym zdarzeniu. Gdyby pani chciała, niekończące się telefony wystarczą do uzyskania zakazu zbliżania.

Chowdhury zapisuje coś i kiwa partnerowi głową.

– Dzwoniła do mnie jego matka, spotkałam się z nią na kawie. Chyba martwiła się, że, jak to się wyraziła, Peter się do mnie przyczepił. Mówiła, że często tak postępuje z kobietami. Upiera się na osobę, z którą się spotyka i później dzwoni i pisze, aż jego wybranka ma go dość.

– Porozmawiamy z nim ponownie – mówi posterunkowy Chowdhury.

– Jeśli jeszcze jakoś będziemy mogli pomóc, panno Howland – mówi posterunkowy Hollis, wychodząc – proszę się nie krępować i do nas zadzwonić. Niech pani spróbuje się nie martwić. Nic nie wskazuje na to, że ta osoba pragnie panią skrzywdzić. Ale proszę być czujną, zamykać na noc okna i drzwi. I przede wszystkim na siebie uważać.

Być może dlatego, że okazuje mi troskę, a może ponieważ jest policjantem i roztacza aurę bezpieczeństwa, czuję lekkie zdenerwowanie, gdy na mnie patrzy i nagle mam ochotę nałożyć szminkę na usta lub poprawić fryzurę. To dziwne, nie doświadczałam czegoś takiego, odkąd spotykałam się z Jamiem.

Dziękuję mężczyznom, zamykam za nimi drzwi, następnie przekręcam klucz w zamku i zakładam łańcuch.

Nalewam wody do szklanki, idę do salonu, by sprawdzić, co robi mama. Siedzi na kanapie, układa puzzle na tacy, którą ma na kolanach. Zamiast wpatrywać się w obrazek, gapi się przez okno na przejeżdżające samochody. Postanawiam zostawić ją w spokoju.

Kiedy wracam do kuchni, otwieram laptopa, sprawdzam nagrania z innych kamer z nocy. Przed przyjazdem policji zerkałam na nagranie z sypialni mamy, ale nie robiłam tego pilnie.

W końcu głód daje o sobie znać, więc siadam przy stole z kanapką i zaczynam oglądać. Mama kładzie się spać tak, jak zapamiętałam. Zasypia niemal natychmiast.

Jest śpiochem, który ledwo się rusza. Oglądam, co jakiś czas przewijam. Niekiedy się obraca, ściska kołdrę. Znów przez dłuższy czas się nie rusza. Kręcę głową. To niedorzeczne. Naprawdę wierzę, że to mama stała w ogrodzie?

Już mam się poddać, gdy znów się obraca i ściska kołdrę. Niemal tak samo jak poprzednio. Przewijam i ponownie oglądam. Znów przeskakuję, ale tylko do ostatniego razu, gdy się obracała. To identyczne. Nagranie jest zapętłone, wyświetla w kółko tę samą godzinę. Przez cienkie zasłony nie przebija się żaden samochodowy reflektor. Nie zmieniają się cienie w pokoju. Cała noc jest sfabrykowana.

A jeśli materiał z sypialni mamy to ściema, oznacza to, że nie mogę ufać innym kamerom.

– Sophie.

Wstaję gwałtownie, aż przechyla się krzesło.

– Co jest, mamó? – głos mi drży, gdy wołam do niej.

– Chodź tu na chwilę – krzyczy.

Zamykam laptopa, idę do salonu. Kiedy staję w tym samym pomieszczeniu, żołądek ściska mi się z nerwów. Musi wiedzieć o kamerach. Wie, że ją podglądam. Nie wiem jak, ale znów mnie przechytrzyła. Jaki będzie jej następny krok?

– Zbliź się, Sophie – poleca.

– O co chodzi, mamó? – Chcę brzmieć na pewną siebie, ale wychodzi inaczej. Piszczę jak przerażona myszka.

– Widzisz? – pyta, wskazując w stronę okna.

Przenoszę wzrok za jej palcem. Na szybie jest smuga. Zapominając o troskach, zatracam się w intrydze. Odwracam się plecami do mamy i podchodzę do okna.

Ma rację. Coś tu jest. To słowo – małe, zapisane palcem.

Napisano: „Cień”.

Rozdział 17

Zacząłam nosić kosmyki swoich włosów w kieszeni, a ilekroć oglądam nagrania z kamer, zakręcam je wokół palców. To kojące.

Nie ufam już monitoringowi. Zamiast tego siedzę przy kuchennym stole, gdy mama w salonie układa puzzle i oglądam przekaz na żywo. Biorę też komputer do łóżka, kładę się na materacu i popijam wino, przyglądając się śpiącej mamie, szukając wzorów, sprawdzając, czy w jakiś sposób nie zastąpiła podglądu nagraniem.

Mama jest całkiem dobra w surfowaniu po internecie, ale czy zdołałaby nagrać, jak śpi, stworzyć pętlę i wrzucić to na komputer? Kilka godzin rozmawiałam z pomocą techniczną monitoringu, który kupiłam, aż od fachowego żargonu zaczęło kręcić mi się w głowie.

Problem z mamą polega na tym, że nie można wykluczyć jej udziału. Kiedy nie zostałam przyjęta na żadne studia, na które aplikowałam, wydawało mi się, że nie jestem wystarczająco dobra. Dopiero dużo później, kiedy wpadłam na panią Vaughan, kobieta wyraziła swoje zdziwienie, że nigdzie mnie nie przyjęto. Mówiła, że byłam dobrą uczennicą, więc nie pojmowała, dlaczego pomimo dobrych stopni, tak słabo się opisałam. Wyciągnęła nawet moje podanie z archiwum. List motywacyjny nie był tym, który napisałam. Był okropny, pełen błędów gramatycznych, literówek

i zawierał długi akapit o tym, że chcę się dostać na uczelnię, by imprezować. Było to już, kiedy ukończyłam studium pedagogiczne i zaczęłam pracę w Eddington. Gdybym wcześniej odkryła zdradę mamy, może zdołałabym ją opuścić i w końcu żyć własnym życiem. Pamiętam wielką kłótnię z Jamiem, gdy wyznałam mu, co mi zrobiła. Nie potrafił uwierzyć, że nie skonfrontowałam się z nią. Ale nie widziałam w tym sensu. Przeszłość była za nami. Nic nie mogło jej zmienić.

Mam świadomość, że źle postąpiłam. Przeszłość zawsze nas dopada, przynajmniej teraz o tym wiem.

Jest jedenasta przed południem, zerkam na otwartą butelkę wina w lodówce, gdy odnoszę mleko po wlaniu go sobie do herbaty. Skoro przez cały czas zajmuję się mamą, zamówiłam dużą dostawę z Tesco, aby zaopatrzyć dom. Robienie zakupów z mamą to istny koszmar. Ostatnim razem zostawiła mnie między lodówkami i ukradła batonik mars. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero w domu. Nie było warto wracać, więc pozwoliłam jej go zjeść.

Zamiast sięgnąć po wino, wyjmuję resztki ciasta czekoladowego, które zaczęłam jeść o północy, i wkładam sobie spory kęs do ust. Zlizuję masę kremową z palców, gdy odzywa się dzwonek przy drzwiach.

– Kto to? – pyta ostro mama.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiadam. Zastanawiam się, czy to nie są przynoszący wieści o intruzie policjanci. Ślad dłoni zmył się z szyby razem z mrozącym krew w żyłach słowem „Cień”.

Policjanci pobrali odciski palców, ale się nie odzywali. Posterunkowy Hollis ostrzegał mnie, że może istnieć niewielka szansa, by intruz znajdował się w ich systemie.

Wciąż mam brudne palce od ciasta, gdy otwieram drzwi i na progu zastaję Petera. Instynktownie chcę trzasnąć drzwiami, ale jest szybszy.

Wkłada w szczelinę swój wielki but. Kładzie też dłoń na skrzydle, popychając je w moją stronę.

– Proszę, Sophie. Chcę jedynie porozmawiać. – Patrzy błagalnie szeroko otwartymi oczami, ale jest w nich też szaleństwo.

Krzywię się na widok jego brudnej skóry i włosów. Pachnie, jakby nie kąpał się od wielu dni.

– Jeśli wejdiesz siłą do mojego domu, zadzwonię na policję. Mamo! Mamo, podaj mi telefon.

– Dobrze. – Cofa się, unosząc ręce, by mnie uspokoić. – Ale wysłuchaj mnie przez kilka sekund. Proszę.

Zakładam łańcuch na drzwi i nachylam się, żebym widziała go w szczelinie.

– Streszczaj się.

Kręci głową, garbiąc się, czym przypomina mi psa ze schroniska.

– Nie rozumiem, jak możesz mi to robić. Wiesz, jak namieszałaś mi w głowie? Zepsułaś mnie! Jak mogłaś mnie tak zwodzić, po czy nie odbierać telefonu? Zrobiłaś to, by mnie zranić? Tak? Chciałaś złamać mi serce? Kocham cię, Sophie. To, co nas łączyło, było wyjątkowe.

– To tylko spotkanie przy kawie, Peter – mówię. – Słuchaj, zadzwonię do twojej mamy, dobrze? Powinnam powiadomić policję, ale nie zrobię tego, jeśli odejdziesz i już nigdy się ze mną nie skontaktujesz.

– Jak możesz być tak okrutna? Po wszystkim... Jak mogłaś się ze mną kochać, po czym tak mnie traktować?

Zbliża się o krok, a ja się cofam.

– Coś ty powiedział? – pytam szeptem.

– Jak mogłaś się ze mną kochać i więcej się do mnie nie odzywać? To była taka piękna noc. Wiem, że tobie też było dobrze.

Widok, zapach, jak i jego słowa – mroczne, przerażające słowa – sprawiają, że żołądek mi się kurczy. Ciasto czekoladowe bliskie jest

spotkania z dywanem. Jak on może wierzyć w coś takiego? Widzę to w jego oczach. Naprawdę sądzi, że uprawialiśmy seks.

– Peter, posłuchaj mnie uważnie. Nigdy, przenigdy nie łączyła nas seksualna relacja. Nie całowaliśmy się. To było tylko spotkanie w kawiarni...

– Wyglądasz inaczej. – Znow się zbliża do drzwi, a ja się krzywię, ukrywając za skrzydłem. – Twoja fryzura, czy coś.

Zajadanie stresu sprawiło, że przytyłam, a dzięki wypitemu alkoholowi mam podpuchnięte oczy. Zapewne to właśnie musi zauważać. Jezu, muszę wyglądać gorzej, niż mi się wydawało.

– Zamykam drzwi i chcę, byś odszedł. Musisz wiedzieć, że nigdy nie łączyły nas seksualne relacje. Chyba coś ci się pomyliło.

Zatrząskuję drzwi, przekręcam rygiel zamka, słuchając, jak po drugiej stronie Peter się ze mną nie zgadza. Spieszę do salonu.

– Z kim się pieprzyłaś? – pyta mama z sardonicznym uśmiechem na twarzy.

– Dlaczego nie przyniosłaś telefonu, gdy prosiłam? Nie widzisz, że to szalenie? Z nikim się nie pieprzyłam. Utknęłam tutaj, by się tobą zajmować.

Mama przybiera nienawistną minę.

– Nie jesteś córką, której chciałam. Nie jesteś właściwa.

Szukając komórki, zatrzymuję się i patrzę na nią. Mruga, z jej oczu znika skupienie. Zaraz przesuwają puzzle na tacy, którą ma na kolanach. Rozglądam się po pokoju, odnajduję telefon na podłokietniku kanapy. Później będę się martwić kolejnym dziwnym wybuchem mamy.

Wracam do kuchni, przeglądam kontakty, aż znajduję mamę Petera. Kamera przed domem pokazuje, że mężczyzna w końcu sobie poszedł. Na samą myśl o nim mam ciarki. Przetykam ślinę, próbując zatrzymać śniadanie w żołądku.

Eileen odbiera promiennym głosem.

– Pani syn posunął się za daleko.

– Kto mówi? – Wciąż brzmi radośnie, jak prezenter porannych wiadomości.

– Sophie Howland. Pani syn przyszedł do mnie i wygadywał same kłamstwa.

– O rety.

– I to poważna sprawa – mówię. – Wymyślił sobie jakiś związek między nami. Nie powiadomiłam jeszcze policji, ale będę musiała to zrobić.

– Proszę, nie...

– To zabrnęło za daleko. I tak muszą porozmawiać z nim o intruzie, który był w moim domu. Wydaje mi się, że to on, a pani musi przestać go chronić.

– Ale on by nikogo nie skrzywdził...

Zaczyna płakać, więc się rozłączam. Drzę, choć nie wiem, czy ze strachu, gniewu czy współczucia. Biorę głęboki wdech i dzwonię do posterunkowego Hollisa.

Policjant słucha cierpliwie, gdy opowiadam o wszystkim, co miało tu miejsce, nawet jeśli im dłużej mówię, tym bardziej szalone się to wydaje. Co, jeśli mężczyzna uważa, że wszystko zmyśliłam? Jeśli wydaje mu się, że przespałam się z Peterem, po czym paskudnie go potraktowałam albo że sama pocięłam swoje ubrania? Przynajmniej nie mogłam podrobić odcisku dłoni na szybie ani postaci zbliżającej się do drzwi. No chyba że założy, iż wymknęłam się jakoś z domu i to jednak ja. Nie, przecież pobrał odciski palców moje i mamy. Może wykluczyć nas z kręgu podejrzanych.

Czuję ulgę, gdy zapewnia, żebym się nie martwiła i że przesłuchają Petera tak szybko, jak będzie to możliwe.

– Panno Howland, choć wierzę, że pani sprawa jest niebywale poważna i nadam jej priorytet, powinna pani wiedzieć, że w tej chwili mamy nawał

roboty. Nie mogę opowiadać o szczegółach, ale powinna pani mieć świadomość, że praca nad pani sprawą może zająć nam kilka dni.

Niewielka nadzieja, na jaką sobie pozwoliłam, ulatuje jak powietrze z przebitego balonu.

– W porządku. Wiem, że robią panowie wszystko, co w waszej mocy.

– Nic nie wskazuje na to, że Peter próbuje panią skrzywdzić – ciągnie. – Proszę nadal zapisywać wszystkie wydarzenia i powiadomić nas, jeśli się skontaktuje oraz pilnować, by drzwi były zamknięte. We właściwym czasie możemy porozmawiać o zakazie zbliżania.

Rozłączam się, nie czując się lepiej, niż gdy wybierałam numer.

*

Zamykam drzwi i okna, ale wydaje mi się, jakbym zamykała się w domu z mamą, by nikogo tu nie wpuszczać. Nieustannie sprawdzam komórkę, czy nie mam jakichś nieodebranych połączeń, ale nic takiego nie znajduję. Nawet Eileen nie oddzwoniła.

Przygotowuję mamie lunch i sprzątam kuchnię, walcząc z natłokiem różnych myśli. W głowie mam słowa Petera i jego obłąkane spojrzenie. I uwagę mamy, że jestem „niewłaściwa”. Co, jeśli coś ze mną nie tak? Co, jeśli wszystko dzieje się tylko w moim umyśle?

Nie mogę jeść, oglądam tylko podgląd z kamer. Niemal mam zawał, gdy kot sąsiadów wskakuje na murek naszego ogrodu. Nie mam siły walić w okno, gdy próbuje załatwić się na naszej grządce.

Mama wraca na kanapę, a ja otwieram butelkę wina. Po pierwszym kieliszku zaglądam do salonu.

– Wszystko w porządku? – Mimowolnie zauważam, że od rana nie zrobiła zbyt wielkiego postępu w układaniu puzzli. Poziom umiejętności rozwiązywania problemów spada z dnia na dzień.

– Tak, Becco – mówi. – Dobrze mi idzie z układanką.

– Sophie.

– Nie, skarbie, Becca. – Uśmiecha się, jakbym była głupia.

Może tej całej Bekki dotyczy coś więcej, niż ujawnia. Rozmawianie z mamą coraz bardziej przypomina walenie głową w ścianę, a nie znalazłam takiego imienia w albumach. Może jednak być inny sposób. Z laptopem w jednej ręce i kieliszkiem wina w drugiej idę do pokoju mamy.

Przestępuję próg z zamiarem powęszczenia, co jest zarówno ekscytujące, jak i przerażające. Kiedy dorastałam, nie miałam wstępu do jej sypialni. Odkąd zachorowała, wchodziłam tu, by się nią opiekować i oczywiście umieściłam tu kamerę, ale nigdy nie przeszukałam jej rzeczy. Zawsze za bardzo się obawiałam, by zrobić coś takiego.

Teraz mama jest o wiele schludniejsza. Rzadko tu odkurzam, ale ona sama utrzymuje porządek. Zawsze składa swoje ubrania, domyka szuflady. Przez kilka tygodni podglądania jej na kamerze, nie zauważyłam niczego dziwnego w jej pokoju. Nie wyciągała niczego spod łóżka, nie zachowywała się podejrzanie. Mam jednak niejasne wspomnienia sprzed kilku miesięcy. Przyszłam do niej, by ją obudzić i zobaczyłam ją siedzącą przy łóżku na skrzyni, wpatrzoną w coś, co zdawało się być zdjęciem. Kiedy mnie zobaczyła, szybko schowała je do kieszeni szlafroka. Nie zapytałam ją o nie, ponieważ nie chciałam jej zawstydząć. Rozumiałam, że to jej prywatna chwila, więc nie śmiałam dociekać. Nie umiałabym porozmawiać z nią od serca.

Idę wprost do skrzyni przy nogach łóżka. To przy niej widziałam ją z fotografią. Od niej zacznę. Kiedy unoszę ostrożnie pokrywę, słyszę cichy zgrzyt. Czuję woń talku i kurzu. Nigdy wcześniej tu nie zaglądałam, więc nie wiem, czego się spodziewać, ale wydawało mi się, że mama trzyma tu pościel i koce. Myliłam się.

To bardziej skrytka. Znajduje się tu kilka zardzewiałych puszek po ciastkach i zamknięte pudełko. Otwieram jedną z puszek, w środku znajduję listy. Z oszołomieniem zauważam, że to niewysłane wiadomości do jej matki, a mojej babci. Wszystkie zawierają datę. Czytam leżący na górze.

20.01.1990

To wszystko Twoja wina. Gdybyś nie była tak okropną matką, gdybyś nie wyrzuciła mnie z domu, nigdy nie musiałabym tego robić. Nigdy nie podjęłabym takiej decyzji. Nienawidzę Cię każdą komórką mojego jestestwa. Jesteś wstrętną, złośliwą jędzą i mam nadzieję, że zgnijesz w piekle razem z tatą.

Miałam wtedy dziesięć lat. Pięć lat po przeprowadzce do Eddington. Pięć lat po tym, gdy mama po raz ostatni rozmawiała z babcią. Zawsze sądziłam, że pożyczyła od niej pieniądze na naszą przeprowadzkę, ale z tego niewysłanego listu wynika, że to mało prawdopodobne. No chyba że mama zdołała ukryć prawdziwe uczucia i poprosiła jednak o kasę. Potrafi manipulować, kiedy tego chce, ale nigdy nie widziałam, by ukrywała swój gniew. Ma na to zbyt porywczy charakter. Gotuje się w niej i Boże dopomóż każdemu, kto wejdzie jej w drogę. Jej temperament żyje własnym życiem.

Drżącymi palcami przerzucam resztę listów. Wszystkie wypełnione są jadem. Niektóre zaadresowane są do babci, inne do mojego ojca. W żadnym nie ma szczegółów tego, co musiała zrobić, ale wszystkie zawierają wspomnienie o „niewybaczalnym wydarzeniu”. To ten górny był najczęściej otwierany. Strony są pogniecione, pożółkłe na krańcach. Ten mama czyta najczęściej. Zamykam puszkę i wkładam ją do skrzyni.

Jestem zaskoczona na widok mojego wełnianego swetra w skrzyni. Dobrze pamiętam, że kilka tygodni temu znalazłam go na strychu. Kiedy mama tam była i go zabrała? Dotyk i zapach sprowadzają wspomnienia. Mama upierała się, że był moim ulubionym, ale ja go nie znosiłam. Pamiętam, że miałam sześć lat, gdy z niego wyrosłam. Wciąż twierdziła, że bardzo go lubiłam, ale drapał i nie podobał mi się jego zapach. Zasmucał mnie. Unoszę materiał do twarzy i wącham.

Skurcz żołądka jest natychmiastowy. Znów czuję ten tępy ból, jakbym opłakiwała życie, jakiego nigdy nie miałam. Pewnie zawsze będę czuła się w ten sposób, gdy wezmę do ręki dziecięce ubranie. Może zawsze będę rozdarta. Jak to możliwe? Dlaczego siła tej emocji jest tak duża jak na doświadczenie, którego nie miałam?

Kiedy słyszę kroki na schodach, władzę przejmuje dziecko we mnie. Chowam wszystko do skrzyni i wychodzę z pokoju mamy, zastając ją na szczycie schodów.

– Co robisz? – pyta.

– Odkurzałam.

Mruży przez chwilę oczy. Myślę, że skomentuje fakt, że nie mam ze sobą odkurzacza.

– Kot znowu jest w naszym ogródku.

– Zignoruj go – mówię.

– Dobra. Ale zdechł.

Walia, czerwiec 2014

Chmury wiszą nisko na niebie jak ciemne, pozbawione powietrza balony. Nasz samochód otaczają długie pola spływające do odległego morza. Jamie sprawdza pogodę w komórce po raz trzeci w ciągu ostatnich pięciu minut.

– Nie powinniśmy wybierać Pembrokeshire w czerwcu – mówi. – O tej porze roku jedyna gwarantowana pogoda jest za granicą.

– Mama nie lata – odpowiadam. – Poza tym, chciałam tu przyjechać. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Wieś jest piękna, nie uważasz?

– Według mnie nie różni się od Yorkshire – wydusza przez zaciśnięte zęby. Wkłada komórkę do kieszeni jeansów i krzyżuje ręce na piersi. – Już powinni tu być. Według reklam, dojeżdżają w godzinę. Leniwe gnojki. Cała wyprawa jest katastrofą. Dlaczego w ogóle się wybraliśmy? I dlaczego pozwoliłaś matce nalać ropy do auta?

Przewracam oczami po raz trzeci czy czwarty w ciągu dziesięciu minut. Moja cierpliwość kończy się wraz z zaostreniem się temperamentu Jamiego.

– Na miłość boską, przestań to wypominać. Byłeś w łazience, a ona zgodziła się zatankować, gdy ja poszłam na drugą stronę po kawę. Myślałam, że wie, co robi. Miała wcześniej auta.

– Dokładnie wiedziała, co robi – mamrocze Jamie.

– Nie bądź śmieszny. Dlaczego chciałaby zepsuć samochód? Kto by chciał utknąć na stacji, czekając na pomoc drogową, gdy ma padać? – Wskazuje na złowrogie chmury.

Kiedy Jamie się zbliża, drobinki śliny wylatujące z jego ust lądują na moim policzku.

– A jak myślisz? Ponieważ nie chciała jechać. Ponieważ mnie nienawidzi i celowo działa mi na nerwy. Ponieważ jest mściwą suką. Do wyboru do koloru.

– Może ciszej? Znajduje się ledwie kilka metrów dalej. – Ocieram policzek i zaciskam kurtkę, próbując nie patrzeć na mamę, która siedzi w ciepłym aucie. – Nie możesz tak mówić o mojej mamie. To nie w porządku. Wiem, że nie jest łatwa w obyciu, ale musicie się dogadać.

Jamie parska pustym śmiechem bez żadnej wesołości.

– Nie jest łatwa w obyciu? Jest nie do zniesienia.

– Musisz spróbować się z nią dogadać.

Nie wiem, czy zimno mi od wiatru wiejącego od morza, czy od lodowatego spojrzenia Jamiego. Mama toczy z nim wojnę, odkąd się poznali. Nakręca go, a on nie ma do niej cierpliwości. Do tej pory przeżyliśmy wspólne posiłki w napiętej, niemal bolesnej atmosferze, które kończyły się wyjściem jednego lub obojga, ciche wieczory spędzane przed telewizorem pełne gorzkich uwag i chwile, gdy ciągle narzekanie jednego na drugie było dla mnie nie do zniesienia.

– Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Próbowałem być miły, nazwała mnie mięczakiem. Postawiłem się jej, byłem agresywny. Znajduje wady we wszystkim, co robię. I, szczerze mówiąc, Sophie, mam dość patrzenia na to, jak za wszystko cię gani. Nie szanuje żadnego z nas i zaczynam myśleć, że nie ma szacunku w ogóle dla nikogo. Lepiej, żebyś się wyprowadziła.

Kiedy nie odpowiadam, Jamie wpatruje się we mnie jasnoniebieskimi oczami. Otwieram usta, ale nic z nich nie wychodzi.

Jamie się garbi.

– Byłabyś ze mną szczęśliwsza. Moglibyśmy razem zamieszkać, założyć rodzinę. Wydawało mi się, że tego właśnie chcesz.

– Tak, ale...

– Ale co?

– Nie mogę jej zostawić.

– Sophie, ale taka jest kolej rzeczy. Dzieci dorastają i żyją na własną rękę. Wciąż jesteś dzieckiem. A przynajmniej tak się zachowujesz. To żalosne.

Wraz z jego słowami wiatr uderza mnie w twarz. Zaczyna padać deszcz, ale żadne z nas się nie rusza. Mama siedzi w samochodzie, opierając głowę o szybę. Drzemie.

– Wiesz, że ze mną żyłoby ci się lepiej – ciągnie Jamie. Jego skóra lśni od deszczu. Blond włosy przyklejają mu się do czoła. Wygląda starzej. Nigdy

wcześniej tego nie zauważyłam. Jest kilka lat ode mnie starszy, ale ma chłopięcą twarz. Po raz pierwszy patrzę na niego i widzę jego prawdziwy wiek.

– Mogę dać ci to, czego pragniesz, ale nie zrobię tego z nią w naszym życiu. Nie zdołam wychowywać przy niej dzieci.

– Co?

– Słyszałaś. Jest toksyczna. Nie pozwolę, by miała wpływ na moje dzieci.

– Ale...

– Czas na decyzję, Sophie. Nie możesz żyć szczęśliwie u boku tej kobiety. Ona albo ja.

– Nie wierzę. Nie wierzę, że tak mówisz.

Deszcz służy mi po szyi. Odbija się od maski auta, rozpryskuje na drodze. Nie wierzę, że Jamie stawia mnie w takiej sytuacji, nie wierzę, że mama mogłaby sabotować nasze wakacje, by nas wkurzyć. Jestem głupia? Wkładam głowę w piasek, mając nadzieję, że wszystko będzie dobrze? Czy jestem w tej chwili najbardziej samotną kobietą na świecie?

Przyjeżdża pomoc drogowa.

Rozdział 18

Drzwi od kuchni są szeroko otwarte, gdy schodzę pospiesznie na dół. Mama była na zewnątrz. Dlaczego nie słyszałam, jak wyszła? W jaki sposób znalazła klucz, który ukryłam?

Wskazuje na kota, nie żeby musiała. Z trudem patrzę na poskręcane zwierzaka. Dech więźnie mi w gardle. Każę jej wracać do domu, następnie zamykam drzwi.

– Jak długo byłaś na zewnątrz? – pytam.

– Kilka minut.

– Jak otworzyłaś drzwi?

– Kluczem, a jak inaczej? – Odwraca się i szepcze: Pieprzona kretyńka.

Chcę zapytać, jak go znalazła, ale zmieniam zdanie. Muszę zadzwonić do posterunkowego Hollisa.

Łączę się z jego pocztą głosową, zostawiam wiadomość. Kiedy się rozłączam, zatrzymuję palec nad pierwszą cyfrą numeru alarmowego, ale nie mogę zadzwonić po służby, by zajęły się kotem. Bez policjantów – którzy wiedzą, co się tu dzieje – nie czuję się pewna, co będzie dalej. Przez szybę w kuchennych drzwiach robię zwierzakowi kilka zdjęć. Kolejny złowrogi wpis do mojego rejestru.

Obawiam się następnego połączenia. Numer mam w kontaktach po fatalnym wyjeździe na tydzień z mamą i Jamiem do Walii. Poprosiłam sąsiadkę, panią Hamilton, aby podlewała nasz ogródek. Okazało się jednak, że nie musiałam jej niepokoić. Po dwóch dniach nieustannych kłótni pomiędzy mamą i Jamiem daliśmy sobie spokój z wakacjami.

Odnajduję numer i wstrzymuję oddech. Kiedy muszę wytłumaczyć, co się stało, brak mi słów. Zamiast tego tchórzę i mówię, że w naszym ogrodzie leży kot, chyba coś z nim nie tak i że przyszedłbym do sąsiadki, ale mamy z mamą gripę żołądkową i nie chcę jej zarazić. Może przyjsć po zwierzaka. Słyszę mamę w salonie, więc idę tam, zamykając za sobą drzwi do kuchni, bym nie musiała oglądać reakcji pani Hamilton na kota.

Mam ściśnięte gardło, ręce mi się trzęsą. Chciałabym mieć odwagę, by zabrać ze sobą butelkę wina. Na szczęście wzięłam laptopa. Otwieram go i gorączkowo przeszukuję nagrania z kamer.

Pusto.

Jak to możliwe?

– Zawsze gapisz się w ten komputer – wytyka mama. – Znalazłaś sobie następnego faceta, co?

– Zamilcz – warczę.

Zgrzyta głośno zębami.

– Ucieszysz się, gdy umrę, prawda?

– Zamilcz już – powtarzam. – Mam cię dosyć.

– Nie będę tu siedzieć i słuchać czegoś takiego. – Wstaje i idzie do drzwi prowadzących do kuchni.

– Dobra. Idź na górę do siebie, ale nie wychodź na zewnątrz. Gdzie masz klucze?

– Co? – Jak na jakiś znak jej twarz wiotczeje.

Jeśli gra, jest w tym cholernie dobra.

– Daj mi swoje klucze.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Odkładam laptopa, podchodzę do niej. W mojej postawie musi być widoczna determinacja, bo po raz pierwszy w życiu mama wygląda, jakby się mnie obawiała. Cofa się pod ścianę i wyciąga rękę.

– Nie zrobię ci krzywdy – mówię. – Chcę jedynie twoje klucze. – Wkładam rękę do kieszeni jej spodni i je wyciągam. To zapasowy komplet, który ukryłam w szufladzie kuchennego stołu. Mama musiała je stamtąd wziąć. – Nic ci nie umknie, prawda? Jak bardzo jesteś chora, mamo? Ile w tym gry? Robisz mi na złość? Próbujesz zrobić ze mnie wariatkę, jaką sama jesteś?

Otrzymaany policzek niemal mnie wywraca. Twarz pali od jej dłoni. Do oczu napływają łzy. Pochylona i cierpiąca wpatruję się w jej ostrą, bezlitosną twarz, gdy piorunuje mnie wzrokiem.

– Trochę szacunku dla matki – mówi, po czym wychodzi z pokoju.

*

Stoję w salonie, obejmując bolący policzek. Zastanawiam się, jak zapamiętam ostatnie tygodnie. Czy będę myślała o matce wariatce? O moim prześladowcy? A może o własnym szaleństwie? Ponieważ zaczynam wierzyć, że połowę tych wszystkich rzeczy sama sobie zmyśliłam. Co, jeśli przespałam się z Peterem, ale tego nie pamiętam?

Co, jeśli sama to na siebie ściągnęłam? Przecież to mnie wysłano na wolne ze szkoły, ja zainstalowałam ten głupi monitoring, który nie ukoił mojego umysłu, za to wywołał paranoiczną obsesję. Nie wiem nawet, w jaki sposób zginął kot pani Hamilton. Mógł paść na jakiś atak, guz czy coś.

I mogła go zabić mama, a nawet Peter.

Zgarniam leżącą na ławie komórkę, chcąc wykonać jeszcze jeden telefon.

Niemal porzucam pomysł, ale ostatecznie wzmacniam swoje postanowienie. Nie wiem, czy cokolwiek osiągnę, ale muszę coś zrobić i może poczuje się też odrobinę lepiej.

– Halo?

– Pani syn jest chory.

– Sophie?

– W ogrodzie znalazłam martwego kota.

Słyszę oddech i ciszę.

– Nie zrobiłby czegoś takiego. Nie jest taki.

– Czas wyjąć głowę z piasku i się obudzić – mówię.

Jej głos się wyostrza.

– Widziałaś, by zabił kota?

– Nie, ale...

– Masz jakiś inny dowód?

– Nie...

– Przykro mi z powodu tego, co przechodzisz, ale – szczerze mówiąc – jesteś nieco rozchwiana. Uprawiałaś seks z moim synem, po czym nie odbierałaś od niego telefonu. – Próbuję jej przerwać, ale nie dopuszcza mnie do głosu. – Jesteś dziwką, masz, na co zasłużyłaś. Zostaw mnie w spokoju. Och, i Peter jest wegetarianinem. Nigdy nie skrzywdziłby zwierzęcia.

Kiedy się rozłącza, zdaję sobie sprawę, że się śmieję. Wszystko to stało się zbyt niedorzeczne.

Kiedy wyglądam przez okno, widzę, że kota już nie ma. Wyjmuję świeżą butelkę wina z lodówki i idę z nią do salonu. Zastanawiam się, czy mama czyta swoje złośliwe listy na górze. Nalewam spory kieliszek wina i biorę tabletki od bólu głowy.

Zdołam to przerwać. Wiem, że mi się uda. Jednak oznacza to zrobienie jedynej rzeczy, na jaką nie mam siły. Na samą myśl jest mi niedobrze.

Muszę postawić się matce. Muszę zażądać, aby powiedziała mi, co się tu, do diabła, dzieje. Muszę zapomnieć o Peterze. Stanowi komplikację w moim życiu, ale nie jest fundamentem moich problemów. Tylko się łudzę, że to wszystko przez niego. Ale nie, prawdziwym problemem jest to, co zrobiła przed laty mama, aby opuścić Londyn. Skąd zdobyła pieniądze, by kupić tutaj dom?

Dopijam wino w kieliszku i zaraz go uzupełniam. Kiedy włączam program monitoringu, obraz z kamer wciąż jest czarny. Przez to, co się dziś stało, zapomniałam zadzwonić na infolinię, aby powiedzieć, że ten niebywale drogi system jest gównem wart. Podpita, zastanawiam się, czy zdołam odzyskać pieniądze, po czym śmieję się z tego, że w mojej głowie zupełnie przyziemne myśli mieszają się z tą, kim jest mój prześladowca i dlaczego matka doprowadza mnie do szału?

Moje ciało rozluźnia się od alkoholu i środków przeciwbólowych. Dopijam drugi kieliszek wina, kładę się na kanapie, aby przez chwilę odpocząć, próbując stłumić niepokojące myśli. Rozpraszają się, gdy dopada mnie sen.

Raz, dwa, trzy, teraz ty... – słyszę, gdy odpływam. Obrzydliwie słodki, wysoki głosik. Miesza mi się w głowie. To ja wypowiedziałam te słowa do wyimaginowanej przyjaciółki. Mimo to, we mgle chaotycznych myśli, wydaje się, jakby zostały wypowiedziane do mnie.

Jestem niewłaściwa. Mama sama tak powiedziała. Mój cień to wymyślona koleżanka.

Chodź, Cieniu.

We śnie biegnę tą samą ulicą co w koszmarze, gdy goni mnie mężczyzna. Otulam się kurtką, czując chłód w powietrzu. Zbliżająca się jesień zabarwiła liście wysokich drzew rosnących wzdłuż chodnika na złoto. Jestem sama. Mam niejasne wrażenie, że nie powinnam, że byłam z kimś,

ale został mi zabrany. Wciąż czuję truskawkowego lizaka tego kogoś, ręka mrowi, bo ktoś ją mocno ścisnął.

Słońce zachodzi powoli, barwiąc niebo ciemnym atramentem. Po twarzy płyną mi łzy, żołądek ścisną strach. W głowie pojawiają się myśli.

Jak powiem jej o złym człowieku?

Nie zrozumie. Obwini mnie.

To moja wina.

Zwalniam chód, nagle nie chcąc wracać do domu. Po raz pierwszy rozglądam się wokół i uświadamiam sobie, że nie jestem tam, gdzie się spodziewałam. Czuję ucisk w piersi, gdy pojmuję, że minęłam ulicę prowadzącą do domu. Biegłam tak długo, że znalazłam się w innej dzielnicy.

Ktoś idzie z naprzeciwka. Kobieta pcha wózek.

Pochyla się do mnie.

– Zgubiłaś się?

Kiwam głową.

Chwyta mnie za ramiona i potrząsa mną. Potrząsa, potrząsa, potrząsa...

Jej usta wykrzywają się w grymasie.

– Musisz się obudzić. Obudź się i pamiętaj.

Kiedy siadam na kanapie, nie mogę oddychać. Połykam wielkie hausty powietrza, zdziwiona tym, jakie jest zimne. Zaskakuje mnie również głośnie wycie domowego alarmu. Moje serce przyspiesza, objając się gwałtownie o żebra. Łup, łup, łup. Przeczesuję palcami wilgotne włosy, i próbując zapanować nad oddechem, jęczę z bólu i przerażenia, jakie pozostawił sen. Łup, łup...

To nie tylko moje serce. Podrywam się z kanapy, wywracając kieliszek z częściowo wypitym winem. Drzwi frontowe są szeroko otwarte. Wyje nasz alarm.

– Mamo?! – krzyczę w kierunku schodów.

Nie dostaję odpowiedzi. Spieszę do jej sypialni i widzę, że łóżko jest puste, a jej nigdzie nie ma.

Rozdział 19

Nie wiem, jak długo spałam, ale kiedy wybiegam z domu, jest ciemno. Lampa z czujką ruchu musi być zepsuta, tak samo jak kamery. Jest tak ciemno, że potykam się, zmierzając do drogi. W końcu, kiedy mijam żywopeł przy chodniku, oświetla mnie latarnia.

Nie do końca trzeźwa i dopiero obudzona, biegnę niezdarnie drogą, nawołując mamę. Rozwiane włosy zasłaniają mi twarz. Wiatr zawiewa mi pasma na oczy. Zwalniam na chwilę, próbując je odsunąć.

Powietrze wokół mnie się zmienia. Początkowo wydaje się to zmianą atmosfery, jakby przekształceniu uległy atomy powietrza. Zaraz wyczuwam zapach. Perfumy. Pieprzowe, ostre, ale bez wątpienia perfumy. Sapię. Ktoś obok mnie szepcze. Spanikowana się odwracam. Zamieram na widok ciemnej postaci, która mnie mija. Wpatruję się w nią z otwartymi ustami, ale rozmywa się w mroku jak wytwór mojej wyobraźni. Wiatr unosi mi włosy, gdy stoję nieruchomo na środku ulicy, poszukując wzrokiem tajemniczej postaci.

– Mamo! – wołam.

Szpik moich kości skuwa lód. Drzę, wpatrując się w ulicę, a widzę jedynie tę ze snu, na której drzewa zmieniają liście na złote i która pachnie truskawkowym lizakiem. Znów jestem małym, przerażonym dzieckiem.

Chciałam wrócić do mamy, ale obawiałam się powiedzieć jej o tym, co się stało.

I wtedy to do mnie dociera. Sen nie jest koszmarem – to rzeczywistość. To wspomnienie.

Dawno temu w Londynie biegłam ulicą z drzewami o złotych liściach, obawiając się, że ktoś mnie ściga. Bałam się również wrócić do domu, bo wiedziałam, że mama będzie zła. Cierpiałam, ale nie sędzę, bym była ranna. Czułam ból raczej w środku, jakby w brzuchu. To ten sam ból, jaki czułam, gdy wyjęłam sweter ze skrzyni mamy. Ten sam, który towarzyszy mi, ilekroć obudzę się z tamtego snu.

Chciałabym wiedzieć, dlaczego biegłam ulicą i dlaczego mnie bolało.

– Sophie?

Z zamyślenia wyrywa mnie głos. Spieszę na drugą stronę ulicy pod numer siedemdziesiąt sześć, do domu, w którym mieszka starsza kobieta. Stoi przed otwartymi drzwiami, oświetlona przez lampę z wewnątrz.

– Tu jest, Sophie. Właśnie po ciebie szłam.

Wzdycham głęboko i biegnę do drzwi.

– Och, dziękuję. I przepraszam. Musiała znaleźć klucze i wyjść. – Szukam w myślach imienia staruszki. Agatha? Nie, Agnes.

– Jest w kuchni, dałam jej wody. Wejdz.

Agnes jest malutka, a wielki szlafrok jeszcze bardziej zmniejsza jej sylwetkę. Pomimo osiemdziesiątki porusza się z łatwością, gdy wprowadza mnie do swojego domu.

– Maureen, przyszła twoja córka.

Mama siedzi przy kuchennym stole, ignorując ratlerka Agnes, który ujada przy jej kostkach. Nie zauważa mnie, gdy staję na progu.

Agnes odwraca się do mnie.

– Napijesz się herbaty?

– Nie mogę. Jest późno i tak panią obudziłyśmy. Bardzo przepraszam za całe zamieszanie.

– Sophie, złotko, mam osiemdziesiąt dwa lata. I tak nie sypiam ostatnio za wiele. Przeważnie budzę się w nocy i nie mogę zasnąć do rana. – Śmieje się. – Wszystko z tobą w porządku? Nie chcę wyjść na wścibską sąsiadkę, ale ostatnio nie wyglądasz za dobrze, nie widziałam też tej młodej opiekunki.

– Dziękuję za troskę. – Odchrząkuję, mając nadzieję, że nie usłyszy drżenia w moim głosie. – Wszystko dobrze, naprawdę. Ostatnio było ciężiej. Mama nie była sobą. Powinnam zaprowadzić ją do domu i położyć. Jeszcze raz dziękuję, że się pani nią zajęła. Chodź, mamó. Czas wracać do siebie.

Ale mama zaciska usta i cmoka.

– Zawsze byłaś niewłaściwa, Becco. Dlaczego nie mogłaś być bardziej jak Sophie?

– Jestem Sophie, mamó. – Uśmiecham się do Agnes, próbując zmniejszyć napięcie. Odwraca wzrok, próbując dać nam czas, ale nim to robi, w jej oczach dostrzegam współczucie.

– Nie jesteś Sophie – mówi mama.

Tracąc cierpliwość, chwytam mamę za rękę, bardziej gwałtownie niż zamierałam i podciągam ją z krzesła. Bez słowa wyprowadzam ją z domu Agnes i kieruję do naszego.

Drzwi wciąż są otwarte, echo mrocznej postaci zdaje się wypełniać cały budynek. Zamykam dokładnie za sobą drzwi. Wydaje mi się, że w panującej ciszy obie odczuwamy, że esencja domu zmieniła się nieodwracalnie. W głębi duszy wiem, że kiedy sobie przypomnę, sprawy nie wrócą do takich, jakimi były. Patrzymy na siebie i na cichy dom. To jest to.

Londyn, listopad 1985

To nie jest nasz ogród. Tu jest zimniej. Trawa pod moimi stopami jest miękka i gąbczasta. Czekam na powrót mamy. Jest w tym dziwnym domu już dłuższy czas.

Cieszę się, że mój cień postanowił się pojawić. Lubię, gdy jest przy mnie. Czuję się lepiej i nie boli już tak, jak przedtem. Nie podoba mi się jedynie, że nigdy nie odpowiada. Pragnę tego najbardziej na świecie, ale nie chce mówić. *Raz, dwa, trzy, teraz ty.*

Cisza.

Cóż, chyba powinnam zrobić to sama.

– Wyzywam cię, byś trzymała ślimaka przez trzy sekundy. Okej, Sophie, start. – Biorę tłuste, obślizgłe ciało i kładę sobie na dłoni. – *Raz, dwa, trzy, teraz ty.* – Podaję ślimaka cieniowi, ale nie wystawia ręki. – Będę więc odważna za nas obie. *Raz, dwa, trzy,* to już sześć. – Rzucam ślimaka na trawę i otrzepuję dłoń. – Faj!

Słyszę za sobą zgrzyt otwieranych drzwi.

– Mamusiu! – wołam. – Bawię się w wyzwania z cieniem, jak kiedyś z...

– Przestań. – Prowadzi mnie w sposób, jakiego nie lubię. – Nie ma żadnego cienia. Przestań tak robić. – Jej twarz jest czerwona i pełna złości, gdy pochyla się ku mnie. Odsuwam się, pragnąc być teraz ślimakiem. Chce mi się płakać, ale tego nie robię. Przez to tylko bardziej by krzyczała.

– Wszystko uporządkowane – mówi. – Wyjeżdżamy.

– Do domu? Zimno mi. Lubię ślimaki i cień, ale nie lubię zimna.

– Z domu. Zamieszkamy gdzie indziej. – Chwyta mnie za rękę i ciągnie do bramy.

– Będzie tam cieplej?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Jak poczekasz, to się przekonasz.

– Czy Becca pojedzie z nami?

Mama się zatrzymuje. Blednie, mocniej zaciska palce wokół mojej ręki.

– Becca nie żyje.

Nie lubię, gdy tak mówi. Chce mi się przez to płakać.

– Nigdy więcej nie mów o Becce. – Patrzy tak złowrogo, że obawiam się jej bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie chcę przestawać mówić o Becce. Ale może, jeśli to zrobię, mama znów będzie mnie lubić.

Rozdział 20

Po raz pierwszy od dawna przypominam sobie coś z tak odległej przeszłości. Wpada do mojej głowy, gdy podgrzewam mleko na kuchence. Patrzę na mamę, która siedzi cicho przy stole. Znowu ma przed sobą puzzle. Przeniosłam je z kanapy, by miała więcej powierzchni na blacie, ale przez kilka ostatnich dni nie poczyniła postępów. Jej spojrzenie nie jest skoncentrowane, gdy trzyma fragment układanki w palcach.

Zawsze będzie matką, którą widzę we wspomnieniach. Zawsze będzie wywoływała wyrzuty sumienia i strach. Nie wymażę krzyków, manipulacji i znęcania się psychicznego, które teraz rozpoznaję, choć za sprawą choroby powoli zmienia się w dziecko i już nie wiem, co gorsze.

– Jesteś głodna? – pytam.

Nie odpowiada. Nalewam mleka do kubka i wyjmuję z szafki paczkę czekoladowych herbatników. Stawiam obie rzeczy na stole i siadam naprzeciwko niej.

– Podgrzałam ci mleko, mamó. Daj mu przestygnąć, dobrze?

Kiwa głową, ale nie jestem pewna, czy zarejestrowała moje słowa.

Uderzam dłonią w stół.

– Robisz to, by doprowadzić mnie do szału? – rzucam. – Czy to ty? Czy to gra? To ty wysłałaś tamtą wiadomość do Erin? Pocięłaś moje ubrania,

celowo wypiął wybielacz?

Znów się we mnie wpatruje. Do jej oczu powoli wraca skupienie. Zmienia się wyraz jej twarzy z wystraszonego na zdezorientowany, a następnie pojawia się lekka niechęć. Poznaje, że wyszła z mgły Alzheimera.

– Kim jest Becca, mamó? – pytam.

– Nie wiem. – Zaciska usta, krzyżuje ręce na piersi.

– Nazwałaś mnie Beccą już trzy- czy czterokrotnie. Nie możesz wciąż udawać, że nie wiesz, kim ona jest. Jest kimś z twojej przeszłości, prawda?

– Becca nie żyje. – Odwraca wzrok wciąż z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Okej, to postępowanie. Ale dlaczego wciąż nazywasz mnie Beccą? Wiesz, jak mam na imię. Jestem twoją córką. Jestem Sophie.

– Sophie nie żyje.

Jęczę z frustracji.

– Nie, wcale nie. Jestem tu. Jestem Sophie! Spójrz na mnie, mamó. Powiedz, w co sobie pogrywasz. Czy robisz to wszystko, by mnie ukarać? Czy nie żyłam według niedorzecznych standardów, które mi wyznaczyłaś? Czy nie przepędziłaś wszystkich chłopaków, którzy pojawili się w moim nędznym żywocie? Jestem za brzydka, by być twoją córką?

– Przestań! Przestań wygadywać takie rzeczy!

– Więc powiedz mi, kim jest Becca!

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu do oczu mamy napływają łzy. Widziałam już jak płakała, ale zazwyczaj działo się tak w trakcie wzbudzenia we mnie poczucia winy, kiedy twierdziła, że chciałabym, żeby umarła lub że pragnę ją opuścić. Nigdy nie widziałam, by tak płakała – cicho, niechętnie – jakby starała się nie otwierać jakiegokolwiek swojej części, którą zamknęła wiele lat temu.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Nie wyzna, a przynajmniej nie w ten sposób. Wstaję od kuchennego stołu, zostawiając ją nad niedokończonymi puzzlami i idę do jej pokoju. Otwieram skrzynię przy nogach łóżka i zaczynam szukać.

– Co robisz? To osobiste. To są moje rzeczy.

Mama poszła za mną. Kiedy widzi, że grzebię w jej rzeczach, spieszy, by mnie powstrzymać. Drapie mnie po rękach, próbując odsunąć od skrzyni. Odpycham ją na bok i wydaję listy, stare dokumenty, puszki po ciastkach. Otwieram pojemniki, wysypuję ich zawartość na dywan, a mama próbuje je zbierać. Klęka na podłodze naprzeciwko mnie, warcząc i krzycząc. Jednak jestem teraz inną kobietą. Potrzebuję odpowiedzi, muszę zrozumieć, co się z nią dzieje – co przytrafiło jej się w przeszłości. Nie dam się dręczyć. Nie dam się powstrzymać. Jestem niewzruszona, a matka jeszcze mnie takiej nie widziała.

– Co jest w zamkniętym pudełku? – pytam, unosząc je.

Wywołuję tym u niej jeszcze silniejszą reakcję. Rusza na mnie. Chce bić, ale rzucam pudełko na podłogę tak mocno, jak tylko potrafię. Niewielka sprężyna puszcza, wieko się unosi, a na dywan wysypują się zdjęcia. Mama wydaje głośny piskliwy dźwięk, gorączkowo zbiera fotografie. Porywa ich tak wiele, ile tylko zdoła, ale jest za późno. Widziałam je.

Na każdej zdołałam zauważyć dwoje dzieci.

Biorę zdjęcie z podłogi, przy czym przeszywa mnie fala emocji. Gardło ściska mi nieuwolniony krzyk.

Teraz wiem.

Teraz pamiętam.

Londyn, wrzesień 1985

Do domu nie jest daleko. Możemy dotrzeć tam w dziesięć minut. Jestem tego pewna. A przynajmniej tak sobie powtarzam.

Dziś w szkole pani Elliot znów nas pomyliła. Ale to nic, wszyscy nas mylą. Czasami wydaje mi się, że sama się mylę. Ciągłe nazywana jestem Sophie lub Beccą.

Tylko jedna osoba się nie myli. Zawsze wie, kim jestem. Mama.

Zapomniała odebrać nas dziś ze szkoły, ale to nic. Dojdziemy do domu.

Udało nam się wymknąć, nim przyłapała nas nauczycielka. Nie lubimy czekać z nią w klasie. Wiemy, że mama miałaby kłopoty. Zapewne wciąż jest w pracy lub ze swoim nowym chłopakiem, Simonem, który według jej słów nie jest naszym nowym tatą, ale mówi też, że gdybyśmy tamtego nie doprowadziły do śmierci, nie potrzebowałybyśmy nowego. Chyba ma rację.

Dziś jest zimniej. Mama chyba zapomniała ubrać nas rano w ciepłe kurtki. Zapomniała też spakować nam herbatniki. I w mojej kanapce nie było masła. Wydaje mi się, że mama wciąż jest smutna przez tatę. Zapomina o wielu rzeczach. Czasami o tym, by obudzić nas do szkoły. Czasami o zapłaceniu rachunków. Pewnego razu przyszedł do nas pan i zabrał nam telewizor. Mama rzucała w niego kapciami, ale i tak go wziął, więc nie możemy już oglądać *Coronation Street*.

Chociaż jest zimno, świeci słońce, liście mają złoty kolor. Lubię, gdy spadają z drzew i można nimi rzucać w ludzi. Bolą mnie nogi, ale musimy tylko przejść przez park i będzie ulica, na której mieszkamy.

– Trochę tu ciemno... – szepczę.

Ale mnie nie słyszy. Jak zawsze mnie prowadzi. Mówi, że jestem jej cieniem. Czuję się przez to i dobrze, i źle. Lubię być blisko niej, ale nie wiem, czy zawsze chcę za nią chodzić. Kiedy jesteśmy razem, wydaje się, że jesteśmy jedną osobą. Sophie-Becca-Sophie-Becca. To i dobre, i złe. Może czasami powinnam być sama.

– Hej, ślicznotki.

Staje, zanim ja to robię. Odwraca się pierwsza. Ja szłabym dalej, ale ona przystaje.

– Kim pan jest? – pyta. Zawsze odzywa się pierwsza. To właśnie jeden z powodów, dlaczego jestem tak zdezorientowana, gdy ludzie nas mylą. Ona zawsze mówi jako pierwsza.

– Jestem przyjacielem waszej mamy. Mówiła, że jest późno i żebym po was przyszedł. Patrzcie, przyniosłem lizaki. Truskawkowe. Wasze ulubione.

Mężczyzna jest wysoki, szeroki, jego oczy są jak brudne kamyki. Nigdy wcześniej go nie widziałam, nie wierzę, że jest przyjacielem mamy, ale wiem, że Becca chce lizaka, bo ciągnie mnie do niego...

Rozdział 21

To był ostatni raz, gdy widziałam swoją siostrę bliźniaczkę, Beccę. Mężczyzna ją porwał, choć mocno ciągnęłam ją za rękę. Kiedy wypuściłam z uchwytu dłoni jej palce, próbowałam ją złapać za włosy, ale ją odciągnął, brudną dłonią zasłaniając jej usta. Stałam i przyglądałam się, jak uciekał z nią na rękach. Truskawkowy lizak wpadł w trawę. Płakałam z jej włosami w palcach przez całą drogę do domu, po czym powiedziałam mamie o tym, co się stało.

– Byłam jej cieniem – mówię. Na zdjęciu siedzimy objęte na kanapie. – Wszędzie za nią chodziłam. Zawsze mnie prowadziła.

– Co pamiętasz? – pyta mama.

– Park. To, że zapłakana biegłam do domu. Tygodnie po tym, gdy po naszym domu krążyli policjanci w wielkich butach. Że co noc płakałam przed snem. Że po jej uprowadzeniu próbowałam mówić do własnego cienia, ponieważ najbardziej mi ją przypominał. Dlaczego o tym wszystkim zapomniałam?

– Bo byłaś mała. Zapewne wydarzenie było też bardzo bolesne.

– Czy dlatego się przeprowadziłyśmy? Żeby uciec od tych wspomnień? – dociekam.

– Tak.

– Czy ona... nie żyje? – pytam.

– Nie wiem.

W pokoju panuje cisza. Zaczynam zbierać zdjęcia, na których jestem z siostrą. Fotografie z niemowlęctwa, a także z nieco późniejszego okresu. I te z tatą. Jesteśmy na nich całą rodziną.

Wypowiadam ochryłym szeptem słowa, które były wyryte w moich kościach, odkąd byłam dzieckiem, ale przez cały ten czas pozostawały niewypowiedziane.

– Zawsze czułam się jak połowa osoby. Brakowało mi czegoś, odkąd została oderwana ode mnie w parku. Winiłam za to siebie. Przez wszystkie te lata nosiłam w sobie winę za przestępstwo, którego nie mogłam pamiętać.

Mama milczy, ale bierze sweter, który znalazłam, gdy pierwszy raz otworzyłam jej skrzynię. Pociera twarzą o materiał, a ja drzę na wspomnienie tego, jak gryzie wełna.

I wtedy wstaję.

– Co jest? – Mama przygląda mi się szeroko otwartymi oczami.

– Zmuszałaś mnie do noszenia tego swetra. Mówiłaś, że był moim ulubionym. Ale nie był. Nienawidziłam go.

Wzrusza ramionami.

– Pomieszało mi się.

Kręcę głową.

– Wcale nie.

Ponieważ wszystko zaczyna nabierać sensu.

– Zmuszałaś mnie do wkładania tego swetra i mówiłaś: „Becca odeszła. Becca nigdy nie wróci”.

– Ponieważ została porwana.

– Nie – mówię. – To nie to. Kiedy znalazłam cię wcześniej u Pani Hamilton, mówiłaś, że zawsze byłam niewłaściwa i zapytałaś, dlaczego nie

mogę być bardziej jak Sophie. I nazwałaś mnie Beccą.

– Sophie. – Blednie. W nikłym świetle swojej sypialni wygląda jak zombie. Zombie, które przybrało postać mojej matki. A może matka postać zombie.

– To nie Beccę porwano. – Słowa są gorzkie. Zbliżam się do niej o krok, zaciskając dłonie w pięści. – Ubierałaś mnie jak ją. Nazywałaś jej imieniem.

– Nie...

– Ależ tak. Zawsze potrafiłaś nas rozróżnić. Tata czasem nas mylił. Nauczyciele nie potrafili się zorientować. Ale nawet kiedy próbowałyśmy cię podejść, zawsze wiedziałaś, która jest która. Nie zdołałabym udawać pewności siebie, właśnie po tym ją poznawałaś.

Prawda jest tak przerażająca, że nie chcę jej wypowiadać. Nie wiem, czy potrafię wyartykułować te słowa.

– Nie jestem Sophie. Jestem Beccą. Zabrano twoją ulubienicę, więc przez te wszystkie lata starałaś się zrobić ją ze mnie. Ale nigdy nie sprostałam twoim wymaganiom, prawda? Ponieważ Sophie była pewna siebie. Była liderką. Ja byłam cieniem, ponieważ zawsze za nią podążałam. Jeśli Sophie by z tobą została, byłaby wyzwaniem. Pyskowałaby, buntowała się, broniła, a ty byś to doceniała. Ale ja nigdy tak nie postępowałam. Wszędzie szukałam twojej aprobaty, a ty mnie nigdy nie szanowałaś. Pomiałałaś mną przez te wszystkie lata, bo ci na to pozwalałam.

Kiedy milknę, cała się trzęsę. Kolana się pode mną uginają, ale stoję nadal. Chcę, by choć raz mnie dostrzegła.

– Zawsze byłaś ofiarą – mówi. – Nie możesz mnie za to winić. Na każdym etapie życia podejmowałaś takie decyzje, by nią być. Aby być męczennicą. Mogłaś odejść wiele lat temu, ale zostałaś. Wybrałaś pozostanie tutaj. Miałaś tylko jednego chłopaka, Jamiego. Narzekasz na wszystko, ale możesz winić tylko siebie. I wiesz co? Ja też cię winię. Za

wszystko. Ale przede wszystkim winię cię za Sophie, bo to ciebie mieli zabrać.

Pokój kurczy się i rozmazuje. Kiedy mrugam, w oczach matki dostrzegam nienawiść. Widzę jej prawdziwe oblicze. Moje nogi się poddają, upadam na podłogę.

– Co?

– Nic. Powiedziałaś za dużo. Schowaj zdjęcia do pudełka. Natychmiast.

Chwytam ją za nadgarstek, gdy próbuje pozbierać rozsypane fotografie.

– W liście do babci wspominasz o czymś niewybaczalnym. Czego nie da się opisać...

– Puść mnie, Becco! – Drugą ręką bierze na mnie zamach, ale ją chwytam.

– Powiedz, co zrobiłaś!

Popycham ją, dociskając w dół swoim ciężarem. Niemal mogę wyczuć bijący od niej strach. Jest kwaśno-słodki jak jednodniowy pot. Czuję chorą satysfakcję na widok jej lęku. Przez wszystkie te lata obawiałam się jej, a teraz mogę odwzajemnić tę niedolę. Przyciskam jej rękę do podłogi, ignorując jęki.

– Powiedz! – żądam.

Wpatruje się we mnie, jakby mnie nie rozpoznawała. Wytrzeszcza oczy z niezrozumienia. Już jej nie ufam i nie wierzę w żadne słowo.

– Powiedz mi!

– Sprzedałam cię.

– Co?

– Przymierałyśmy głodem, więc cię sprzedałam.

Puszczam ją. Cofam się i opadam na łóżko. To... to... Nie mogę tego zrozumieć. Że co? Co ma na myśli? Nie... mogę.

– Becco, ja... – Płacze. Słyszę to w jej głosie. Nie widzę jej, ponieważ zakrywam twarz dłońmi, ale słyszę. – To była najtrudniejsza decyzja

w moim życiu. Twój ojciec popełnił samobójstwo, pozostawiając mnie na pożarcie pożyczkowym rekinom. Miałyśmy stracić dom. Wiedziałam, że w ciągu kilku tygodni stanę się bezdomna. Twoi dziadkowie zerwali ze mną kontakty. Nie chcieli się spotkać, czy nawet wysłuchać – urywa, ale nie mogę nic powiedzieć. Ciągnie więc: – W dawnym barze Geoffa dowiedziałam się, że mogłabym to zrobić. Wspomniał o tym mimochodem jeden z jego szemranych koleżków. Powiedział o bogaczach, którzy nie mogą mieć dzieci. Mówił, że skłonni są zapłacić dobre pieniądze za dziecko, jeszcze więcej za bliźnięta, ale odmówiłam. Stwierdziłam, że nie pozbędę się dziewczynek.

– Ale to zrobiłaś – szepczę.

– Przez cały dzień było mi niedobrze. Przeszłam przez całą ulicę. Szłam po ciebie, ale myślałam o hipotece. Miałyśmy stracić dom.

– Wybrałaś mnie. Mogłaś zrobić tak wiele. Mogłaś błagać, kurwić się, kraść, ale zdecydowałaś się mnie sprzedać.

– Wzięli niewłaściwą – szepcze.

– Zamieniłyśmy się swetrami, aby oszukać w szkole panią Ellis.

– Nie chciałam...

– Mogła trafić w ręce pedofili. Mogła zostać sprzedana przestępcom, być zmuszona do ćpania...

– Nie – przerywa. – To była bogata rodzina z Ameryki, która chciała adoptować dziecko, ale nie mogła przez dokumenty. Powiedział mi.

– A ty uwierzyłaś na słowo facetowi, który handlował dziećmi? Serio?! – krzyczę. – Uwierzyłaś szumowinie. Nie pojmuję... Nie wiem, jak to przyjąć. – Prawda jest gorsza niż cokolwiek, co mogłam sobie wyobrazić. Moja matka to potwór.

W końcu pojawia się wściekłość, sączy się każdym porem mojej skóry, wypełniając mnie. Staje się żywym organizmem, który rośnie, rozszerza się, zajmuje miejsce moich żył i organów wewnętrznych, skaża moje serce

i duszę. Domaga się ujścia. Chwytam leżącą na końcu łóżka poduszkę i rzucając się na potworną matkę.

Dyszy, odsuwając się ode mnie. Trzymam poduszkę centymetry od jej twarzy, a serce wali mi jak młotem. Matka błaga mnie spojrzeniem.

Mogłabym to zakończyć w ciągu kilku minut. Zakończyć to wszystko. Byłabym wolna.

– Zrób to.

Początkowo wydaje mi się, że głos należy do mamy, ale wtedy uświadamiam sobie, że nie ruszają się jej usta. Następnie wydaje mi się, że sama to szepnęłam.

Ale nie.

W drzwiach sypialni rozbrzmiał głos. Puszczam poduszkę, odwracam się i staję twarzą w twarz z cieniem, który prześladowuje mnie od kilku miesięcy.

Część druga

Rozdział 22

Adeline

Kim dziś będę?

Na Brooklynie jest Mój Chłopak, który ma mnie za starą, dobrą Katie. Małą Katie, która ugotuje mu makaron i pościeli łóżko. Rozjaśni jego obskurne mieszkanie promiennym uśmiechem i zostawi swoje majtki do wyschnięcia na wannie. W Hamptons jest Wakacyjny Facet, który ma mnie za Serenę, bogaczkę, która nosi perły, ale nocą staje się rozwiązła. I jestem też Roxanne dla Imprezowicza, który posuwa ją, gdy jest na ecstasy. Następnie pieprzą się nawzajem do rana.

Dla mamy i taty zawsze byłam Addy. Nie wiedzieli o innych. Byłam ich słodkim cudem, który pojawił się w ich życiu, gdy sądzili, że nie będą mieli dzieci. Ale już ich nie ma.

Na ich pogrzebie nie byłam jednak Addy, przynajmniej nie dla nich. Byłam Adeline Burke, córka w żałobie, zmuszaną do uścisków i ujmowania dłoni wszystkich facetów, którzy z łatwością mogli zabić jej rodziców. Jednak żaden tego nie zrobił i powinnam o tym wiedzieć.

Tata próbował to ukryć, ale miałam świadomość, czego dokonał. Zakradałam się do jego gabinetu, czytałam jego dokumenty, zapamiętując

uprzednio ich kolejność i pozycję względem siebie. Nikt nie mógł tam wchodzić, ale wiedziałam, gdzie chował zapasowy klucz. Znałam jego plany. Miałam świadomość, że jego korupcja sięgała poza pranie brudnych pieniędzy, poza Wall Street, poza polityków. Był przestępcą, ale miał znajomości i – co ważniejsze – pieniądze.

Byłam Roxanne z Imprezowiczem, gdy dowiedziałam się o wypadku samochodowym rodziców. Znów z nim jestem, gdy dzwoni Ralph. Prawnik ojca.

Imprezowicz ma fundusz powierniczy, którego część poszła na apartament na Upper West Side z widokiem na Central Park. Dzwonek komórki budzi mnie późnym popołudniem. Coraz trudniej być Imprezowiczką Roxanne. Teraz, kiedy jestem po trzydziestce, coraz gorzej wcielać się w kolejne alter ego. Może zdołam utrzymać Serenę przez kilka kolejnych wakacji. Katie i tak robi się męcząca.

Zastanawiam się, kiedy będę Adeline?

Mój telefon znajduje się pod jeansami Imprezowicza, rzucony pomiędzy kanapę a telewizor.

– Tak?

– Adeline, tu Ralph.

– Hej, Ralphio.

– Musimy omówić testamenty twoich rodziców. Możesz przyjechać do mojej kancelarii jutro o dziewiątej?

Jęczę.

– Musi być tak wcześnie? Jesteś cholernym sadystą, Ralphie.

Wyobrażam sobie, jak się uśmiecha. Zaczął wodzić wzrokiem po moich intymnych miejscach, gdy skończyłam piętnaście lat i wyrosły mi piersi. Dla mnie od dwudziestu lat wygląda jak pięćdziesięciolatek, prawdopodobnie przez nadwagę i łysinę. W słuchawce słychać szelest, więc wiem, że sięga po serwetkę czy chusteczkę, aby otrzeć spocone czoło.

Myślałam kilkakrotnie o pieprzeniu się z nim, głównie po to, by wkurzyć ojczulka i częściowo dlatego, że mogę. Nigdy jednak tego nie zrobiłam. Zastanawiam się, czy zniechęcają mnie do tego te pełne potu chusteczki.

– Musimy to załatwić, Addy. Odziedziczysz sporo pieniędzy. Omówimy twój fundusz powierniczy i potencjalne inwestycje. Porozmawiamy też o interesach twojego ojca.

– Mówiłam ci, nie przejmę ich. Nie mam zamiaru ich prowadzić. Chcę jedynie kasę. – Innymi słowami: nie chcę, by federalni grzebali w moich finansach. Czają się od lat. Wiedzą, że tata był umoczony, ale zawsze był od nich szybszy i bystrzejszy. Nigdy nie znaleźli nic, by go przyskrzynić.

– Tak, wiem. Ale mimo wszystko przyjdź porozmawiać ze mną punktualnie o dziewiątej.

Unosi się kącik moich ust. Lubię, gdy jest taki apodyktyczny. Czuję się, jakby ojciec wciąż tu był.

– Dobra. Nie ciesz się tak. Będę.

– Grzeczna dziewczynka.

Imprezowicz obraca się na bok i jęczy. Klepię go w czoło. Zbieram swoje ubrania i odpalam papierosa.

– Mam nadzieję, że nie paliłaś znów w windzie – ostrzega portier. – Pewnego dnia, Roxie...

– Spoko. Przyłożyłam rękę do czujnika.

– Miłego dnia. – Uśmiecha się, otwierając przede mną drzwi.

Wychodząc, puszczam do niego oko, na co uśmiecha się szerzej.

Jest szesnasta, miasto tętni życiem. Nie jadłam dziś nic, głowa mi pęka, więc kupuję najmocniejszą kawę i precla. Mogłabym zadzwonić po naszego kierowcę, ale wolę wrócić metrem do Tribeki. Tatulek chciał, żebym przeniosła się na Piątą Aleję, ale nie pasowałabym do tamtejszych mieszkańców. Nie chciałam się wyróżniać. Lubię wtopić się w tło, żeby być niewidoczna. Nowy Jork jest do tego stworzony.

Kim więc powinnam dziś być? Czy Adeline? Kobieta z celem, lecz bez kierunku? Kobieta, która z jakiegoś powodu ma trzydzieści pięć lat, a nadal nie czuje się cała? A może powinnam być nikim, zniknąć w tłumie w metrze, czekając, aż trafi mi się okazja, by włożyć kolejną maskę? Tak, chyba będę właśnie taką osobą.

*

Ralph Scalzi siedzi za mahoniowym biurkiem. Stereotypowa demonstracja męskiej siły. Często zastanawiam się, czy wynagradzanie sobie małych fiutów wielkimi samochodami ma również odniesienie w przypadku biurka. Nie zdziwiłoby mnie to, nie w przypadku Ralpha. Jednak mężczyzna zawsze stara się wyglądać na większego, bardziej imponującego, niż jest naprawdę.

Scalzi, genialny prawnik – jeśli istnieje luka, on ją znajdzie. Jeśli istnieje przysługa, którą należy wykorzystać, on to robi – pracował z najwyższymi rangą gangsterami, skorumpowanymi politykami, szemranymi biznesmenami. I moim ojcem, którego można po trosze przypisać do każdej z tych kategorii. Jednak to mały człowieczek o sporej sylwetce – jest niski i przysadzisty – oraz o twarzy, która czerwienieje przy najmniejszym wysiłku. Ilekroć się z nim spotykam, nie mogę wyzbyć się wyobrażenia, jak sapie i dyszy nade mną. Niegdyś mnie to śmieszyło. Teraz jednak, gdy na niego patrzę, wyobrażam sobie, co może przynieść moja przyszłość. Imprezowicz może wkrótce zostać przeszłością, zastąpiony przez Spoconego Łysola.

Drzę.

– Dotarłaś. I popatrzcie państwo, tylko pięć minut spóźnienia. – Wskazuje na krzesło przed swoim biurkiem.

– To mój osobisty rekord.

– Jak się miewasz?

Wzdycham. Ralph powinien wiedzieć, że nie należy pytać. Nie jest jednym ze współczujących, którzy przechylają głowy, wspominając o moich rodzicach. Nie jestem taka. Nie jestem kimś, komu można współczuć.

– Spoko.

– Jeśli czegoś potrzebujesz...

Unoszę ręce, przerywając mu.

– Wszystko dobrze.

Mimowolnie zauważam, jak wodzi wzrokiem po moim dekolcie w luźnej, czerwonej sukience, którą włożyłam dziś rano. Plusem jest to, że nie przestał obłąpać mnie wzrokiem, nawet gdy skończyłam trzydzieści lat. Wielu facetów wydaje się tracić zainteresowanie kobietami z trójką z przodu. Nie dostaję już tak wielu darmowych drinków, pomimo że przez te wszystkie lata zachowałam idealną figurę. Często zastanawiam się, czy Ralph ukrywa coś więcej niż wzwód na widok mojego ciała. Zastanawiam się, czy przez lata nie pojawiły się u niego prawdziwe uczucia. Rozważam również, co pomyślałaby o tym jego żona.

Tasuje dokumenty, nerwowo zaciskając usta. Ralph ogólnie nie jest zbyt wyluzowany, ale dziś wydaje się wyjątkowo spięty. Na jego skroni perli się pot. Widać, że chce wyjąć chusteczkę z górnej kieszeni marynarki, ale zmienia zdanie i odchrząkuje.

– Addy, mamy dziś wiele do omówienia. W testamentach rodziców znajdują się rzeczy, które, według mnie, będą dla ciebie szokiem.

Udaję zaskoczenie.

– Tatuś był oszustem. Już wiem. Mieli długi? Wydali całą kasę?

– Nie, to nie to. I nie możesz tutaj mówić o ojcu w ten sposób. Jestem prawnikiem, pamiętasz?

Wzruszam ramionami.

– Jasne. To o co chodzi? Coś się dzieje z pieniędzmi ojca?

– O, nie, nic z tych rzeczy. Oboje rodzice zostawili ci sporą sumę na funduszu powierniczym wraz z apartamentem na Upper East Side i letnim domem w Southampton. Szczegóły są w testamencie. Sprawa, o której chciałem porozmawiać, to twoja adopcja.

– Moja adopcja? – Pochyliłam się w fotelu. – Co? Ale ja nie... Nie wiedziałam.

Ralph trzyma kopertę. Dwukrotnie stuka nią o blat, zauważyłam, że robi tak, gdy jest zdenerwowany.

– Przekażę ci informację, o której nawet ja dowiedziałem się dopiero po śmierci twoich rodziców.

Teraz to mnie zaciekawił.

– Widzisz, twój ojciec nie mógł mi powiedzieć o tym za życia, ponieważ przyznałby się przede mną do przestępstwa. Nie zostałam adoptowana, Adeline. Zostałam kupiona.

Słowa te odbieram jak fizyczny cios. Zostałam kupiona?

Choć raz brak mi słów. Mama mawiała, że trzeba cudu, bym zamilkła, że wyszłam z łona, mówiąc. Ha. Najwyraźniej to również kłamstwo.

– Szczegóły dotyczące, eee... sprzedaży znajdują się w kopercie. Wiem jedynie, że twój ojciec zapłacił kilku facetom, by przeszmyglowali cię z Anglii. Rodzice mieszkali wtedy na północy stanu. Twoja matka miała przeszłość kryminalną, dlatego nie mogli legalnie adoptować dziecka. Kiedy porzucili dawne życie, przeprowadzili się wraz z tobą i zarejestrowali cię jako własne dziecko. Widocznie pociągnięto za sznurki, ale nie ja to załatwiałem.

Opieram się w fotelu, oszołomiona informacjami. Ecstasy i alkohol z nocy najwyraźniej musiały odcisnąć na mnie swoje piętno, ponieważ żołądek wiruje mi jak bęben starej pralki.

– Nie wierzę. To skąd pochodzę?

Podaje mi kopertę.

– Z Londynu. Od samotnej matki, która nie potrafiła cię utrzymać. Ustalono, że zostaniesz porwana z parku i przewieziona na wieś.

Narasta we mnie wściekłość. Nie czułam jej od dłuższego czasu i mnie to przeraża. Zaciskam i rozluźniam pięść, próbując nad sobą zapanować.

– A ile kosztowałam? Ile dostała tamta kobieta?

Ralph wierci się w fotelu.

– Nie wiem.

Rozrywam kopertę, przeglądam jej zawartość. Patrzę surowo na prawnika.

– Znasz jakichś dobrych prywatnych detektywów?

Rozdział 23

Adeline

Tata był wysoki. Mama zawsze mówiła, że to jeden z powodów, dlaczego ludzie mu ufali. Mężczyźni powinni być wysocy. Mają górować nad kobietami i wzbudzać szacunek. Nie oznacza to, że kobiety muszą być słabe. Są wśród nas Amazonki. Są też ciche choć zaciekle kobiety, z którymi się nie zadziera. Mama mogłaby się taka stać, gdyby nie poznała ojca. Dorastała w biednej rodzinie z sześciorciem rodzeństwa. Była uzależniona od narkotyków, aż poznała tatę i on ją z tego wyciągnął, ale wcześniej trafiła za kraty. Trzeba wspomnieć, że ojciec uwielbiał zagubione ptaszyny, stąd wiem, że to wszystko prawda. Byłby zachwycony możliwością przyjęcia dziecka niekochanego na tyle, by sprzedała je własna matka.

Od spotkania z Ralphem mam w kółko ten sam sen. Jestem mała, mam może z pięć lat i jestem zmęczona, głodna i świadoma tego, jak śmierdzę. Patrzy na mnie wysoki mężczyzna z niebieskimi oczami. Mówi do mnie.

– Będziemy musieli pozbyć się tego akcentu – odpowiadam, ale nie słyszę słów.

– Wyszczekany dzieciak. Masz sporo odwagi, co?

Nie pamiętam, czy przytaknęłam, czy też nie.

Nic nie poczułam, gdy zginęli rodzice. Tata uwielbiał kruche istoty, ale lubił je też łamać. W jego przypadku był to cykl. Kobiety w jego życiu powinny być złamane, naprawione i znów skrzywdzone. Lubił je dręczyć, aby nigdy nie zdołały się uleczyć.

A mama nie robiła nic, by to powstrzymać. Wydaje mi się, że miała własne problemy, kiedy ojciec pił za dużo i ją bił, ale nie zostawiła go, nigdy nie powstrzymała. Uważała, że na to zasłużyła.

Dorastałam wewnątrznie wyniszczona. Najbardziej na świecie przeraża mnie to, że pewnego dnia wszystkie strzaskane fragmenty wypłyną na powierzchnię i wszyscy zobaczą, kim naprawdę jestem. Spieprzyli mnie naprawdę mocno, przez co stwierdziłam, że mogę wyciągnąć od nich kasę. Zniszczyli mnie, ale ja ich zabiłam.

Ucieczka z miejsca wypadku.

Ale wiem, komu zapłacić. Wiem, które dłonie posmarować brudnymi pieniędzmi ojca. Powinnam to zrobić wiele lat wcześniej. Zapłacić za swoją wolność. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, co mi odebrał. Co kupił.

Czas odnaleźć kobietę, która jako pierwsza mnie okaleczyła. Według informacji zawartych w kopercie, którą dał mi Ralph, nazywam się Sophie Howland i urodziłam się na przedmieściach Londynu jako córka Maureen i Geoffa. Ojciec popełnił samobójstwo, gdy miałam cztery lata. Matka sprzedała mnie rok później. Ale potem robi się jeszcze gorzej. Nie potrafię pojąć tego, że mam siostrę bliźniaczkę, Beccę Howland.

Bliźniaczkę.

Nie ma zdjęć. Właśnie tego najbardziej pragnę: zobaczyć twarz matki, która sprzedała mnie temu, kto zapłacił najwięcej. Kobiety, której nie obchodziło, czy wpadnę w ręce pedofila czy człowieka, który lubi łamać charaktery małych dziewczynek. Po prostu miała to gdzieś.

Ralph daje mi numer zaufanego detektywa, Johna Ashleya. Jeśli Ralph mu wierzy, ja również powinnam. Do pewnego stopnia, w każdym razie. Nie ma na tej planecie człowieka, któremu zaufałamby całkowicie.

Załatwiam z nim sprawę telefonicznie, choć bardzo bym chciała wiedzieć, jak wygląda. Wolę mieć jakieś wyobrażenie o ludziach, z którymi rozmawiam, inaczej napięcie staje się zbyt duże. Kiedy kończę, googluję go.

Transakcja jest prosta. Podaję informację na temat Maureen Howland i przelewam sporą sumę. Mówi, że się odezwie. A potem czekam.

A tak naprawdę nie robię tego.

Sama szperam. Wpisuję jej dane na Facebooku i ustawiam zakres poszukiwań na Londyn. Dostaję kilka profili, ale tylko w pięciu czy sześciu zgadza się wiek. Przeważnie to prywatne konta, pokazujące niewiele więcej niż zdjęcie profilowe. Nie mam pojęcia, która z tych kobiet mogłaby być moją matką, więc postanawiam nienawidzić je wszystkie z taką samą zaciekłością.

Próbuję znaleźć Becce Howland. Przeszukuję każdy profil, ale żaden mi nie odpowiada, więc zamykam komputer i chodzę po mieszkaniu.

Gdzieś na świecie żyje osoba, która mówi i wygląda jak ja. Czy jest jej lepiej we własnej skórze niż mi? Czy ma życie, na jakie ja zasługuję? Czy była kochana i tulona nocami? Bezpieczna, otoczona prawdziwą matczyną miłością?

Nie potrafię znieść tego, że ona gdzieś tam jest.

*

Zmieniają się moje sny. Nie widzę już pierwszej chwili, gdy zobaczyłam tatę. Śnię o niej. O Becce. Jesteśmy w szkole, w klasie. Pamiętam dziurę w bucie, przez którą wlewała się woda i dziwną, zrobioną w domu fryzurę.

Miałyśmy z Beccą identycznie krzywo przycięte włosy, bo matka niemal zawsze skręcała nożyczki w prawo. Pamiętam to teraz. Niewielka wiedza, która była niedostępna przez lata.

We śnie siedzimy w klasie pochylone, byśmy mogły rozmawiać. Chichoczemy. Mamy pomysł.

– *Raz, dwa, trzy, teraz ty* – mówię.

To nasza gra. Nasz kod, który oznacza nadchodzące wyzwanie. Tym razem, gdy nauczycielka stoi do nas tyłem, zamieniamy się swetrami. Przez resztę lekcji ja jestem Beccą, a siostra – Sophie. Promienieję pewnością siebie, bo wiem, że Becca pragnie być mną. Wszyscy tego chcą. Rozśmieszam ludzi. Jestem bezczelna, czym naginam ich do swojej woli.

– Chodź, Cieniu – mówię do Bekki, gdy czekamy przy szkolnej bramie. – Jeśli się nie pospieszymy, każą nam czekać w klasie, a mama będzie miała kłopoty.

– Nie wiem, czy powinnyśmy – odpowiada siostra.

Biorę ją za rękę i wyprowadzam ze szkoły.

Budzę się zrana potem. Nie lubię tego snu. Nie podoba mi się myśl, że łączyła mnie z siostrą świetna relacja. Przyciskam knykcie do czaszki, pragnąc wymazać z niej to wspomnienie. Jednak nie chce odejść. Nawiedza mnie.

Mija tydzień, nim oddzwania John Ashley. Natychmiast się z nim spotykam, nie chcąc trwać dłużej w zawieszeniu. Siedzę w jego gabinecie na Long Island, stukając długopisem o jego biurko, pełna nerwów jak stado dziewczyc na studniówce.

Poświęca nieprzyzwoicie dużo czasu na segregację dokumentów, nim zaczyna. Kiedy się ociąga, przyglądam mu się uważnie, odczuwając ulgę, bo w końcu wiem, jak wygląda. Jest młodszy, niż to sobie wyobrażałam, może przed pięćdziesiątką, i jest atrakcyjny. Może jeśli rzucę

Imprezowicza, będę miała miejsce dla Detektywa. Podoba mi się kasztanowy zarost na jego twarzy oraz duże, silne ręce.

– Niedługo po twoim zniknięciu twoja biologiczna matka przeprowadziła się z Londynu do małej miejsciny w Północnym Yorkshire o nazwie Eddington.

Przesuwa po blacie zdjęcie i w końcu mogę ją zobaczyć. Chciwie porywam fotografię, złąkniona wiedzy.

– Mogę to zatrzymać? – pytam.

– Oczywiście.

Zdjęcie jest ziarniste. Sądząc po kącie, to selfie. Samo w sobie jest dziwne, że moja biologiczna matka jest osobą, która zrobiłaby sobie selfie, zapewne na jakiś portal społecznościowy. Natychmiast dostrzegam podobieństwo. Nigdy nie skupiałam się na tym, że nie przypominam rodziców – aż do teraz, gdy widzę, jak bardzo jestem podobna do prawdziwej matki. Mamy te same ostre spojrzenia i wydatne kości policzkowe. Kobieta prezentuje się jak dawna królowa wpatrująca się z wyższością w poddanych. Gdybym jej nie nienawidziła, mogłabym ją polubić.

– To z jej profilu na Facebooku – ciągnie John.

– Ale sprawdziłam ten portal i jej nie znalazłam – mówię.

– To nie było łatwe. Wyłączyła możliwość szukania po nazwisku. Kiedy dowiedziałem się, że przeniosła się do Eddington, przeszukałem osoby stamtąd, które mogły mieć w znajomych kobietę w jej wieku. W końcu mi się pojawiła.

Kiwam głową.

– A co z Beccą Howland?

Oczy Johna rozpromieniają się i po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że facet uwielbia swoją robotę.

– Ach, cóż, to o wiele bardziej... interesujące. Według informacji pani ojca, jest pani Sophie Howland, co oznacza, że pani siostra musi być Beccą. Jest pani dziewczynką uprowadzoną w parku w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, ale musiała zajść jakaś pomyłka, ponieważ matka biologiczna zgłosiła zaginięcie Bekki. Porwanie opisywano w gazetach w Anglii. Pani rodzice mieli szczęście, że nie została pani odnaleziona. Tydzień po porwaniu zaginęło inne dziecko, na które przeniosło się całe zainteresowanie.

– Ale mam wspomnienia z dzieciństwa i pamiętam, że byłam Sophie. Nie jestem Beccą. Becca to moja siostra.

– Becca została zgłoszona jako uprowadzone dziecko. – Waha się. – Później uznana za zmarłą.

– Skłamała – mówię cichym, ochryplym głosem. – Okłamała policjantów. Dlaczego miałyby to zrobić?

John przełyka ślinę. Po raz pierwszy wydaje się czuć nieswojo. Nawet mi chyba współczuje. Widzę to w jego oczach, w pełnym politowania spojrzeniu.

– Nie wiem.

– Ma pan jej zdjęcie? – pytam.

– Tak. Wziąłem ze strony szkoły podstawowej w Eddington, gdzie pracuje jako nauczycielka. Nie ma kont na portalach społecznościowych. Och, poza tym na portalu randkowym.

Niemal parskam śmiechem na myśl o siostrze spotykającej się z gośćmi z sieci. Jednak moja wesołość niknie, gdy trzymam w palcach jej zdjęcie.

Cios jest tak wielki, że nie mogę oddychać. Pamiętam ją. Pamiętam tę jej smutną minkę, gdy nakłaniałam ją, by mnie kryła, gdy coś przeskrobałam. Pamiętam, że jej ulubioną maskotką był lew bez jednego oka i z dziurą na lewej łapie. Pamiętam, że pewnego razu urwałam mu ze złości głowę, a mama... Maureen... musiała ją przyszyć. Pamiętam, że siostra miała

identyczny głos jak ja i obie miałyśmy londyński akcent. Pamiętam jej zapach, dotyk jej włosów.

Gardło mi się ściska od łez, co jest niedorzeczne, gdy wpatruję się w zdjęcie kobiety, która zdaje się nieco smętniejszą wersją mnie. Ma kiepską fryzurę, niezbyt zdrowe zęby i zmarszczki wokół oczu, których ja nie mam. Jest grubsza i garbi się, przez co jej piersi wyglądają na obwisłe.

– Chusteczkę? – pyta detektyw, podając mi pudełko, ale kręcąc głową. – To wiele informacji, prawda? Ma pani rodzinę, o której pani nie wiedziała.

– Rodzinę, która mnie sprzedała i ukradła mi tożsamość. – Pociągam nosem i tłumię łzy. – Ma pan ich adres?

Rozdział 24

Adeline

Na wysokości sześciu kilometrów tleniona blondynka, która nadal ma na nosie okulary przeciwsłoneczne, w końcu obraca się do mnie i mówi:

– Niewielu Amerykanów leci z Nowego Jorku do Manchesteru. To zazwyczaj turyści wracający do domu.

– Lecę do domu odwiedzić rodzinę. Mieszkają w Yorkshire.

– Zabawne. – Śmieje się, przy czym podskakują jej okulary. Jej głos jest zgrzytliwy, nosowy.

– To dalecy krewni. Ledwie ich znam. – Opieram się w skórzanym fotelu. Myślałam o przedziale bydłowym, by nie rzucać się w oczy, ale potem stwierdziłam, że i tak nikt nie będzie zwracał na mnie uwagi. Przecież Maureen czy Becca nie będą na mnie czekać. Nie było mnie przez trzy dekady.

– To okazja do świętowania, prawda? Może kieliszek prosecco?

– Lepiej niech będzie szampan – odpowiadam.

– Jestem Amy – mówi.

Staram się jej przyjrzeć, ale w tych okularach nie mogę rozszyfrować jej wieku. Ma dobrze ufarbowane włosy, aby pokryć siwiznę, i niewielkie

ciało. Nosi kosztowne, choć zdzirowate ciuchy w zwierzęce cętki.

– Sophie – odpowiadam. Smakuję to imię na języku i zębach. Delektuję się nim jak gładkim toffi. Wciąż nie jestem na nie gotowa, ale lubię je przymierzać. – Powiedz mi, Amy, czy ludzie w Yorkshire mówią jak ty?

– Masz na myśli akcent? Podobnie, ale nie do końca. Zobaczysz, gdy tam trafisz.

– Możesz mnie nauczyć kilku zdań z tym akcentem? Nauczę cię, jak się mówi w Nowym Jorku.

Stewardesa podaje dwa kieliszki szampana, a Amy chichocze.

– Dobrze. Może „herbatki, złociutka?”. – Powtarzam frazę, a ona się śmieje. – Nieźle! – Próbuję raz jeszcze, na co unosi brwi ponad krawędź okularów. – Dobrze sobie radzisz.

– Jestem dobra w wyłapywaniu akcentów – odpowiadam.

– No nie mów.

*

Amy jest na tyle uprzejma, że opowiada mi o sklepach przy głównych ulicach w Anglii, gdzie można kupić niemodne ubrania. Mówię, że to dla ciotki, ale tak naprawdę chcę włożyć to, co nosi „Sophie”.

W Manchesterze wypożyczam samochód i na mniejszych uliczkach, na których brudne dzieci grają w piłkę nożną, ćwiczę jazdę po niewłaściwej stronie drogi. Auto to focus, coś, czego tata nigdy by nie pożyczył, nie prowadziłby, nawet by do tego nie wsiadł. To starość w porównaniu z autami, którymi poruszałam się po Manhattanie. Jest pospolicie szary, odpowiedni, by wtopić się w scenerię.

Anglia wydaje mi się strasznie ponura. Słońce świeci tylko czasami, następnie chowa się za chmury, a na niebo wraca mrok.

W drodze do Yorkshire słucham audiobooka, którego akcja toczy się właśnie tutaj, zatrzymując go co chwila, by powtarzać zdania. Staję przed pubem, by zjeść obiad i się przebrać. Biustonosz nie pasuje, przez co wydaje się, że nie podtrzymuje mi piersi. Nie czeszę się, lekko się garbię. Zmywam resztki makijażu. Jestem już prawie jak ona.

Zamawiając jedzenie, wypróbuję nowy akcent, przysłuchując się słowom wypowiedzianym przez młodą kelnerkę. Jeśli zauważy, że coś nie tak z moją mową, nie wytyka tego. Nie patrzy na mnie rozbawiona. Wraca zaraz z dużym cheeseburgerem i frytkami. Muszę lekko przytyć, jeśli mam za nią uchodzić. Jesteśmy identyczne, ale nie do końca. Ona ma za sobą trzydzieści lat brytyjskiego jedzenia i stomatologii. Ja żyłam na Upper East Side w Nowym Jorku.

Żołądek mnie mrowi na myśl o tych dwóch różnych historiach, ostatecznie zderzających się ze sobą w czymś, co może być jedynie monumentalnym wydarzeniem. Jem posiłek, wielokrotnie powtarzając w myślach adres Maureen i Sophie Howland.

Postanawiam zatrzymać się w niewielkim pensjonacie w mieście przyległym do Eddington. Było tam kilka wolnych pokoi, ale wolę nie zwracać na siebie uwagi. W dodatku mógłby mnie ktoś pomylić z Sophie, zanim będę na to gotowa.

Po zameldowaniu przyglądam się zdjęciu siostry i chodzę po pokoju, udając, że jestem nią. Zanim popadłam w apatię, chodziłam na kurs aktorski, wzięłam nawet udział w przesłuchaniach do kilku sztuk. Tata nie był zadowolony. Mówił, że kariera aktorska nie jest dla mnie właściwa. Kłóciliśmy się o to przez dłuższy czas. Mama próbowała przemówić mi do rozumu, bym to rzuciła.

Nie musieli się martwić. Nie byłam wystarczająco utalentowana i piękna, by być aktorką, jak powiedział mi praktycznie każdy agent w Nowym Jorku.

Jednak mylili się, bo przez ostatnie piętnaście lat nauczyłam się, jak być kimś innym, a czyż nie jest to największe wyzwanie dla aktora?

Zaczynam myśleć z akcentem z Yorkshire. Czas pozbyć się starych słów. Maureen Howland jest „mamusią”, ma pięćdziesiąt pięć lat i mieszka w Eddington. Kiedy miałam pięć lat sprzedała mnie za nieokreśloną sumę.

Nie, nie mogę tak myśleć. Jestem tą drugą Sophie Howland, tą, która wychowywała się w małym domu w Eddington, która stąd nie wyjechała. Została przy matce, mieszka z nią w jednym domu, nie znalazłszy męża, nie mając dzieci. Pracując w szkole podstawowej – nie, podstawówce, ucząc dzieci w swetrze ze sklepu Marks & Spencer.

Sophie Howland nigdy nie wyjechała za granicę. Nigdy nie chodziła o czwartej w nocy po Central Parku naćpana ecstasy, ani prawie nie odgryzła sobie policzka, jadąc metrem pod wpływem narkotyków.

Leżę na nierównym łóżku, zastanawiając się, co ona teraz robi. To pierwszy raz, gdy pojawiają się wątpliwości. Co, jeśli coś pójdzie nie tak? Co, jeżeli stracę kontrolę nad sytuacją i to mnie stanie się krzywda? Ale mój umysł wraca do dnia, gdy wyprowadziłam Beccę – lub Sophie, jak teraz ma na imię – ze szkoły i zostałam uprowadzona. Okradziono mnie z siostry. Okradziono z nastoletnich lat spędzonych na kłótniach o ciuchy i o to, z kim pójść na bal na zakończenie szkoły średniej.

Mają w Anglii studniówki? Kogo to obchodzi. Ominęło mnie tak wiele. Brak mi tego teraz. Brak mi jej.

*

Wprowadzam do nawigacji w wynajętym aucie „Eddington” i jadę do tego małego miasta. Jest takie, jak wyobrażałam sobie całą resztę Anglii – pełne małych domów z ogródkami, a wszystkie takie same i urocze. Od razu widać, że miasto jest zamożniejsze niż to, przez które przejeżdżałam, by się

tu dostać. Dopada mnie gniew, rozgrzewając twarz i palce. Zapłacono za to mną. Dzięki sprzedaży jednej córki, Maureen była w stanie przenieść się tu z drugą.

Gdy pierwszy raz widzę dom, mam ochotę się zatrzymać i zwymiotować, ale na szczęście mdłości ustępują. Nie ma w nim niczego dziwnego. Jest podobny do innych. Oto miejsce, w którym siostra żyje jako ja, a matka traktuje ją, jak traktowałyby mnie. Dlaczego zamieniła nasze tożsamości? Nawet przez chwilę nie wierzyłam, że się pomyliła. Zawsze potrafiła nas rozróżnić. Nauczycielki w szkole miały z tym kłopot, ale ona nigdy.

Parkuję po drugiej stronie ulicy i siedzę nisko, naciągając czapkę na włosy. Jest sobota rano, nie znam rutyny domowników. Nie wiem, czy w ogóle wyjdą z domu, ale serce wali mi jak młotem na myśl, że po raz pierwszy zobaczę którąś z nich.

– Chodź, Cieniu – szepczę.

Przyglądam się idącej ulicą młodej kobiecie o krótkich jasnych włosach i w fartuszkach pielęgniarskich. Skręca do domu Maureen i Sophie, następnie puka do ich drzwi. Serce mam w gardle. Zobaczę przynajmniej część jednej z nich. Nie zastanawiam się nawet, dlaczego przychodzi do nich pielęgniarka, jestem zbyt skoncentrowana na tym, by cokolwiek zobaczyć. Czy wyjdzie Maureen? A może Sophie?

Drzwi otwierają się szeroko, aż sapie.

To ona. Sophie. Kobieta, która wygląda jak ja. Słyszę jej głos.

– Hej, Erin. Dzięki, że zgodziłaś się przyjść w sobotę...

Głos jest jakby mój, a jednak inny. Zapisuję go w pamięci. Pobrzmiewa w nim odrobina akcentu z Yorkshire, który ćwiczę, choć nie jest tak silny, jak się spodziewałam. Powtarzam pod nosem jej słowa.

– Hej, Erin. Dzięki, że zgodziłaś się przyjść w sobotę.

Widok siostry to kolejny cios. Przez wszystkie te lata opłakiwałam jej utratę, choć wyrzuciłam ją z pamięci. Rodzice powtarzali, że nie miałam

rodzeństwa, że dawno temu się z kimś przyjaźniłam i to właśnie tę dziewczynkę pamiętam. Po jakimś czasie myśli o niej uleciały i zaczęłam nowe życie, nie oglądając się za siebie.

Czy żałuję? Nie. Musiałam przetrwać. Musiałam żyć.

A teraz potrzebuję czegoś więcej. Odpowiedzi i sprawiedliwości.

Rozdział 25

Adeline

Łatwo mieszkać w pensjonacie, nie wzbudzając podejrzeń. Płacę za miesiąc z góry i mówię przyjaznej właścicielce, że ukrywam się po odejściu od męża-dręczyciela. Kiwa głową i mówi, że nie muszę niczego dodawać, więc tego nie robię.

Uczę się rutyny Sophie, która rano czeka na blond pielęgniarkę Erin, następnie wychodzi w dni robocze i jedzie do tutejszej podstawówki. Kończy pracę pomiędzy szesnastą a siedemnastą i wraca do domu. Erin wychodzi dziesięć minut później. Maureen rzadko opuszcza dom.

Musi istnieć powód, dla którego starsza kobieta wymaga opieki. Przyglądam się. Czasami w weekendy obie jadą na zakupy lub do kawiarni.

Muszę być ostrożna, śledząc je. W pewnej chwili zmieniam wynajęte auto na niebieskiego nissana, aby wścibscy sąsiedzi nie zrobili się podejrzliwi. Ulica jest spokojna, ale znajduje się blisko parku popularnego wśród rodziców, którzy wszędzie lubią jeździć. Oznacza to, że mieszkańcy przyzwyczajeni są do oglądania dziwnych pojazdów. Jednak kiedy Sophie i Maureen wychodzą z domu, wiążę włosy i wciskam je pod czapkę. Jest

dziś słonecznie i ciepło, więc nie jest zbyt przyjemnie w nakryciu głowy, ale przynajmniej moje okulary przeciwsłoneczne się nie wyróżniają.

Po wyjściu Sophie do pracy zakradam się za dom i obserwuję, jak Maureen wychodzi do ogrodu. Przyglądam się, jak zasiada na leżaku z filiżanką herbaty. Upija łyk i rzuca filiżanką, która rozbija się na kamiennym patio.

Do ogrodu przybiega Erin.

– Och, dlaczego to pani zrobiła? – pyta, wzdychając.

– Była za gorąca.

– Mówiłam, by dała jej pani przestygnąć.

Kiedy Erin sprząta, Maureen mówi:

– Gdzie moja herbata? Prosiłam o nią godzinę temu.

– Proszę dać mi dwie minuty.

– Kim jesteś i gdzie jest Sophie? – warczy Maureen.

– Jestem Erin, pani opiekunka. Zajmuję się panią już od kilku miesięcy.

Pamięta pani?

Maureen mruży oczy, jakby próbowała sobie przypomnieć.

– Tak, tak. Chyba tak.

– Przyniosę herbatę.

Erin odchodzi, a ja obserwuję, jak Maureen bawi się kluczami. Podrzuca je i upuszcza na patio. Oczywiście... kobieta cierpi na demencję. Właśnie po to ta pielęgniarka.

Powoli zdejmuję czapkę i roztrzepuję włosy. Serce obija mi się o żebra. Mam tylko kilka minut, gdy Erin przygotowuje herbatę w kuchni, stojąc plecami do okna.

Zrobię to? Robiłam już w życiu ryzykowne rzeczy, ale coś takiego?

Otwieram furtkę do ogrodu i podchodzę powoli do Maureen.

– Upuściłaś je, mamo. Może powinnam je wziąć i schować.

Przechodzi mnie dreszcz, gdy Maureen patrzy mi w oczy.

– Tak, dobrze.

– Muszę wracać do pracy.

Chwyta mnie za rękę, aż przeszywa mnie prąd. Staram się stłumić chęć wyrwania się jej.

– Czekaj. Jesteś...

– Sophie, mamó.

Puszcza. Jej spojrzenie jest nieostre, zdezorientowane.

Spieszę na koniec ogrodu, oddech mi się rwie, pot występuje na czoło. Drżącymi palcami otwieram i zamykam furtkę. Zabieram czapkę z miejsca, w którym ją zostawiłam i biegnę do auta. Odjeżdżam z myślą, że już nigdy tu nie wrócę.

*

Mój pokój w pensjonacie pachnie wymiocinami.

Nie robiłam tego, odkąd zapłaciłam facetowi, aby wjechał w mercedesa ojca. Prawda, że dopadło mnie odrętwienie, gdy zginęli rodzice, ale kiedy wynajmowałam zabójcę, zareagowałam silniej, niż zakładałam.

Trzymam klucze, aż rozgrzewa się metal. Teraz mam dostęp do ich domu. Po wyrzuceniu z żołądka całego obrzydzenia, odczuwam w nim nową ekscytację. Odebrałam Maureen nieco kontroli. Nigdy jej nie odzyska.

Ale muszę postępować ostrożnie. Sophie będzie szukała kluczy, gdy zda sobie sprawę, że matka je zgubiła. Może nawet zmieni zamki. Jutro je dorobię, następnie podrzucę pęk do ogrodu. Maureen pewnie nie zda sobie sprawy, że ich nie było. A jeśli powie córce o tym, że mnie widziała – a raczej ją – Sophie zwali to na karb demencji. Nigdy jej nie uwierzy.

*

Kiedy miałam piętnaście lat, włamałam się z Jakiem do domu starszego reżysera w Hamptons. Chcieliśmy uprawiać seks w jego basenie. Przeskoczyliśmy przez mur, ale wylądowałam krzywo i skręciłam nogę w kostce. Zanim się pozbierałam, pozapalały się reflektory i rzucił się na mnie wielki facet, gdy wiłam się i chichotałam naćpana tym, co znaleźliśmy w domu rodziców Jake'a.

To była jedyna moja próba włamania. Aż do teraz.

Dom Maureen i Sophie jest cichy. Wchodzę przez furtkę w ogrodzie i okrążam budynek. Nie chciałam podejść wprost do drzwi frontowych w razie, gdyby któryś z sąsiadów wyglądał przez okno w środku nocy, a przeszklone tylne drzwi przy otwieraniu wywołują zbyt wielki hałas.

Przyglądałam się wystarczająco długo, by wiedzieć, że dom nie ma alarmu. Nie ma psa. A ja mam klucze. Muszę jedynie zachować ciszę.

Jestem ubrana cała na czarno, dodatkowo mam kominiarkę. Przypominam teraz prawdziwego przestępcę.

Wkładam klucz do zamka i obracam powoli. Dźwięk otwieranych drzwi jest cichszy niż moje pędzące serce. Nie zamykam do końca wyjścia, ponieważ wiem, że jeśli któraś się obudzi, będę musiała szybko umknąć.

Buty nie wywołują hałasu na dywanie. Kiedy mój wzrok przyzwyczaja się do mroku, rozglądam się po salonie w domu, w którym mogłam się wychowywać. Co, jeśli Maureen by mnie nie sprzedała, a w jakikolwiek inny sposób uzyskała pieniądze, by się tu przeprowadzić? To kanapa, na której mogłam siedzieć i oglądać z siostrą filmy z Molly Ringwald. To kuchnia, w której mogłam robić sobie tosty z serem, czy jak to się tu nazywa, albo chleb z fasolką.

Może przekonałabym mamę, by kupiła nam psa. Mogłybyśmy się bawić z nim w ogrodzie, gdy nie klóciłybyśmy się o chłopców.

Muszę odsunąć od siebie te myśli. Mam zadanie do wykonania. Najważniejsze to zalogować się na komputer Sophie. Chcę jak najwięcej

wiedzieć o tych kobietach. Jednak najpierw muszę zainstalować oprogramowanie, które pozwoli mi sterować jej laptopem, co będzie niemożliwe, jeśli założyła u siebie hasło.

Otwieram urządzenie na kuchennym stole i powstrzymuję się, by nie odetchnąć z ulgą, gdy od razu widzę pulpit. Szybko wkładam pendrive'a do portu USB i instaluję oprogramowanie zdalnego pulpitu. Następuje bolesna minuta, gdy mogę jedynie czekać. Zaraz odkładam laptopa na miejsce i chowam pendrive'a do kieszeni.

Na dole schodów wyobrażam sobie, że obie śpią smacznie, nie mając pojęcia o intruzie w domu. Bez zastanowienia wchodzę na schody. Niewielki trzask stopnia zmusza mnie do przystanięcia. Nasłuchuję, wstrzymując oddech. Stopień cichnie, żadna z kobiet nie zamierza wstać. Ostatnie metry przemierzam bardzo powoli.

Nie mam pojęcia, która gdzie śpi. Zrządzeniem losu otwieram drzwi najbliższej zejścia i widzę, że kobieta, która mnie urodziła, leży na boku z nieznacznie rozwartymi ustami. Oto ta, która trzymała córeczkę w ramionach, a pięć lat później sprzedała ją przestępcom, by zrobili z nią, co chcieli. Mogłam zostać sprzedana pedofilom, pracować jako niewolnica seksualna do końca życia. Mogłam zostać zamordowana dla zabawy, pochowana w nieoznaczonym grobie. Znalazłabym w nim więcej spokoju, niż mam w tym życiu?

Ta kobieta okradła mnie z tak wielu rzeczy, że nawet na funduszu powierniczym ojca nie ma wystarczająco dużo pieniędzy, by mi to wynagrodzić. Wyciągam ku niej rękę, zatrzymując palce centymetry przed jej twarzą. Kilka minut i mogłabym skraść jej ostatni oddech.

Otwiera oczy.

Zabieram rękę. Ściągam kominiarkę z twarzy, by mogła mnie zobaczyć.

– Sophie? – pyta.

– Wiesz, co powinnaś zrobić? – rzucam. – Powinnaś wypić wybielacz. Całą butelkę. Powinnaś wziąć na raz wszystkie tabletki. Wtedy by ci się polepszyło.

– Dobrze – mamrocze.

Odwracam się i uciekam z tego domu i od rodziny, która mnie porzuciła.

Rozdział 26

Adeline

Kilka dni temu widziałam, że Sophie spotkała się z facetem w kawiarni. Ekscytujące, zwłaszcza że to pierwszy raz, gdy wyszła z kimś, kto nie jest matką czy koleżanką-nauczycielką ze szkoły. Teraz, gdy mam dostęp do jej komputera, siedząc w pensjonacie przed własnym, odkryłam, że gość ma na imię Peter i pisał do niej na portalu randkowym. Sądząc po wiadomościach, sprawy wyglądają na poważne, choć Sophie nie przejawia tak wielkiego zainteresowania jak on.

Po pierwszej próbie włamałam się do ich domu jeszcze kilka razy. To było zbyt proste i stało się uzależniające. Sophie śpi jak zabita, ani razu się nie obudziła, gdy przemierzałam schody i szeptałam do naszej matki w mroku.

– Znam cię – powiedziała pewnego razu.

– Poznasz mnie – odparłam.

Każdego ranka przyglądam się, jak Sophie jedzie do pracy, a wygląda przy tym na coraz bardziej wyczerpaną. Musiała zawieźć matkę do szpitala, gdy Maureen wypła wybielacz, co jednocześnie mnie ucieszyło i przyprawiło o mdłości. Musiała zadzwonić na policję i wymienić zamki.

To było rozczarowujące. Jeśli ponownie spróbuję ukraść klucze Maureen, może to zostać zauważone. Skończyło się wchodzenie do tego domu. Zwłaszcza po tym, gdy Sophie zainstalowała monitoring.

Ale później robi coś lepszego. Instaluje w środku małe kamery, do których podgląd ma na komputerze. Co oznacza, że mam do nich dostęp i ja.

Widzę wszystko. Ich codzienne życie. Każdą nudną chwilę, którą spędzają na kanapie przed telewizorem. Gdy Maureen wyżywa się na pielęgniarce. I kiedy Sophie nalewa sobie wina i pod koniec dnia zakrywa twarz dłońmi. Widzę to wszystko.

Dreczę je. Niszczę relację Sophie z opiekunką. Dlaczego miałyby mieć przyjaciółki? Śpię z jej chłopakiem, który nie orientuje się nawet, że to nie ona. Jest gruby i nieatrakcyjny, ale tak jestem nakręcona wcielaniem się w nią, że się nie przejmuję. Pod drzwiami znajduję worek ciuchów dla jakiejś fundacji. Kradnę dwie rzeczy, resztę tę.

Wiem dokładnie, gdzie znajduje się każda kamera na zewnątrz i wewnątrz. Niektóre mogę wyłączyć dzięki oprogramowaniu, jakie zainstalowałam na laptopie Sophie. Robię to, by ją wkurzyć. Myśl o namieszaniu jej w głowie, o wywołaniu paranoi staje się ekscytująca i uzależniająca, aż nie mogę przestać.

Obserwuję wszystko, co robią. Obserwuję, gdy rozbierają się nocą. Obserwuję samotne chwile rozbicia, gdy pomaga jedynie alkohol. Nie mogą przede mną uciec. Wróciłam pomimo ich najlepszych wysiłków, aby o mnie zapomnieć. Dopilnuję, aby poznały mnie raz na zawsze.

Podczas grzebania w ich życiu najbardziej interesujące są e-maile do jej byłego chłopaka Jamiego. Dają mi wgląd w aspekt relacji matki i córki o istnieniu, którego nie miałam pojęcia. Wydaje się, że Maureen nie tylko okradła mnie z dzieciństwa, na które zasługiwałam, ale również odmówiła go mojej siostrze. Widzę to w każdym słowie w tych wiadomościach.

Widzę w nich całkowitą destrukcję pewności siebie Sophie. Widzę jej toksyczny związek z naszą matką i sposób, w jaki zrywa z Jamiem.

Czytam wszystkie jej e-maile, robię zrzuty ekranu i je drukuję. Przyczepiam je do ściany w pensjonacie, zakreślam wyróżniając najważniejsze rzeczy:

Już dłużej nie mogę, Soph. Nie mogę patrzeć, jak kawałek po kawałku Cię wyniszcza. Nie mogę mieć z Tobą dzieci, ponieważ nie chcę dla nich takiej babci.

Musisz się jej postawić, inaczej nigdy nie będziesz wolna.

Oddaj ją do domu opieki, Sophie. Sprzedaj dom. Zamieszkać ze mną i bądź szczęśliwa.

Słowa są pilne, pełne desperacji. Kiedy byłam mała, obserwowałam, jak rodzice po pijanemu się wyniszcza. Widziałam ich wywołane wściekłością sińce, ale nigdy nie byłam świadkiem czegoś tak smutnego jak ta długa, męcząco ugrzeczniona dekonstrukcja frustracji. Niemal łamie mi serce.

Niemal.

Ale Sophie miała wybór. Dawno temu mogła opuścić matkę i żyć wolno. To mnie sprzedano, a ona jest siostrą, która zagarnęła moją tożsamość, pozostawiając mnie z niczym.

Niedługo po tym, gdy opłacam kolejny miesiąc w pensjonacie, postanawiam, że nadszedł czas. Gierki muszą się skończyć. Muszę porozmawiać z siostrą. Muszę przestać nią być i stanąć z nią oko w oko.

Część trzecia

Rozdział 27

To przez cały ten czas była ona.

Kobieta jest moim idealnym lustrzanym odbiciem.

Ale nie widzę jej. Widzę dziewczynkę, którą utraciłam tak wiele lat temu. Oto ona, siostra urodzona zaledwie kilkadziesiąt sekund przede mną. Postrzegam ją jako pięciolatkę z piegami na nosie. Widzę wełniany sweter, który nosiła w zimie i jej cwaniacki uśmiezek, gdy oszukiwałyśmy nauczycielki. Jej oczy są tak błyszczące jak wtedy. Ma moją twarz, a jednak się różni. To twarz, którą chciałam – potrzebowałam – widzieć przez te wszystkie lata. Jest moją drugą połową, bez której kroczyłam po tym świecie. Oto ona, moja siostra.

W jakiś sposób nie ma znaczenia, że mnie prześladowała i upokarzała, że zrobiła ze mnie roztrzęsiony wrak człowieka: kobietę, która stoi nad własną matką z poduszką, próbując zdecydować, czy będzie wolną morderczynią, czy uwięzioną ofiarą.

Stoi przede mną. Jest tu. Pokaże mi, co zrobić, jak bywało przedtem.

Unosi głowę.

– Cześć, Cieniu.

– Zawsze nie cierpiałam tego przezwiska. – Przełykam ślinę. – Sophie. –

W końcu dobrze się czuję, wypowiadając to imię. Teraz wiem, dlaczego

nigdy nie czułam się dobrze sama ze sobą, dlaczego przez całe życie wydawało mi się, że jestem oszustką. Powód stoi przede mną, odcinając światło, zmieniając mnie w cień. Została uprowadzona, nim mogłam odnaleźć wyjście z cienia. Skryłam się za matką i nigdy się zza niej nie wydostałam.

– Witaj, mamó. – Ton głosu Sophie jest lodowaty. Jej oczy – identyczne jak moje – zmrużone do wąskich szparek. Czy tak właśnie wyglądam, gdy jestem zła? Czy w ten sam sposób marszczę nos? Czy jej tiki nerwowe są takie jak moje? Gdybyśmy razem dorastały, mogłybyśmy się porównywać. Mogłybyśmy gapić się w lustro i śmiać się z tego, jak bardzo jesteśmy podobne. Lub różne.

Natychmiast rozumiem, skąd mama zawsze wiedziała, która z nas jest która. Postawa Sophie zmusza ludzi do patrzenia bezpośrednio na nią. Ja uginam kolana, więc inni patrzą na mnie z góry.

– Sophie. Jesteś... Czy to prawda? – Głos mamy jest cichy, brak jej tchu. Nie wierzy własnym oczom. Ja też nie wiem, czy mogę im zaufać.

Odsuwam się od mamy, by mogła usiąść. Na jej policzkach widać ślady łez. Wyciąga rękę, jakby chciała dotknąć dawno zaginionej córki.

Przyglądam się, jak na twarzy siostry maluje się grymas. Spięte ramiona niemal wypełniają światło drzwi. Wiodę wzrokiem po jej ręce, aż odkrywam, że w dłoni trzyma nóż. Oczywiście. Ta kobieta mnie prześladowała. Włamała się do mojego domu. Zhakowała moją skrzynkę e-mail, pocięła ubrania. Przychodzi mi na myśl, że prawdopodobnie spała z Peterem. Właśnie dlatego pojawił się na moim progu taki zdenerwowany. Może nawet zabiła kota naszych sąsiadów.

Nie mogę jej ufać.

Mama staje chwiejnie.

– Jesteś tu, w dodatku prawdziwa. Wiedziałam. Przez te wszystkie lata, wiedziałam. Tylko spójrz na siebie. Jesteś dziś piękna, tak samo jak wtedy,

kiedy dałam ci odejść. Miałaś dobre życie, prawda? Powiedzieli mi, że rodzina jest bogata, że zapewnią ci lepszy los, niż ja bym zdołała.

Prawdziwa Sophie prychnęła szyderczo.

– Zapewniono mi dobre warunki. Nie musisz się martwić – odpowiada z sarkazmem. Drwiąco. Mam ochotę przygryźć wargę i się skulić. Nie zna temperamentu mamy? Nie wie o jej ciętym języku?

Oczywiście, że nie.

– Trafiałaś do rodziny, o której mi mówili. Dzięki Bogu. Kiedy więcej się nie odezwali, miałam przeróżne myśli. – Mama podchodzi do Sophie, ale siostra się od niej odsuwa. – Jak dali ci na imię?

Sophie cofa się do drzwi.

– Adeline.

Mama zakrywa usta dłonią.

– Adeline. Bardzo ładnie.

Nie mogę zaprzeczyć, że odczuwam ból na widok tego, jak mama traktuje tę kobietę – która wygląda identycznie jak ja – jak przeciwieństwo czegoś brzydkiego, bezużytecznego, czym ja dla niej byłam. Dlaczego Sophie... Adeline... jest taka piękna?

Mama wyciąga rękę, siostra pozwala dotknąć swoich włosów. Łzy spływają jej na podbródek.

– To nie miałaś być ty – szepcze.

Adeline patrzy w moją stronę.

– Niezbyt miła rzecz do powiedzenia przy córce.

Mama nie słucha. Wciąż dotyka jej włosów.

Siadam na łóżku, zakrywam twarz dłońmi. Dopiero kiedy materac się ugina, unoszę głowę i widzę, że Adeline siedzi obok mnie.

– Chciałam być tobą – mówi. – Dowiedziałam się o tobie po śmierci rodziców. Zostawili mi kopertę z informacjami o tym, co się stało. Przeczytałam list i musiałam dowiedzieć się więcej. Musiałam cię

zobaczyć. Wynajęłam detektywa, zaczęłam kopać w waszym życiu. Wtedy odkryłam, że żyjesz jako Sophie. Sądziłam, że ukradłaś mi tożsamość, którą powinnam mieć lata temu.

– Prześladowałaś mnie?

Patrzy na mnie i kontynuuje, ignorując moje pytanie.

– Nie wydawało się to prawdziwe. Częściowo zastanawiałam się, czy to nie jakaś skomplikowana mistyfikacja. Ale miało to sens ze względu na to, kim jestem. Osobą, którą się stałam. Lub się nie stałam.

Tylko ona mnie rozumie. Nigdy nie czułam się cała, siostra również. Nigdy nie byłam Sophie. A ona nigdy nie była Adeline.

– Nie wiedziałam. Wspomnienia zaczęły wracać do mnie dopiero ostatnio, kiedy pierwszy raz usłyszałam, jak mama mówi o Cieniu. – Wypowiedzenie tego na głos sprawia, że przeszywa mnie dreszcz. To ekscytacja? Strach?

– Po tym, gdy rodzice... ludzie, którzy mnie wychowywali... zmarli, zaczęłam mieć sny. Wracały do mnie fragmenty przeszłości. – Uśmiecha się. Wydaje się to szczere, a jednak brakuje temu istotnej ludzkiej cechy. Ciepła. – Powiedz, też czułaś się, jak połowa osoby?

– Tak – szepczę.

– A wszystko przez nią.

Obracamy się do mamy.

Adeline mówi, przejmując dowodzenie, jak robiła przed porwaniem.

– Powiedz, mamó. Jaki rodzic sprzedaje jedną z bliźniaczek, zanim nie wypróbuje wszystkich innych sposobów na pozyskanie pieniędzy? Słyszałam niezwykle historie o matkach walczących o przetrwanie swoich dzieci. Matkach poświęcających się, aby chronić potomków przed żywiołami, prostytutujących się, aby zdobyć dla nich pieniądze, walczących na wojnie, aby ich pociechy żyły w bezpieczniejszym miejscu. A jednak twoją pierwszą myślą było sprzedanie nas.

– To nie miałaś być ty – mówi mama.

Tym razem nie reagujemy na to okropne stwierdzenie. Pozwalamy jej mówić. Obie pragniemy odpowiedzi. To nasza historia. Czekaliśmy trzydzieści lat, by ją usłyszeć. Przez cały czas odmawiano nam tego, co nasze, a wszystko, co się wydarzyło, doprowadziło do tej chwili. Czekamy i słuchamy.

– Urodziłaś się pierwsza, Sophie. Byłaś silna, zdrowa, piękna. Spojrzałam w twoją różową, okrągłą twarzyczkę i po raz pierwszy w życiu poczułam, czym jest miłość. Następnie musiałam urodzić ciebie, Becco. – Patrzy na mnie. – I od samego początku nie było z tobą łatwo. Miałaś pępowinę okręconą wokół szyi, a gdy położna cię wyciągnęła, rozerwałaś mnie. Od samego początku łaknęłaś mojej krwi. Przy karmieniu raniłaś mi sutki. Zawsze byłaś bardziej głodna niż Sophie, zawsze czegoś chciałaś i płakałaś, co doprowadzało mnie do szału. Zaczęłam wyładowywać ten stres na Geoffie. Becco, byłaś jak on. Miałaś jego charakter. Sophie szukała rozwiązań problemów. Jest zaradna, jest kimś, kto zawsze sobie poradzi, ponieważ życie nigdy jej nie pokona. Ty pragniesz być pokonana, Becco. Jesteś ofiarą, zawsze nią będziesz, ponieważ taką rolę zdecydowałaś się odgrywać. Widziałam to już, gdy byłaś w kołysce. Wiedziałam o tym. Geoff był słaby i głupi, po czym się zabił – warczy, kiedy wypowiada jego imię. – Wyszłam za mężczyznę, a pochowałam żalostną skorupę człowieka. Zostawił mnie z samymi długami. Hazard, jakieś pożyczki i hipoteka, na którą nie było mnie stać. Gdyby któraś z was kiedykolwiek miała długi, wiedziałybyście, jakie decyzje przyszło mi podejmować. Nie miałam do kogo zwrócić się o pomoc. Nie patrzcie tak na mnie. Wasz ojciec pozbawił mnie alternatyw. Moi rodzice przestali się do mnie odzywać, gdy wyszłam za tego „bezużytecznego śmiecia”, jak nazywał go tata. Raz do nich pojechałam. Wyrzucili mnie. Nie chcieli się nawet przywitać. Nie miałam nic prócz was dwóch. – Krzyżuje ręce na piersi. – Podjęłam złą decyzję.

Adeline splata ze mną palce. Wracam myślami do dnia w parku. Mężczyzna, który ją porwał, pochyla się nade mną. Truskawkowy lizak upada na trawę. Moja twarz jest czerwona i gorąca od krzyków, gdy wyciągam rękę i chwytam ją za włosy. W pobliżu nie było nikogo, kto zainteresowałby się moimi krzykami.

Może właśnie dlatego zawsze pragnęłam dziecka. Dlatego odczuwałam ból, dlatego wydawało mi się, że jakieś straciłam, choć żadnego nie miałam. Przeżyłam traumę utraty dziecka. Nie ocalałam starszej siostry, ona również mnie nie ochroniła.

Myślę o tym, jak bardzo przywiązałam się do małej Chloe i jej wyimaginowanej koleżanki. Przypominała mi mnie samą z dzieciństwa, gdy opłakiwałam siostrę, zostając zmuszona o niej zapomnieć. Chciałam chronić Chloe, ponieważ nie ochroniłam Sophie, kiedy odebrał mi ją porywacz.

– Nigdy ci nie wybaczę, Becco – ciągnie mama. – Przez ciebie straciłam moją Sophie. – Zaczyna płakać. – Ale teraz ją odzyskałam. Mogę umrzeć, mając ją. Kiedy zabierze mnie choroba, będę wiedziała, że cię widziałam, Sophie, i że jesteś bezpieczna.

Kiedy Adeline odpowiada, jej słowa są odpowiednio dobrane, spokojne, pozbawione emocji. Wstrząsa mną zimny dreszcz.

– Próbowalaś sprzedać jedną z córek, a straciłaś swoją ulubioną, więc zmuszałaś tę, która została, by była kimś innym. Dręczyłaś ją przez te wszystkie lata. Nigdy nie odpowiedziałaś za swoje czyny, wciąż winisz Beccę za to, co sama zrobiłaś. Poznałam nikczemnych ludzi. Moi rodzice byli nie tylko bogaczami, ale też przestępcami. Jak inaczej kupiliby dziecko? Ale ty, ty jesteś pierwszą osobą, która naprawdę mnie zniszczyła. Bynajmniej nie jesteś człowiekiem. Jesteś potworem.

Widzę, jak mama blednie. Cofa się, zsuwa po ścianie, ląduje na kolanach.

– Powinniśmy zadzwonić na policję – mówię.

– Nie – odpowiada Adeline. – Jeszcze nie. – Obraca się do mnie. Nie potrafię powstrzymać sapnięcia z powodu naszego niebywałego podobieństwa. – Becco, miała rację w jednej sprawie. Lubisz być ofiarą. Zostałaś z tą kobietą, rezygnując z własnego życia dla kogoś, kto próbował sprzedać cię, gdy byłaś mała. Gdzie twoje poczucie własnej wartości?

– Dawno temu je ze mnie wybiła – szepczę.

– Jesteś dorosłą kobietą – mówi Adeline. – Przykro mi z powodu tego, co ci się przydarzyło, ale nie potrafię tego pojąć.

W pokoju zapada cisza. Trzy kobiety siedzą, żadna nie patrzy na kolejną. Odzywam się jako pierwsza.

– Prześladowałaś mnie. Zmusiłaś do myślenia, że wariuję. Przez cały czas wydawało mi się, że to mama. Sądziłam, że to jej okrutny żart, nim jej umysł przejmie choroba Alzheimera.

Adeline zaczyna się śmiać.

– Myślałaś, że to ona? A to dobre!

– To nie jest śmieszne. – Wyrywam jej swoją dłoń.

Milknie.

– Ależ tak.

– Dzwonię na policję. – Wstaję, gotowa wziąć telefon i zakończyć całą tę maskaradę.

Jednak Adeline szybko chwyta mnie za nadgarstek.

– Nie. Nie zadzwonisz.

Marszczę brwi.

– Dlaczego tak mówisz? Mama musi odpowiedzieć za to, co zrobiła dawno temu. Mogą aresztować faceta, który cię porwał.

Ale siostra kręci głową.

– Nie.

Pociąga mnie na łóżko. Wpatruję się w nią, szukając odpowiedzi, ale widzę tylko pustą maskę.

– Musimy – szepczę.

– Nie.

– W takim razie co robimy?

– Myślę o czymś innym. Ale nie ma to związku z policją. – Głos Adeline wciąż pozbawiony jest emocji tak jak jej twarz. Zastanawiam się... Ile jest w niej z mamy?

– Co się z tobą stało po tym, gdy zostałeś sprzedana? – pytam. – Dokąd cię zawieziono?

– Do Nowego Jorku – odpowiada. – I stałam się milionerką. To było spełnienie amerykańskiego snu. Becco. Sophie. Moja siostrzyczko. Daję ci wybór i chcę, byś uważnie mnie posłuchała. Istnieje powód, dla którego przyleciałam do Anglii i nie po to, aby nadrobić stracony czas. Dorastałam pośród ludzi, którzy rozstrzygali spory w dość niecodzienny sposób. Uczestniczyłam w większej liczbie pogrzebów niż ślubów, a ostatnim był ten moich rodziców. Osób, które kupiły mnie jak konia wyścigowego. Widzisz, tatuś lubił łamać charaktery małych dziewczynek, a mama na to pozwalała. Chwilę mi zajęło, zanim wymyśliłam, co muszę zrobić, ale po fakcie odziedziczyłam miliony dolarów. Jestem skłonna się nimi z tobą podzielić, siostrzyczko, ale jest jedna rzecz, którą musisz najpierw zrobić.

Uśmiecha się do mnie szaleńczo.

– Czego ode mnie oczekujesz? – wyduszam, choć czuję ucisk w gardle. Zaschło mi w nim, język stoi kołkiem. Atmosfera w pomieszczeniu jest ciężka jak przed burzą. Czuję stęchły zapach starych fotografii wiszących wokół nas, ociekających ropiejącymi wspomnieniami.

– Daję ci wybór, a to więcej niż mama dała nam. Dotyczy życia lub śmierci. Żyj i pojedź ze mną do Nowego Jorku lub umrzyj, nigdy nie opuszczając tego szarego, wypłowiałego kraju.

– Co?

– Brzmi jak prosta sprawa, nie? Ale jest jeszcze coś. Nie wyjadę stąd, póki ta kobieta nie spocznie w ziemi. Zatem, jeśli chcesz żyć, musisz ją zabić. A jeśli tego nie zrobisz, ja zabiję was obie. – Podaje mi nóż. – *Raz, dwa, trzy, teraz ty.*

Epilog

Jestem idealnym lustrzanym odbiciem.

Nocą zmywam makijaż, krok po kroku odsłaniając kobietę pod nim. Jestem tam. Jestem tutaj. Istnieję.

Pochowałyśmy ją po cichu w szary, mokry dzień, który by jej się nie podobał. W gazecie napisałam niewiele. Nie chciałam zwracać uwagi. Przyczynę śmierci określono jako samobójstwo. Na pogrzebie słyszę, jak kilka osób plotkuje o tym, że zaledwie kilka tygodni wcześniej wypła wybielacz. Wywołuje to uśmiech na mojej twarzy. Wszystkie wątki ładnie się zgrały. Nikt nie podejrzewa córki w żałobie, trwającej u jej boku przez te wszystkie lata.

Myślę, że robię dobre wrażenie, będąc jak ona.

Posterunkowy Hollis zaskoczył mnie przybyciem na pogrzeb. Stojąc z tyłu skromnego kościoła, stanowi niezbyt miłe przypomnienie ostatnich miesięcy. Jednak łatwo mi go unikać podczas uroczystości żałobnych. Potem mi się to nie udaje, gdy przemierza wilgotną trawę cmentarza, aby złożyć kondolencje.

Od razu zauważam błysk w jego oczach i zaciśnięte zęby. Bierze mnie za rękę, ale zaraz puszcza. Chcę się odsunąć, ale mówi:

– Nie wspominała pani o siostrze bliźniacze.

– To... – zaczynam się jąkać. – To część naszej przeszłości, którą mama utrzymywała w tajemnicy. Wstydziała się... tamtych przeżyć. Pewnego dnia zapomniała odebrać nas ze szkoły... i, cóż, rozumie pan.

– Bardzo pomogłoby to w dochodzeniu. – Mruży oczy.

Poprawiam okulary słoneczne na nosie i pochylam głowę. Jego spojrzenie jest zbyt przenikliwe, zbyt skrupulatne. Zbyt ochocze. On coś podejrzewa.

– Przepraszam, że o tym nie powiedziałam. Przy tym wszystkim, co działo się z mamą... Widzi pan, zaczęłam myśleć, że to sobie wymyśliłam, że dzieciaki się bawią...

– Oboje widzieliśmy nagrania, panno Howland. Oboje wiemy, że to nie nastolatki. Ktoś panią wybrał. Prześladował. Celowo.

– Cóż, ale już tego nie robi. Doceniam wszystko, co zrobili panowie dla mnie, ale już możecie zamknąć tę sprawę. Nikt nie dzwoni dla zabawy, nie włamuje się, nie niszczy. Cicho jak makiem zasiał. Zbyt cicho, odkąd nie ma mamy. Jestem pewna, że rozumie pan, jak za nią tęsknię. – Odwracam gwałtownie głowę, gdy łamie mi się głos.

– Oczywiście, ale istnieje kolejny powód, dla którego tu dziś przyszedłem. Nie sądzę, byśmy powinni zamykać tę sprawę. Odciski palców nie pasowały do pani czy pani matki, ale były niemal identyczne jak pani. Wierzymy, że należą do pani siostry bliźniaczki.

– Co? Na pewno? Ale to niemożliwe. Po siedmiu latach uznano ją oficjalnie za zmarłą.

Kiwa powoli głową. Widzę, że wciąż szuka na mojej twarzy wskazówek. Sprawdza, czy kłamię. Skóra mnie mrowi przy tej pilnej uwadze.

– Na pewno.

Zakrywam dłonią usta. Twarz Hollisa łagodnieje, gdy policjant się przysuwa, zapewne, by mnie ukoić, ale się cofam.

– To zbyt wiele – mówię przez palce. Unoszę dłoń, by otrzeć łzę spod okularów. – To pogrzeb mojej mamy. Nie... mogę.

– Przykro mi, że panią zdenerwowałem. – Po raz pierwszy wydaje się, że Hollis czuje się nieswojo. Przesłupuje z nogi na nogę i krzyżuje ręce na piersi. – Chciałbym to dalej badać. Jeśli znajdziemy miejsce pobytu pani siostry, z chęcią sprowadzę ją do pani.

– Mam teraz wiele na głowie. Porządkuję dom i wszystkie dokumenty. Oczywiście też bym tego chciała. Spotkać się z Beccą. To byłoby... To byłby cud. Musi pan jednak zrozumieć, że przez lata pojawiała się wiele fałszywych alarmów, więc istnieje szansa, że teraz też nic z tego nie wyjdzie.

Oczywiście, że Hollis pragnie odnaleźć moją siostrę. Gdyby zamknął trzydziestoletnią sprawę uprowadzenia, zostałby bohaterem. A jeśli chodzi o te fałszywe alarmy, to kłamstwo. Z tego, co wiem, kiedy matka przeniosła się do Eddington, wszyscy zapomnieli o zaginionej Becce. Teraz to nie byłoby oczywiście możliwe. Porywane dzieci stają się pokarmem dla brukowców na dekady.

Zastanawiam się, jak te wieści wpłynęłyby na matkę. Ile pieniędzy dostałabym, sprzedając moją historię, jak ona sprzedała dziecko...

Hollis bierze mnie za rękę.

– To dobry trop. Zrobię, co w mojej mocy, panno Sophie.

Wierzę.

Muszę szybko działać.

*

W dniu, w którym w końcu zamykam na dobre drzwi tego domu, odwiedzam jej grób. Nagrobek wykonano z czarnego marmuru. Jest mały z krótką inskrypcją. Żadnego „kochająca mama”, czy „wierna przyjaciółka”

lub słodkiego wierszyka, by okazać troskę. Umarła niekochana, a sama kochała tylko jedną osobę na tym świecie. Tak, to była miłość. Prawdziwa.

Angielskie lato odchodzi, gdy wsiadam do taksówki. Wczesny poranek jest chłodny, pochmurny, wilgotny.

W drodze proszę kierowcę, aby zatrzymał się przy garażach. Wyrzucam tam telefon do miejskiego śmietnika. Są na nim trzy nieodebrane połączenia: jedno od Alishy, dwa od posterunkowego Hollisa. Czuję się trochę winna, ale czas porzucić życie nauczycielki. Wkrótce będę musiała przestać nią być.

Hollis był podstępny. Na szczęście spotkałam się z nim przelotnie, aby omówić fakty. Zapytał mnie o ten wrześniowy dzień trzydzieści lat temu, a mnie udało się skłamać.

Kiedy sprzątałam sypialnię matki, natrafiłam na stos wycinków z gazet na temat porwania. Podczas czytania ich zobaczyłam zeznanie naocznego świadka, czyli „Sophie”, która twierdziła, że Becca od niej uciekła. Nie było nic na temat mężczyzny w parku. Kłamstwa nosiły na sobie znamiona wpływu matki, która wiedziała, że jeśli tamten mężczyzna zostanie odnaleziony, wskaże ją policji. Ponownie postawiła siebie ponad dzieckiem. Znow dowiodła o swoim egoizmie i dogłębnym narcyzmie. Zrobiło mi się niedobrze, gdy to czytałam.

Jednak dostarczyły mi wystarczająco wiedzy, aby oszukać Hollisa, sprzedać dom i wyjechać z Eddington.

W taksówce niemal zapadam w drzemkę. Jestem wdzięczna, że kierowca nie nalega na rozmowę. Cieszę się, gdy przyjmuje opłatę za kurs wraz z napiwkiem i nie pyta, dokąd się udaję, ani nie życzy mi przyjemnych wakacji.

Bilet na samolot wypala dziurę w mojej torebce. Myśl o nim napęnia mnie ekscytacją.

Lotnisko tętni życiem. Przedostaję się przez kolejki, wykrywacze metalu, ochronę.

Wszyscy patrzą w paszport Sophie Howland i milczą. Kiwiają tylko głowami. Idę dalej.

Dostaję kartę pokładową. Moja torba zostaje oklejona. Przekładam kosmetyki do woreczków, kładę je na tacy wraz z kluczami i czytnikiem książek, który kupiłam na tę podróż.

Kobieta o idealnych zębach wprowadza mnie rękawem do samolotu. I w końcu pokazuje moje miejsce.

Torebkę wkładam do skrytki nad głową, myślami powracając do posterunkowego Hollisa. Może nie jestem wolna. Jeszcze nie. Dopiero kiedy dotrę do celu, kiedy pomiędzy mną a tym dociekliwym mężczyzną znajdzie się ocean, zdołam się rozluźnić.

Ciągle myślę o tym, jakie są szanse na to, by posunął naprzód tę sprawę. Czy to człowiek, który zminimalizuje straty i zajmie się innymi rzeczami? A może już do końca życia będę przed nim uciekać?

Są też inne osoby, o których muszę pomyśleć. Peter – ten dziwny idiota – nie próbował się kontaktować. Nie mam telefonu, starałam się pozostawić za sobą jak najmniejszy ślad i nie sądzę, by był na tyle bystry, by mnie znaleźć. Alisha może próbować, ale ma na głowie rodzinę. Jest i Jamie, który nie kontaktował się ze mną od śmierci mojej matki. Przypuszczam, że ucieszył się, iż kobieta, której tak nienawidził, w końcu skończyła pod ziemią.

Nie, główne zmartwienie stanowi Hollis. Czy poskłada kawałki układanki i zacznie mnie ścigać? Dowiem się tego chyba tylko w jeden sposób.

– Cześć!

Nie spodziewam się, by ktokolwiek mnie znał. Głos wyrywa mnie z zamyślenia. Widzę kobietę o tlenionych włosach, która macha do mnie i się uśmiecha.

- Hej – odpowiadam.
- Pamiętam cię. Leciałaś do Północnego Yorkshire do rodziny – mówi.
- Zgadza się.
- O, hej, nie żartowałaś o tym podłapywaniu akcentu. Brzmisz, jakbyś tam mieszkała. Wracasz więc do Nowego Jorku? Jak było? Dziwnie znów ich zobaczyć?
- Zrobiłam wszystko, co planowałam – odpowiadam.
- Super! Wracasz teraz do domu?
- Tak – mówię. – Będę mieszkać z siostrą.